

ROZMOWA „DO RZECZY”

Dorota Gawryluk o telewizji,
dziennikarzach i własnym życiu



TYGODNIK LISICKIEGO

DO
CENA 7,90 zł (w tym 8% VAT) NR 3/356 13-19 STYCZNIA 2020
RZECZY

Odejście Schetyny
przyspieszy upadek
Platformy?

**KONTR-
REWOLUCJONISTA
ŁYSIAK OSTRO
O REWOLUCJONIZMIE**



Jak Niemcy niszczą
Kościół katolicki

Wykluczanie Polski

ROSJA I IZRAEL WSPÓLNIE PRZECIW NAM



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



9 772299 850000
Nakład: 71 tys. egzemplarzy

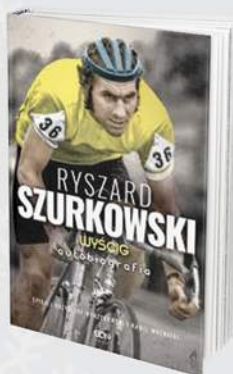
**PRENUMERATA
2020 w cenie 2019**

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

AUTOBIOGRAFIA
„RYSZARD
SZURKOWSKI
- WYŚCIG”

~~337~~ zł



136,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
201 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Wspólne **wybielanie** komunizmu



PAWEŁ LISICKI

Prezydent Andrzej Duda nie miał innego wyjścia: skoro nie pozwolono mu zabrać głosu w Yad Vashem, to do Izraela pojechać nie mógł. Dlaczego w ogóle do takiej sytuacji doszło?

Wydaje się, że pozbycie się Polaki, a więc największego państwa reprezentującego Europę Środkowo-Wschodnią, doświadczonego zarówno przez okupację komunistyczną, jak i hitlerowską, z grona wspominających tragedię narodu żydowskiego ma jeden główny cel: chodzi o niedopuszczenie do zrównywania zbrodni komunistycznych i nazistowskich. Dzięki temu zbrodnia Holocaustu zachowa swoją absolutną wyjątkowość i, co z tego wynika, będzie ją można dalej skutecznie instrumentalizować.

2019 r. dokumencie „Koniec antysemityzmu”, który powstał po zorganizowanym w listopadzie 2018 r. w Wiedniu spotkaniu tysiąca polityków i profesorów, zorganizowanym przez Europejski Kongres Żydów. Na jego czele stoi Mosze Kantor. Ten sam, który organizuje styczniowe spotkanie w Yad Vashem.

Otóż w dokumencie tym, promowanym przez Mosze Kantora, każdy kraj na walkę z antysemityzmem powinien wydać co najmniej 0,02 proc. swojego PKB rocznie, a także wyznaczyć specjalnych urzędników do walki z wszelkimi przejawami antysemityzmu. Jak łatwo się domyślić, definicja antysemityzmu, która miałaby zostać wprowadzona do prawa we wszystkich państwach, jest bardzo szeroka: jego przejawem byłaby choćby krytyka polityki izraelskiej. „Izrael powinien być chwalony jako jedyny kraj na Bliskim Wschodzie, który zdołał zbudować działające społeczeństwo multikulturalne”. To, że jest to bzdura, najwyraźniej autorom dokumentu nie przeszkadzało.

Antysemityzm ma być traktowany wyłącznie jako przejaw uprzedzeń i niechęci, w żadnym razie nie wolno szukać dla niego uzasadnienia w jakichkolwiek działaniach samych Żydów. Okazuje się on też największym zagrożeniem dla światowego bezpieczeństwa, nieporównywalnym z żadnym innym. Nowa definicja antysemityzmu obejmuje też zakaz „pomniejszania znaczenia Holocaustu”. Co to może konkretnie oznaczać tłumaczył w zeszłym roku Efraim Zuroff z Centrum Simona Wiesenthala, kiedy to krytykował polską nowelizację ustawy o IPN. Zuroff mówił, że „istnieją dwa główne elementy zniekształcania Holocaustu. Jednym z nich jest ukrycie lub zminimalizowanie roli lokalnych kolaborantów. Drugim jest twierdzenie, że komunizm jest tak samo zły jak nazizm i że komunizm należy uznać za ludobójczy”. Gdyby przyjąć tego rodzaju

rozumowanie za dobrą monetę, to krytyka też prof. Jana Grabowskiego, mówiącego o zamordowaniu 200 tys. Żydów przez Polaków, powinna podlegać karze.

Najważniejszym warunkiem powodzenia tej operacji musi być wybielenie komunizmu. Jak znowu trafnie zauważył Zuroff, „jeśli komunizm zalicza się do ludobójstwa, oznacza to, że Żydzi popełnili ludobójstwo. Żydowski komunisci byli wśród tych, którzy popełnili zbrodnie reżimu komunistycznego. Jeśli Żydzi doświadczyli ludobójstwa, to jak możemy ich oskarżać, że dopuścili się ludobójstwa?”. Czyli narody Europy Środkowej, w tym Polska, nie mają prawa do własnej pamięci historycznej i do pamięci o ofiarach komunizmu. Zrównywanie komunizmu z nazizmem może bowiem prowadzić do przekonania, że Żydzi nie byli jedynymi czystymi, niewinnymi ofiarami XX w., odegrali przecież znaczącą, być może w niektórych momentach decydującą, rolę w tworzeniu ludobójczego systemu komunistycznego.

Widać zatem, o co chodzi w obecnej rozgrywce. Łączą się tu interesy próbującego odwoływać się do komunistycznych resentymentów prezydenta Putina i interesy próbujących relatywizować komunizm środowisk żydowskich. Ten pierwszy chce wybielić Związek Sowiecki, bo na nim buduje nową rosyjską tożsamość; ci drudzy chcą go wybielić, bo dzięki temu zdejmują z siebie nawet cień odpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez komunistów i zachowują status unikalnych, czystych ofiar, tak potrzebny jako narzędzie walki o polityczną potęgę. Skutkiem takiego układu musi być próba zakwestionowania polskiej pamięci, dla której komunizm i nazizm były podobnie zbrodnicze.

Wykluczenie obecności polskiego prezydenta w Yad Vashem to nie był przypadek. Nie małe faux pas lub błąd dyplomatyczny. Polskę czeka trudna walka. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



Po pierwsze, będzie można wzmocnić presję na wprowadzenie do kolejnych prawodawstw państw europejskich nowej definicji antysemityzmu, wraz z karami za jego propagowanie. Po drugie, ułatwi się presję na zdobycie odszkodowań za tzw. mienie bezspadkowe. Po trzecie, ułatwi się prowadzenie przez Izrael skutecznej polityki na Bliskim Wschodzie. Żeby to osiągnąć, nie wolno jednak, wynika z tego rozumowania, dopuścić do zrównania komunizmu z nazizmem.

Jak miałyby wyglądać nowy ład, doskonale widać w opisywanym zresztą w „Do Rzeczy” w maju



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DWÓCH PRZECIWKO POLSCE
Wspólny cel Putina i Netanjahu

19 PIOTR ZYCHOWICZ
EMIGRACJA, A NIE EKSTERMINACJA

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
IRAN W POLSKIEJ POLITYCE
Co dla nas oznacza bliskowschodni kryzys

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SPIRALA GRODZKIEGO

28 KAMILA BARANOWSKA
GRUZ CZY FUNDAMENT

30 PIOTR SEMKA
CUD ŚWIĘTEGO ROBERTA

32 ROZMOWA Z DOROTĄ GAWRYŁUK
EMOCJE CORAZ CZĘŚCIEJ ZASTĘPUJĄ
FAKTY

36 ROZMOWA Z RAFAŁEM MODRZEWSKIM
POLAK W KOSMOSIE

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ZENEK – KRÓL Z TŁUMU

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
NA ZŁOTYM GLOBIE
Najlepsze filmy i seriale

43 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ŚWIADECTWO
JURIIA TRIFONOWA

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
NIEMIECKA DRÓGA SYNODALNA
Pretekst do samozniszczenia Kościoła

56 KRZYSZTOF TYSZKA-DROZDOWSKI
AFRYKA IDZIE

CYWILIZACJA

60 WALDEMAR ŁYSIAK
REWOLUCJE
Kontrrewolucjonista o rewolucjonizmie

HISTORIA

68 PIOTR SEMKA
KONIEC ŚWIATA U-BOOTÓW
Niemieckie okręty podwodne

ŚWIAT

72 TERESA STYLIŃSKA
SABAUDOWIE CHCĄ WRÓCIĆ
Włoska monarchia na wygnaniu

76 ROZMOWA Z RZECZNIKIEM PARTII VOX
MILIONY HISZPANÓW ODZYSKAŁY GŁOS



78 PIOTR WŁOCZYK
AUSTRALIA FIRST, CZYLI PRAWICOWY
PREMIER NA ANTYPODACH

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
JAK KUPIĆ LEPSZY ŁOS
Przemysł wizowy wciąż kwitnie

86 ROZMOWA Z DOBROMIEM SOŚNIERZEM
WYZWOLIĆ PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ

88 ROZMOWA Z EKONOMISTĄ
JAKUBEM SAWULSKIM
TRANSFORMACJA ZAWIODŁA MŁODYCH

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
WSPÓLNOTA STOŁU
Lekarstwo na samotność?

O ZDROWIU

92 ROZMOWA Z PROF. HENRYKIEM SKARŻYŃSKIM
CISZĘ MOŻNA PRZERWAĆ
Polska medycyna ma się czym chwalić

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (67), WARZECHA (75), GABRYEL, RYBIŃSKI (80), KOMUDA (94), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (96), CENCKIEWICZ (98), ŁYSIAK (99)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Godek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojaniczak**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cencikiewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominiła Cioś (*Brusela*), **Tomasz Cukiernik**, **Krzysztof Czabański**,
Piotr Gursztyn, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (*Rzym*),
Jakub Kowalski, **Grzegorz Kucharczyk**, **Tomasz Lenczewski**, **Piotr Litka**,
Ewa Łosińska, **Łukasz Majcherek**, **Marcin Makowski**, **Monika Małkowska**,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, **Gabriel Michalik**, **Filip Memches**,
Agnieszka Niewińska, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkos**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sękowski**,
Joanna Siedlecka, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**,
Błażej Torzański, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Jakub Woźniak, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzry**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**

Okładka: **Kobi Gideon/GPO/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

e-maile do rubryki prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Murem za krakowskim arcybiskupem”, **Paweł Lisicki**, „DRz” 2/2020

Felieton Pawła Lisickiego pt. „Murem za krakowskim arcybiskupem” („DRz” 2/2020) porusza bardzo istotną kwestię współodpowiedzialności posoborowego, politycznie poprawnego Kościoła za zaniechania w głoszeniu prawdziwej wiary i moralności katolickiej zgodnej z Tradycją liczącą sobie niemal 2000 lat. Rzeczywiście, biskupi w takich krajach jak Francja, a szczególnie Niemcy (czyżby wpływ Lutra?) dawno już przestali z mocą głosić prawdziwą naukę, chyba fałszywie pojmując aggiornamento jako dostosowanie się do współczesnego świata na zasadzie zgniętego kompromisu. Chrystus powiedział: „Niech Wasza mowa będzie tak, tak; nie, nie”. Tymczasem wielu powo-

należy powiedzieć „non possumus”. Taka postawa w świecie wrogim Bogu, Kościołowi i Tradycji ściągga na niego ataki ze strony mediów, polityków, wpływowych lobby, zwłaszcza LGBT, ale niestety także niektórych „postępowych” duchownych, których i w Łodzi jest kilku. Ale najsmutniejsze jest to, że biskup krakowski nie ma najwyraźniej poparcia ze strony biskupa Rzymu, o czym świadczy to, że nadal nie otrzymał godności kardynalskiej, pomimo że Kraków od lat jest archidiecezją, której władarze szybko zostawali kardynałami.

Myszę, że wielu katolików, zwłaszcza głębiej traktujących swą wiarę, jest mocno zaniepokojonych tym, że na naszych oczach spełnia się to, co pisał **Paweł Lisicki** w swej powieści „Epoka Antychrysta”. Dlatego trzeba stać murem za arcybiskupem krakowskim, za kard. Sarah i innymi, wcale nie tak licznymi biskupami mającymi odwagę nawracać współczesny świat, a nie mu ulegać.

Wojciech Zajczkowski, Łódź

„Tablice naszej pamięci”, **Piotr Włoczyk**, „DRz” 1/2020

Szanowna Redakcjo, poruszająca relacja wiekowego powstańca warszawskiego pana Jerzego Krauzego, którą w artykule „Tablice naszej pamięci” przytoczył red. **Piotr Włoczyk**, skojarzyła mi się z tym, co spotkało w roku 1942 młodego Szymona Kobylńskiego. Łączyła nas wieloletnia przyjaźń i tenże „przyszławy wuj” opowiedział mi kiedyś dziwny epizod o tym, jak jakiś Niemiec uratował mu życie: wyłączył go z grupy prowadzonej na rozstrzelanie, oddał dokumenty i kazał chłopakowi czym prędzej się wynosić.

Dawno to było, szczegółów wujowej opowieści już nie pamiętam, np. nie wiem, gdzie to się wydarzyło. Ale niedawno powróciło do mnie to wydarzenie, gdy ktoś polecił mi song Kuby Sienkiewicza „Szymon Kobylński. 1942”. Można go odsłuchać na portalu YouTube.

To właśnie ta dramatyczna historia, tu wstrząsająco wyśpiewana przez lidera Elektrycznych Gitar (choć chyba z pomyłką faktograficzną, jej bohater, rocznik 1927, miał nie 13, ale 15 lat). [...]

Jeżeli możliwe jest zidentyfikowanie miejsca, w którym miało dojść – i prawdopodobnie doszło – do rozstrzelania tamtej grupy, to jestem przekonany, że i ono zasługuje na swoją „tablicę naszej pamięci”.

Z szacunkiem
Jacek Jakubiec, Jelenia Góra



łanych do głoszenia Słowa, może z obawy przed utratą owieczek (i finansów?), woli się przypodobać światu, niż mu się narazić. Wybierając milczenie albo nawet akceptację złych zachowań, naginając interpretację Pisma Świętego tak, by zadowolić współczesne areopagi. Jednym słowem, rzecz można, ewangeliczna sól utraciła swój smak i na co komu się przyda...

Na tym tle postawa abp. Jędraszewskiego, mojego niestety już byłego ordynariusza, zasługuje na szczególne uznanie. Pasterz ten trafnie diagnozuje współczesne zagrożenia i nie waha się o nich głośno mówić. Nie potępia grzesznika, lecz grzech, i jasno wskazuje niebezpieczne ideologie, najczęściej źródło swe mające w marksizmie. Podobnie jak sługa Boży kard. Wyszyński wyraźnie określa, gdzie



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tragiczne pęknięcie

Krzysztof Leski (1959–2019) nie żyje. Został okrutnie zamordowany. Dopiero poznajemy pierwsze szczegóły tego potwornego wydarzenia.

Tragedia Krzysztofa Leskiego skojarzyła mi się z inną tragiczną śmiercią – samobójstwem fotoreportera Krzysztofa Millera. Obaj nosili w sobie jakieś pęknięcie, zapłacili jakąś tajemniczą cenę za intensywność opisywania świata w pierwszej dekadzie wolnego dziennikarstwa 1989–1999.

Krzysztofa wciągnął do dziennikarstwa karnawał Solidarności. Jako jeden z dwóch studentów Uniwersytetu Warszawskiego został internowany. Był synem bohatera drugiej wojny światowej, Kazimierza Leskiego ps. Bradl. Lata 80. przeżył w szkole dziennikarskiej podziemnego „Tygodnika Mazowsze”. Wraz z większością „Mazowszanki” przeszedł w maju 1989 r. do „Gazety Wyborczej”. Na zdjęciach z drukarni, gdy z maszyn zszedł pierwszy numer „Wyborczej”, stoi uśmiechnięty w swetrze za samym Adamem Michnikiem.

W tym czasie też poznałem Krzysztofa na korytarzach Sejmu. Był wtedy sześć lat starszy ode mnie – gdy ma się 24 lata, to dużo – i był gwiazdą solidarnościowego dziennikarstwa. W 1990 r., gdy wybuchła wojna na górze, opowiedział mi, jak był inicjatorem jednej z pierwszych dyskusji w redakcji „GW” na temat zasad dziennikarskich. Chodziło o reportaże z wieców Lecha Wałęsy, który odgrywał wówczas rolę czarnego luda na łamach pisma Michnika. Autor reportaży opisywał, jak otaczający tłum zamienia się w żądną krwi tłuszcę. Krzysztof oburzył się na takie podkręcanie nastrojów i utracił sympatię wiceszefowej „GW” Heleny Łuczywo. Pozbyto się go dopiero w 1991 r., ale uczciwie przyznajmy, że nie tylko polityka zadecydowała. Krzysztof już wtedy był człowiekiem niełatwym, szybko wpadał w irytację.

Mam wrażenie, że Krzysztof nigdy już nie znalazł dla siebie tak dobrze pasującego mu miejsca jak „GW”.

Rozpoczął współpracę z paroma gazetami lokalnymi, ale obserwując go w Sejmie, widzia-

łem, że była to praca ponad jego siły. Na jednej konferencji słuchał tego, co mówią politycy, i jednocześnie pisał i rozsyłał e-mailem relacje z konferencji odbywającej się godzinę wcześniej. Ten natłok obowiązków wzmacniał jeszcze jego nerwowość. Z byle powodu co pewien czas gniewnie wybuchł. Jednak w branży wybaczano mu wiele, bo każdy pamiętał chwile, gdy okazywał złote serce. Przez lata 90. i pierwszą dekadę nowej ery próbował rozmaitych formatów w TVP, ale nigdy nie trwało to długo. Rozpadło się też jego małżeństwo. A potem zaczęły się kryzysy nerwowe, które wymagały już leczenia szpitalnego. W sieci prowadził jeszcze ostre polemiki z dobrą zmianą, nie przyjął na znak protestu Krzyża Wolności i Solidarności, ale był już cieniem dawnego siebie. Wielu przyjaciół ze smutkiem mówiło, że nie dawał sobie pomóc.

Żegnaj, Krzysztofie. Będziesz mi przypominał, że dziennikarstwo to narowisty koń, z którego można spaść i dotkliwie się potłuc. Mało kto potłukł się aż tak boleśnie jak ty. ©©

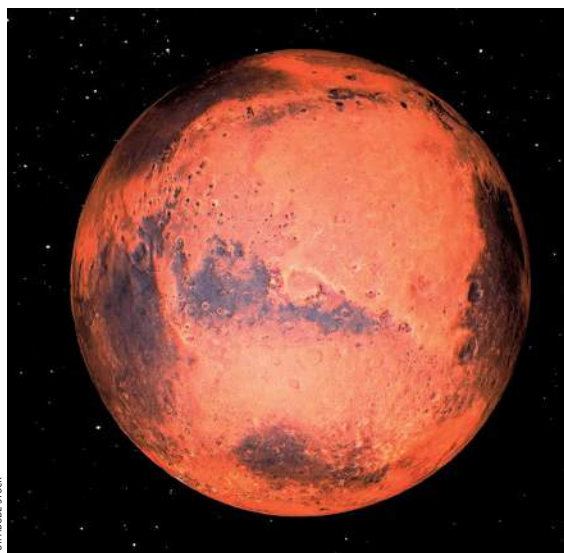
ZABÓJCZY LOT NA MARSA?

Podczas gdy NASA coraz bardziej szczegółowo planuje powrót człowieka na Księżyc, wielu polityków, naukowców i biznesmenów (np. miliarder Elon Musk) marzy o kolonizacji Czerwonej Planety. Prestiżowy magazyn „The New England Journal of Medicine” opublikował jednak opis eksperymentu prowadzonego na orbicie Ziemi, z którego wynika, że przebywanie w stanie nieważkości może zahamować normalny przepływ krwi, a nawet doprowadzić do tego, że popłynie ona w odwrotnym kierunku.

U jednego z astronautów, zaledwie w drugim miesiącu pobytu na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS), podczas badań przepływu krwi w stanie nieważkości

w żyłce szyjnej zaobserwowano zakrzep. Przy użyciu telemedycyny postawiono diagnozę, a także opracowano skomplikowany plan leczenia tego schorzenia w przypadku zerowej grawitacji. Po nieco ponad 40 dniach na stację dostarczono zaś odpowiednie leki. W tym przypadku wszystko skończyło się dobrze. Astronauta dokończył swoją misję, a po powrocie na Ziemię zakrzep całkowicie zniknął.

Misja na Marsa i z powrotem trwać będzie jednak nie kilka miesięcy, lecz prawie trzy lata. Niemożliwe będzie też szybkie dostarczenie z Ziemi dodatkowych leków. Przed lotem na Czerwoną Planetę konieczne są więc nowe eksperymenty. (jap) ©©



FOT. ADOBE STOCK

Tragedia w Iranie: ukraiński samolot zestrzelony?

Należący do linii lotniczych Ukraine International Airlines Boeing 737-800 rozbił się w środę rano wkrótce po starcie z międzynarodowego portu lotniczego w Teheranie. Na pokładzie lecącej do Kijowa maszyny znajdowało się 176 osób z siedmiu państw. Wszyscy zginęli.

W czwartek irańscy śledczy opublikowali wstępny raport. Ich zdaniem ukraiński samolot zapalił się krótko przed katastrofą, a załoga próbowała zawrócić maszynę na lotnisko. Inną wersję przedstawili zachodni politycy. Premier Kanady Justin Trudeau oznajmił wprost, że jego rząd ma informacje z wielu źródeł wskazujące na to, że samolot ukraińskich linii lotniczych został zestrzelony przez irański pocisk ziemia-powietrze. Również prezydent USA Donald Trump ogłosił, że „ma złe przeczucie i podejrzenia”. – Ktoś mógł popełnić błąd – stwierdził. Według niepotwierdzonych informacji maszynę ukraińskich linii lotniczych mogła strącić rakietą Tor-M1 rosyjskiej produkcji, wykorzystywana przez irańską obronę



FOT. ANBAR TIAWOLI/APPEAST NEWS

przeciwlotniczą. Władze w Teheranie stanowczo zaprzeczyły, aby to Iran – bojąc się ataku ze strony USA – przypadkowo strącił ukraińską maszynę. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski oznajmił z kolei, że nie wyklucza żadnej z wersji. W odpowiedzi na to pytanie pomóc mogą

odnalezione przez śledczych dwie czarne skrzynki, zawierające szczegółowe dane dotyczące lotu i rozmów w kokpicie.

W lipcu 2014 r. nad Donbasem zestrzelono samolot pasażerski malezyjskich linii. Zginęło wówczas 298 osób. O mord oskarżono trzech Rosjan i Ukraińca. (jap) ©©

Komisja Wenecka odesłana do muzeum

W ubiegłym tygodniu w Polsce pojawili się przedstawiciele Komisji Weneckiej, których do kraju zaprosił marszałek Senatu. Tomasz Grodzki poprosił, by grono to wydało opinię w sprawie projektu nowelizacji ustaw dotyczących sądów. Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro uznał, że w imieniu Polski taki „obcy organ” zaprosić mogą jedynie szef MSZ albo prezydent. – W tym sensie doszło do nadużycia ze strony pana marszałka Senatu – stwierdził Ziobro w telewizji Trwam. I już wówczas zapowiadał, że przedstawiciele jego resortu być może spotkają się z komisją, ale będą traktować tę wizytę jako nieoficjalną.

Jak ujawniła później „Rzeczpospolita”, wice-minister sprawiedliwości Marcin Warchoł napisał list do przedstawicieli Komisji Weneckiej. Stwierdził w nim, że ze względu na nieformalny charakter tej wizyty resort jest gotów zaprosić przedstawicieli tego grona do zwiedzania Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. Zaznaczył, że informacje o aktualnym prawodawstwie regulującym polskie sądownictwo ministerstwo jest gotowe przedłożyć jedynie podczas oficjalnej wizyty. Warchoł podkreślał, że w związku z tym wszelkie ustalenia Komisji Weneckiej będą traktowane jako niemające charakteru oficjalnego. (luz) ©©

*Z głębokim smutkiem i żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci*

Dariusza Sawickiego

*członka zarządu
Centralnego Portu Komunikacyjnego.*

*Wyrażamy głęboki żal oraz składamy wyrazy
współczucia całej Rodzinie i Bliskim.*

**Zarząd i Pracownicy
Polskich Linii Lotniczych LOT
oraz Polskiej Grupy Lotniczej**



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Habemus klapam

Rok 2020 to rok wielu okrągłych rocznic. Ważnych dla Polaków – 100. rocznica Bitwy Warszawskiej, 75. zakończenia drugiej wojny światowej, 40. Sierpnia '80; a także dla świata – np. równo sto lat temu wprowadzono w USA prohibicję. Z tych wszystkich rocznic chciałbym, osobiście, aby szczególnie jedna skłoniła nas do refleksji.

Szkolna katecheza to przeważnie żałosny pic, pusty rytuał

Mam na myśli 30. rocznicę pierwszego w III RP „złamania konstytucji”, jak orzekła to ówczesna rzecznik praw obywatelskich Ewa Łętowska. Czyli wprowadzenia, rozporządzeniem rządu Tadeusza Mazowieckiego, nauki religii do

szkół. Może ktoś zechce skorzystać z rocznicy, by zastanowić się nad skutkami tej decyzji.

Otóż śmiem twierdzić, że, wbrew ówczesnym oczekiwaniom, są to skutki fatalne. Bynajmniej nie dlatego, by było cokolwiek z prawdy w porykach lewicowo-liberalnych salonów o „państwie wyznaniowym”, reżimie „czarnych ajatollahów” etc. Niestety okazało się to, że wprowadzeniu do szkół katechezy nie towarzyszyło stworzenie żadnego mechanizmu, który by stworzył kadrę zdolnych podjąć wyzwania dzisiejszych czasów katechetów. Proszę wybaczyć, że nie mając żadnych kompleksowych danych, oprę się na wyrywkowym doświadczeniu, ale temat intryguje mnie, jako ojca, od dawna, wielu znajomych przepytywałem i niemal zawsze słyszę to samo. Szkolna katecheza to przeważnie żałosny pic, pusty rytuał, odprowadzany dla łatwego

do zdobycia stopnia. Przeważnie polega na zaliczaniu wkutych na pamięć paciorków. Nic z tego nie wynika, do niczego to nie przygotowuje, w żaden sposób nie umacnia wiary ani przede wszystkim nie daje dziecku narzędzi do mierzenia się z antyreligijnymi przekazami atakującymi je ze wszystkich stron. Przeciwnie, tyrady katechetów, że książki i filmy o Harrym Potterze to zło, że muzyki – nie słuchać, Netflixa – nie oglądać, bo się zostanie satanistą, budzą wśród dzieci raczej śmiech i politowanie.

Jeśli o to, by z dzieckiem rozmawiać, kontrować antyreligijne przekazy, przedstawiać argumenty, wyjaśniać, dlaczego Kościół tego a tego zabrania, nie zadbają rodzice (a którzy rodzice mają czas, nie wspominając o wiedzy?), nie zrobi tego nikt. Najmniej, niestety, szkolni katecheci. I to być może największa klęska tego, co szumnie nazwano „pokoleniem JP2”. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Cud niepamięci

Wpiekle mają niezły ubaw. „Kłamstwa, insynuacje, prowokacje, szczucie – pełna gama ubeckich metod. Długie lata będziemy leczyli rany po PiS” – zagrzmiął w obronie marszałka Tomasza Grodzkiego poseł Platformy Obywatelskiej Dariusz Rosati. Mocne słowa? Tyle że padły z ust człowieka, który od 1966 r. należał do komunistycznej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej do samego jej końca. Rosati lubuje się w podobnej narracji, a to porówna Kaczyńskiego do Gomułki, a to PiS do PZPR. Diabeł

ubrał się w ornat i na mszę ogonem dzwoni. Właściwie całe stado diabłów.

Weźmy np. Leszka Balcerowicza, byłego członka PZPR, doradcę komunistycznego premiera Piotra Jaroszewicza. Porównał Kaczyńskiego do byłego I sekretarza KC PZPR, a PiS nazwał „ustrojowymi komunistami”. Obrońcą „demokracji” jest dziś też np. Włodzimierz Cimoszewicz, członek PZPR oraz eurodeputowany z list PO Leszek Miller, któremu w ustroju słusznie minionym dobrze się wiodło

w Komitecie Centralnym PZPR. Tenże Miller niespełna trzy lata temu w Moskwie chwalił Putina i spotykał się z dziennikarzem wydalonym z Polski za szpiegostwo na rzecz Rosji.

Na szczęście (dla starego elektoratu lewicy) nie wszyscy jej dygnitarze doznali nagłego zaniku pamięci. Pion trzyma Włodzimierz Czarzasty, który a to skrytykuje żołnierzy podziemienia antykomunistycznego, a to zbagatelizuje mord na ks. Jerzym Popiełuszcze.

Czerwony sztandar trzyma się mocno, choć wstydliwie wyciągany z kąta. ©©



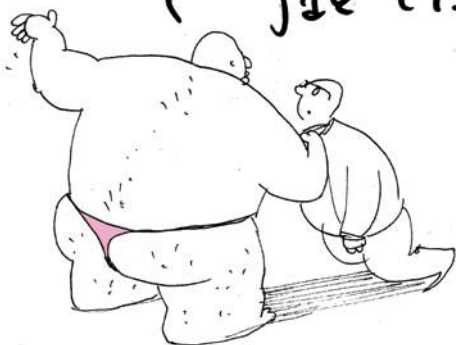
PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Apoteoza Sulejmaniego

Każdy szanujący się włoski postępowiec traktuje drugą gazetę Italii „La Repubblica” jak chrześcijanie Słowo Boże. Dziennik jest dla progresistów opoką. Rozwiewa ideologiczne i moralne rozterki, tłumaczy, jak zorganizowany jest świat, a przede wszystkim poucza, co i jak powinien o problemach tego padołu myśleć modelowy lewicowiec. Lektura często bawi, ale potrafi też jeżyć włos na głowie i budzić refleksję nad katastrofalnym spustoszeniem, które ideologia sieje w postępowych umysłach.

Bądźcie tolerancyjni, to
jak ci...



C E Z Z T Y E R Y I T O R Z

Weźmy choćby casus gen. Kasema Sulejmaniego. W artykule redakcyjnym Eugenio Scalfari, sędziwy założyciel gazety, interlokutor papieża Franciszka, pisze z tej okazji, że żyjemy w świecie dużych i małych dyktatur, a „najsilniejszą jest dyktatu-

ra Donalda Trumpa, który właśnie pokazał, do czego jest zdolny”. Naturalnie polityka Trumpa budzi wątpliwości bardzo wielu ludzi, robi wrażenie decyzyjnego chaosu, a konsekwencji zamachu na Sulejmaniego obawia się teraz cały świat.

Najciekawsze jest jednak to, co Scalfari ma do powiedzenia o arcyterrorystcie Sulejmanim, który ma na rękach krew wielu tysięcy ludzi: „Trump spowodował śmierć żołnierza i polityka, który miał w ręku Iran i Irak, miał wpływ na ich politykę oraz gospodarkę i chciał doprowadzić do pojednania obu krajów”.

Wychodzi więc na to, że Trump zamordował godnego szacunku męża stanu i człowieka pokoju. Informacje o zbrodniach Sulejmaniego dostępne są choćby w Wikipedii w kilkunastu językach, ale wiadomo, że umysł zideologizowany niewygodne prawdy odrzuca. Tak więc, by zaatakować Trumpa, Scalfari apoteozuje perskiego watażkę. Delirium.

Co w Italii dziwi i poraża, to kompletny brak reakcji mediów, polityków i gadających głów w telewizorze na to, co dzieje się w Iranie. Przywódca religijny i polityczny, ajatollah Ali Chamenei, przy – jak się zdaje – głuchym milczeniu całego cywilizowanego świata, podlega do mordu sfanatyzowane masy. Nie darmo od lat z ust przeróżnych autorytetów słyszymy, że islam jest religią pokoju. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Kłótnia w rodzinie

Nowy rok o mały włos nie przywitał nas nowym kandydatem Lewicy na prezydenta, a wszystko przez Krzysztofa Śmieszka, który opatrzył swoje uśmiechnięte zdjęcie hashtagiem: #Śmieszek2020. Partia szybko ucieła spekulacje, twierdząc, że poseł ma „taki temperament”. Sprawa mocno niepokoiła jednak tzw. liberalną opozycję.

„To naprawdę ekscytujące prawyborcy na lewicy. Wciąż nie wiemy, czy p. Śmieszek będzie kandydatem na prezydenta, a p. Biedroń na pierwszą damę, czy na odwrót. Naród zamarł w oczekiwaniu” – stwierdził Roman Giertych. „Jedni piszą, że Pana wypowiedź jest niegrzeczna. Drudzy pytają, czy w ten sposób zdobywa Pan głosy dla Pani Kidawy-Błońskiej? A ja napiszę wprost. Jest Pan kawałem zakompleksionego, próbującego ukryć swoją przeszłość i poglądy chama. Wesołego Nowego Roku Śmieszku :)” – odpowiedział na jego wątpliwości grzecznie Włodzimierz Czarzasty.

„Nie uznaję logiki, w której krytyce nepotyzmu nie podlega związek homoseksualny. Uważam, że w Wiośnie mamy do czynienia z nepotyzmem (i nie chodzi tylko o Biedronia). Promowanie swoich partnerów do funkcji politycznych jest żenujące. I będę o tym pisał, czy się komuś podoba, czy nie” – bronił się jednak adwokat Platformy. I gdy tak panowie sobie debatowali, wątpliwości zostały rozwiane. „Każda wielka podróż zaczyna się od pierwszego kroku... Zaczynamy?” – tweetnął Robert Biedroń. „Wiadomo!” – odparł Krzysztof Śmieszek. I kampania tego pierwszego oficjalnie ruszyła.

A co u kandydatki PO? „Wicie, co to znaczy K+M+B 2020? Kidawa Małgorzata-Błońska prezydentem RP w 2020 roku. #Kidawa2020” – prorokowała posłanka Krystyna Sibińska. Łatwo jednak nie będzie. „Tak sobie słucham TOK FM i się zastanawiam, w jakim celu pani redaktor przytacza wywiad z Kidawą-Błońską, w którym odpowiada ona na pytania o progi podatkowe. Naprawdę kampania prezydencka niezależnych mediów będzie opierała się na szukaniu »słabych stron« opozycyjnej kandydatki? Serio?” – narzekała Beata Ka, również działaczka PO. Mniej narzekania proszę. Czy niezależne media mnie słyszą? ©

WDECH I WYDECH

Joanna Przetakiewicz, była partnerka Jana Kulczyka, obecnie celebrytka i projektantka, chętnie dzieli się swoimi złotymi radami na Instagramie. Teraz postanowiła zdradzić triki, które stosuje, by zawsze dobrze wyglądać. Opisując w 10 punktach swój „beauty management”, poinformowała m.in. że przed pójściem spać myje twarz, używa mleczka do demakijażu i robi trzyminutowy masaż twarzy. Leżąc już w łóżku, stosuje zaś zasadę „2R”, co oznacza „relaks i rozkosz”.

– Piszę sobie kilka miłych rzeczy, które wydarzyły się w ciągu dnia. Takich, które powodują, że życie doceniam bardziej. Nawet jeśli są bardzo drobne. To idealny start na dobry sen – ujawnia. Potem zaś Joanna głęboko oddycha, ale nie byle jak, lecz w sposób bardzo przemyślany. – Oddycham 5 minut w następujący sposób: 4 sekundy wdech, 8 sekund wstrzymanie i 8 sekund wydech. Ale jest jeden warunek: trzeba w trakcie oddychania myśleć o czymś bardzo miłym i przyjemnym. Cały organizm wprowadzić w szczęśliwe vibracje – zdradza. A następnego dnia w spokoju można udać się na botoks, kwas czy inne cuda medycyny estetycznej. I efekt gwarantowany!



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

TO NIEZWYKŁE!

Aktorka Sonia Bohosiewicz postanowiła po raz kolejny podkreślić, że nie czuje się celebrytką ani gwiazdą, lecz jest zwykłą dziewczyną. W tym celu opublikowała na Instagramie swoje półnagie zdjęcia. „Lubię siebie za to, że jestem zwykłą dziewczyną z Żor i umiem robić czasem niezwykle rzeczy” – napisała. Rzeczywiście, półnagie zdjęcia to w show-biznesie rzecz absolutnie niespotykana. I niezwykle.

HEROIZM NATALII

Natalia Siwiec spełnia się jako aktorka. W filmie „Jak zostałem gangsterem.



FOT. PAMEŁA GROMADA

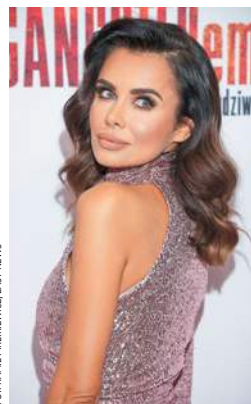
Historia prawdziwa” wcieliła się w postać dziewczyny młodego gangstera, co skłoniło ją do nowych wyznań na temat podobieństwa świata mafii i show-biznesu. W gwiazdach i w gangsterach

można znaleźć wiele podobnych cech. Znajduję sporo analogii pomiędzy tymi dwoma światami. Show-biznes jest miejscem, w którym liczą się tylko pieniądze, układy, ludzie się wykorzystują. Ciężko zawiązać prawdziwe przyjaźnie, a jeśli już się je zawiąże, to łatwo możesz zostać oszukanym – mówi w „Fakcie” Siwiec.

Dodaje, że sama została wiele razy oszukaną. – Nawet w pewnym momencie zaczęłam się bać, że nie będę w stanie zaufać ludziom. W ogóle nie chciałam znać nowych osób, chciałam być jak najdalej od nich. Ale udało mi się to zbalansować i już się nie boję – wyznaje. Czyli mało brakowało, by Natalia wycofała się na dobre z show-biznesu?! Ale jednak, wbrew wszystkim przeciwnościom, została. Jeśli to nie jest prawdziwe bohaterstwo, to co nim jest?

QUO VADIS, ANJA?

Modelka Anja Rubik po tym, jak wyedukowała już Polaków w sprawach seksu, wzięła się do edukacji w kwestiach ekologii. Celebrytka rozpacza nad sytuacją w Australii i przestrzega, że podobny los może spotkać Polskę. – To nie żart! To nie jest normalne! Australia wciąż się pali! 500 milionów zwierząt spalanych na śmierć! Rodziny straciły domy i bliskich. Potrzebujemy zmiany! – pisze Rubik w mediach społecznościowych. – Dla moich polskich followersów – mamy więcej wspólnego z Australią, niż myślisz! Australia jest jednym z najgorszych krajów pod względem polityki klimatycznej, tuż obok Polski! Rząd Australii, podobnie jak polski rząd, nie akceptuje zagrożenia związanego ze zmianą klimatu! Oba rządy ignorują wszystkie ostrzeżenia naukowców. Oba rządy promują przemysł węglowy! – wylicza. Dodaje też, że „Polska ignoruje prawo UE i wycina chroniony przez UNESCO Las Białowieski, co grozi upadkiem różnorodności biologicznej”. – Jak myślisz, dokąd to nas doprowadzi? – pyta na Instagramie celebrytka. Do obłędu. Albo kolejnej okładki w kolorowym magazynie. ©©



FOT. KAMILA PRZETAKIEWICZ/EAST NEWS

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, prezydent Duda nie pojedzie do Jerozolimy na jakieś ważne międzynarodowe spotkanie, ponieważ nie otrzymał tam prawa głosu. Ech, przynajmniej mógł się poczuć jak mniejszości w tym kraju.

W każdym razie mamy tutaj podtrzymanie pięknych obraźliwych tradycji pisowskich rządów. Gdyby pozwolono Dudzie mówić, to pewnie by pojechał. Ale gdy tylko dostał okazję, iżby posiedzieć, posłuchać, co mądrzy ludzie mają do powiedzenia, to już nie. A szkoda.

Z drugiej strony – może to i dobrze? Jeszcze zacząłby jątrzyć i opowiadać o jakiejś wymagowanej prawdziwej historycznej, podważać ostatnie odkrycia pana Putina itd. Tylko siary by narobił.

Trudna wiadomość ze świata sportu jest taka, iż reprezentujący ten kraj Dawid Kubacki zwyciężył w prestiżowym Turnieju Czterech Skoczni, wyprzedzając zawodników z Norwegii i Niemiec.

Oczywiście to kolejna okazja, aby rozbudzać demony polskiego patriotyzmu. Tymczasem my proponujemy odmienne, świeże spojrzenie na temat.

Otóż, jak sama nazwa wskazuje, Turniej Czterech Skoczni składa się z czterech konkursów. W ilu spośród nich zwyciężał Kubacki?

Moja babcia jest stara
ekologiczną świnią, ale
nie każdy ma tyle szczęścia...



C e z e t y k e t y t o n s

W jednym. A połowę konkursów, czyli 50 proc., wygrał młody Norweg Lindvik. Tymczasem niejasne reguły wyłaniania zwycięzcy sprawiły, iż reprezentant tego kraju wygrał cały konkurs, nie mając nawet większości zwycięstw. No i powiedzcie sami, jaki sens ma ten sport? Taki sam jak wybory w Polsce.

Czy macie jakieś noworoczne postanowienia? My postanowiliśmy tym razem zaakceptować siebie samych takimi, jakimi jesteśmy i nie mieć żadnych.

No bo zauważcie – postanowienia z reguły dotyczą tego, iż należy się w czymś poprawić. A tak naprawdę, to skąd wiadomo, iż coś jest w Waszym

życiu złe lub dobre? To opresywne patriarchalno-katolickie społeczeństwo narzuca normy i moralność, więc pamiętajcie, iż najważniejsze to pozostać we własnej strefie komfortu.

Poza tym – jaki jest sens dokonywania takich postanowień, skoro prędzej czy później i tak zostałyby one złamane? Wasza silna wola wcale nie musi przecież być silna, zresztą samo to słowo „silny”, to kolejne zapożyczenie z języka dominacji, opresji i fashysmu i jest dyskryminujące wobec osób o woli mniej konsekwentnej. ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Lewe euro

Panie marszałku! Mam kolejną osobę, którą namawiano, żeby pana zadenuncjowała!
Naprawdę? Taką świętą, jak ten były esbek? Kto to jest tym razem? Były pierwszy sekretarz w jakimś mieście wojewódzkim?
No... nie. Tak w ogóle to kobieta. To dobrze, bo będzie parytet. Skąd ona jest?
Z Mszany Dolnej.

A co ja mam z Mszaną Dolną? Przecież to gdzieś na głębokim południu.
Ale ona się do nas zgłosiła i opowiedziała swoją historię.
Zamieniam się w słuch.
W sumie nic niezwykłego. Mówiła, że kilka dni temu w nocy obudziło ją pukanie do drzwi. Otworzyła, a tam stał Kaczyński z walizką. Wszedł bez pytania, otworzył walizkę, a tam były euro. Podobno 50 tys. I powiedział, że w zamian ona ma ogłosić, że pan wzięł łapówkę za operację jej małego palca u nogi 10 lat temu.

Aha. To bardzo interesujące. I co było dalej? Wyrzuciła Kaczyńskiego za drzwi?
Nie. Dalej robi się chyba trochę mniej wiarygodnie, więc niekoniecznie musimy o tym głośno mówić.
A konkretnie?
Konkretnie to za oknem pojawił się świecący na zielono pojazd, wypuścił z dołu seledynowy promień wprost na Kaczyńskiego, ten się zamienił w mysz i uciekł przez dziurę pod drzwiami.
Aha. To dowiedzcie się jeszcze, gdzie jest te 50 tys. euro. I wtedy wróćcie, to pogadamy. ©©
Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Gdyby mnie zaproszono, to jak najszybciej poleciałbym do Jerozolimy”.

LECH WAŁĘSA, były prezydent, o uroczystościach 75. rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu KL Auschwitz-Birkenau w Izraelu, na których postanowiono nie dawać głosu polskiemu prezydentowi





UCIECZKA Z KRÓLEWSKIEGO DWORU

– Zamierzamy ustąpić z pełnienia ważnych ról – ogłosili niespodziewanie w zeszłą środę książę Harry i księżna Meghan. Publicznie zadeklarowali chęć odsunięcia się od brytyjskiej rodziny królewskiej, zamiar rozpoczęcia „pracy, aby stać się niezależnymi finansowo”, a także potrzebę założenia własnej fundacji charytatywnej. Para pragnie również dzielić życie między Wielką Brytanią a Ameryką Północną.

Zapowiedź odsunięcia się od dworu, a jednocześnie dalszego wspierania Jej Królewskiej Mości wygląda jak klasyczna próba doprowadzenia do sytuacji, w której można mieć ciastko i zjeść ciastko. Trudno się więc dziwić, że pomysł nie spodobał się samej królowej, a także innym członkom rodziny królewskiej. Szczególnie że ponoć Harry i Meghan nie konsultowali swego oświadczenia przed jego upublicznieniem. Oficjalna reakcja pałacu Buckingham była więc bardzo lakoniczna. „Rozumiemy ich pragnienie do pójścia inną ścieżką, ale tak skomplikowane sprawy wymagają czasu, aby je przepracować” – czytamy.

Decyzja pary podzieliła też samych Brytyjczyków, z których większość krytykuje ją jednak jako nieodpowiedzialną i szczeniacką. Wielu poddanych

przypomina im, że zanim ogłosili, iż chcą przejść „na swoje”, na koszt podatników podróżowali po świecie i wyremontowali swoją rezydencję. Nie wiadomo też, kto miałby płacić za ich mieszkanie, a także za kosztowną ochronę pary.

Książę i księżna nie muszą jednak martwić się o finanse, nawet jeśli królowa obetnie im hojne kieszonkowe. A nawet jeśli nie, to dzięki m.in. spadkowi po matce i darowiźnie od księcia Karola, 35-letni Harry ma już majątek wart ok. 20–30 mln funtów. Z kolei 38-letnia Meghan Markle – druga amerykańska rozwódka z plebsu, która skłoniła brytyjskiego członka rodziny królewskiej do odsunięcia się od dworu (w 1936 r. król Edward VIII zrzekł się tronu dla Wallis Simpson) – może wrócić do kariery aktorskiej. Jako żona księcia z pewnością będzie mogła liczyć na dużo wyższe gaje niż zwykła amerykańska aktoreczka. Ona sama jeszcze przed bajkowym ślubem z księciem (w maju 2018 r.) zgromadziła majątek szacowany na 3,5 mln funtów. Może również wrócić do pisania bloga, na którym wcześniej zarabiała, pisząc o modzie, podróżach i jedzeniu.

Harry jest szósty w kolejce do tronu – za księciem Karolem, księciem Williamem i jego trojgiem dzieci. (jap) ©

W PiS trwa opracowywanie koncepcji kampanii, w wyniku której prezydent Andrzej Sebastian mógłby wygrać wybory już w pierwszej turze. Pomysł „czternastki” i „piętnastki” dla emerytów nie chwycił, ale intensywne prace nad kolejnymi pomysłami są kontynuowane. Można się zatem spodziewać, że w tym roku Święty Mikołaj odwiedzi Polaków jeszcze przed majem.

Wiemy nawet od wiewiórek, dlaczego koncepcja wygranej w pierwszej turze jest taka ważna. Z rozmaitych badań i analiz wynika bowiem, że druga tura może być nieco ryzykowna – szalę zwycięstwa może przeważać kilkaset tysięcy głosów.

Sztabowców PiS najbardziej martwi to, że podczas wyborów do Sejmu, mimo że wyraźnie wygranych, mobilizacja hardcore’owego elektoratu PiS była mniejsza niż podczas wyborów do europarlamentu. Trwają więc także intensywne prace nad ustaleniem przyczyn tego stanu rzeczy. Słyszeliśmy w związku z tym od pewnego ważnego doradcy PiS straszliwą herezję: podobno Pawłowicz i Piotrowicz nie pomagają. Wbrew tym, którzy twierdzą, że to ich dopieszczenie byłoby przyczyną największego zadowolenia elektoratu.

Niestety na razie największym problemem dla PiS jest sam PiS. Niektórzy PiS-owcy tak się rozbisurmanili, że służby i prokuratura nie będą miały wyjścia i będą musiały ich zamknąć.

dwaj panowie g

Nieco lęku budzi więc to, że wyjątkowo niezależny krwawy Mario Kamiński będzie zamykał także w momentach politycznie niewygodnych. Nie podzielimy tej troski. Od dawna głosimy, że na zamykanie każdy moment jest dobry.

Àpropos kłopotów związanych z rozmaitymi grzeszkami z przeszłości. Ciężko nadążyć za Smerfem Ważniakiem, jak nazywamy marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego. Otóż teraz twierdzi już, że PiS nie raz, lecz dwa razy proponował mu stanowisko ministra zdrowia. Głupia sprawa, im bardziej tak twierdzi, tym bardziej jest to nieprawda. Zbadaliśmy tę sprawę dogłębniej niż CBA kopertówki.

Wracając do wyborów prezydenckich. Nawet w Platformie jest świadomość, że kandydacja na prezydencję (feminatywy na życzenie lewicy) Kidawa-Błońska jest tak cienka, iż mogłaby stać obiema nogami na krawędzi żyletki bez ryzyka zranienia. Z tego powodu nie ustają poszukiwania jakiejś alternatywy. Niestety, zamawiane wciąż nowe badania i analizy nie dają odpowiedzi, co mogłoby nią być.

Platforma uchodzi za partię nowoczesną w sferze obyczajowej. To mit. Gdybyście posłuchali, jak platformersi mówią o Biedroniu... Nawet nie godzi się tego cytować, takie to wykwyty homofobii. Pojawiają się nawet pogrożki, że gdyby Biedroń jakimś cudem wszedł do drugiej tury, to doły partyjne nie zamierzają się jednoczyć wokół tak postępowego kandydata Eine Totalopposition. I będą głosować na Andrzeja Sebastiana.

Àpropos Eine Totalopposition. Platforma Łobywatelska ma kolejny sześciopak. Po trzech sześciopakach programowych Grześka Schetyny (nazwaliśmy je



FOT. ROBERT CARCZYSKI

razem osiemnastokołowcem) teraz na sześciopak osobowy składa się sześcioro kandydatów na nowego szefa PeŁo. Jesteśmy rozdarci, gdyż uważamy, że cała szóstka to jednostki wybitne i na szefa PeŁo idealne.

Szef PeŁo powinien bowiem być spracowany jak Bartłomiej Sienkiewicz, charyzmatyczny jak Tomasz Siemoniak, porywający jak Bogdan Zdrojewski, spokojny jak Bartosz Arłukowicz, wiedzieć, co mówi, jak Joanna Mucha oraz... No właśnie, tylko o Borysławie Budce nie wiadomo, co napisać, gdyż jest człowiekiem kompletnie bez właściwości. Co w sumie też oznacza, że jest dla PeŁo przewodniczącym idealnym.

Przypominamy kandydującym na szefa PeŁo, że Grzegorz Schetyna jeszcze w zeszłym roku ogłosił na naradzie kierownictwa PeŁo, iż kto chce, by on, Schetyna, przestał być przewodniczącym partii, ten pragnie władzy totalnej PiS. Wychodzi na to, że wszyscy w PeŁo chcą władzy totalnej PiS. Nawet ci, którzy chcą odsunąć PiS od władzy.

Mamy własnego kandydata na nowego szefa PeŁo. Uważamy, że powinien nim być Lech TW „Bolek” Wałęsa. Wymyśliłmy nawet dla niego hasło wyborcze: „OTUA TERAZI!”. Tylko Wałęsa łączy w sobie dobre cechy wszystkich kandydatów. Dlaczego? Gdyż łączy w sobie dobre cechy wszystkich Polaków.

Na wypadek, gdyby nowym szefem PeŁo został kandydat namaszczony oficjalnie przez Grzegorza Skorpio-

Nowa Lewica będzie bardzo nowa, gdyż będą w niej Włodzimierz Wielki Przewodniczący Czaa Czarzasty oraz Robik Biedroń

na Schetynę, już teraz podpowiadamy, żeby w ramach luźnych pozdrowień zamiast „Siemanko!” mówili „Siemonko!”. Grzegorz to jednak spryciarz. Stawia po cichu na dwa konie: Bartosza Arłukowicza i Tomasza Siemoniaka. Z jednym i drugim ma wszystko poukładane na wypadek zwycięskiego scenariusza. Tak opowiadają wiewiórki.

Bardzo jesteśmy podekscytowani powstaniem nowej partii Nowa Lewica. Jak wiadomo, utworzą ją drogą zjednoczenia SLD i Wiosna. Zastanawiamy się tylko, kto w takim razie teraz będzie starą lewicą. Wychodzi na to, że Adrian Zandberg.

Nowa Lewica będzie bardzo nowa, gdyż będą w niej Włodzimierz Wielki Przewodniczący Czaa Czarzasty oraz Robik Biedroń. Ten ostatni 22 lata temu wstąpił do Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej kierowanej naówczas przez Leszka Milera. Przewodniczący Czaa rozpoczynał karierę polityczną w Socjalistycznym Związku Studentów Polskich jeszcze za czasów Edwarda Gierka.

Z powyższego wyliczenia wynika, że trudno będzie w Polsce o lewicę bardziej nową niż Nowa Lewica.

Jedyny sposób na przebicie tych osiągnąć to ogłoszenie, że biegają się z majorem Baumanem po lesie, strzelając do bandytów i zaplutyh karłów reakcji.

Zabawna rzecz. Gdy dopytujemy czerwone wiewiórki, kiedy dokładnie odbędzie się wielkie zjednoczenie SLD i Wiosny, odpowiadają, że nie mogą powiedzieć, gdyż statut jest w sądzie. „A wiecie, jak u nas działają sądy” – wzdychają zmartwione czerwone wiewiórki.

Zuwagą obserwujemy doniesienia na temat noworocznych wizyt szefów spółek Skarbu Państwa na Nowogrodzkiej oraz spekulacje na temat, co też mogą ze sobą przynosić w darze. To chyba oczywiste: ci od latania – modele samolotów, ci od kopalin – modele koparek, ci od paliw – modele dystrybutorów. To nie jest nowa moda w polityce. Amerykanie, pamiętamy, podarowali np. ministrowi Błaszczakowi modele patriotów. Też byśmy chcieli!

Wiele jest w Polsce miejsc nieszczęśliwych, ale mało tak bardzo nieszczęśliwych jak Kielce. Mieszkańców tego pięknego grodu śpieszymy zapewnić, że nie jest to ocena ich stylu życia, lecz stylu pracy Bogdana Wenty, prezydenta miasta. Jak bowiem skarżą się wiewiórki, prezydenta Bogdana raczej nie ma, zamiast niego występuje pani wiceprezydent Papaj i w ogóle nie wiadomo, kto rządzi. A teraz najśmieszniejsze. Te skargi płyną do nas nie z ust polityków PiS, ale Platformy Łobywatelskiej oraz Peezelu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na dyskusję
wokół pierwszego
tomu publikacji

Represje za pomoc Żydom na okupowanych ziemiach polskich w czasie II wojny światowej
w opracowaniu Aleksandry Namysło i Martyny Grądzkiej-Rejak

W dyskusji udział wezmą:

DR ALEKSANDRA NAMYSŁO

– redaktor tomu Instytut Pamięci Narodowej

DR MATEUSZ SZPYTMA

– wiceprezes IPN

DR MARTYNA GRĄDZKA-REJAK

– redaktor tomu Instytut Pamięci Narodowej

Prowadzenie:

DR HAB. PROF. UG GRZEGORZ BERENDT



16 stycznia 2020 (czwartek)
godz. 17:00

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
im. Janusza Kurtyki
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa



Rafał A. Ziemkiewicz

Izrael zdominowany jest przez Żydów rosyjskich, których stosunek do naszego kraju ukształtowała propaganda byłego ZSRS. Ich resentymenty zbiegają się z interesami wpływowych organizacji żydowskich w USA

Z perspektywy kilku tygodni widać, że obelgi prezydenta Rosji, który czterokrotnie w krótkich odstępach czasu zaatakował Polskę, insynuując nam współwinę za wybuch wojny oraz Holocaust i określając naszych przedwojennych polityków mianem bydlaków czy antysemitów, nie były przypadkiem, ale początkiem przemyślanej kampanii propagandowej. Wydaje się, że jej apogeum stanowić ma Światowe Forum Holocaustu w Jerozolimie, na którym w tym roku właśnie Władimir Putin będzie najwyższym rangą gościem i głównym mówcą.

Doroczne forum (spotkanie 23 stycznia będzie jego piątą edycją) organizowane jest przez prywatną fundację o tej samej nazwie, kontrolowaną przez rosyjskiego oligarchę i działacza międzynarodowych stowarzyszeń żydowskich, Wacława Mosze Kantora. Bez głębszego wnikania w źródła jego fortuny możemy być pewni, że nie doszedłby do niej, a na pewno nie zachowałby jej bez aktywnej współpracy z władzami i służbami Rosji. Jednak, choć to właśnie Kantor ma decydujący wpływ na program spotkania, patronat muzeum Yad Vashem oraz władz Izraela czyni z tego spotkania w oczach całego świata rodzaj oficjalnych, rocznicowych obchodów. A opinie wygłaszane w takich miejscach trafiają natychmiast na czołówki najbardziej wpływowych światowych mediów.

PRZYKRYWAJĄ WŁASNE PROBLEMY

Jaka może być ich siła rażenia, wiemy dobrze po wizerunkowym Pearl Harbor, które dwa lata temu urządził nam premier Izraela, nakazując swej ambasador w czasie obchodów rocznicy wyzwolenia Auschwitz zaatakować nagle Polskę za rzekomą chęć karania historyków i ar-

Dwóch przeciwko



tystów opisujących polską współodpowiedzialność za Holocaust. Pretekstem do ataku była nowelizacja ustawy o IPN – ale, co umknęło uwadze nawet polskiej stronie, cel ataku stanowiły stronniczo zinterpretowane zapisy, które w ustawie były już od lat i dotąd nie budziły żadnego sprzeciwu Żydów, którzy mieli wiele okazji dać wyraz ewentualnym wątpliwościom w sposób właściwy stosunkom między cywilizowanymi narodami. Z perspektywy czasu widać, że cała hucpa była skutkiem wewnętrznych rozgrywek politycznych w Izraelu. Rozpętując ją, Netanjahu chciał odwrócić uwagę od postawionych mu właśnie w tym czasie zarzutów korupcyjnych i jednocześnie zapewnić sobie w oczach nacjonalistycznego elektoratu, jako polityk bardziej wobec nielubianej w nim Polski stanow-

czy, przewagę nad głównym konkurentem w tym wyborczym segmencie, Jairem Lapidem. Celów tych do końca nie osiągnął, jego władza nadal jest niestabilna, a akcja premiera Morawieckiego, który, prawdopodobnie dzięki naciskowi USA, zdołał uzyskać wspólną z Netanjahu deklarację oddającą Polsce nieco z historycznej sprawiedliwości, ograniczyła nasze straty (choć kosztem ośmieszenia procesu legislacyjnego, który na użytek tej deklaracji skrócono do dziewięciu godzin od momentu wniesienia przedłożenia do prezydenckiego podpisu).

Niemniej ten właśnie przypadek należy uznać za wzorzec i inspirację dla Władimira Putina. Podobnie głównej przyczyny ataków należy upatrywać w wewnętrznych problemach agresora. Putin coraz bardziej rozpaczliwie potrzebuje sukcesu. Napaść

Polsce



na Krym i Donbas przez nienoszących żadnych dystynkcji bojowców – w oporządzeniu, które zdaniem Putina kupić można w każdym sklepie survivalowym – nie przyniosła oczekiwanego przez Rosjan odzyskania Ukrainy. Przeciwnie: w społeczeństwie dotąd w większości hołdującym postkomunistycznym resentymentom i z tego powodu raczej prorosyjskim perfidia tej agresji obudziła ducha oporu i nienawiści wobec wschodniego sąsiada. Grzęznąc w Donbasie, Rosja zdaje się również tracić wpływy na Białorusi – mający u nas bardzo złą prasę Aleksander Łukaszenko okazał się dla Putina partnerem twardszym, niż ktokolwiek przewidywał, po części dlatego, że sama Rosja okazała się niezdolna dotrzymać wielu punktów z tego, co oficjalnie zobowiązała się ze swej strony zapewniać w układzie konstytuują-

cym Związek Białorusi i Rosji. Powodów do zadowolenia nie daje też Rosjanom ich sytuacja gospodarcza i poziom życia, pomimo wielu obietnic od lat nie ulegają one istotnej poprawie i coraz bardziej dociera do Rosjan, że żyją w państwie anachronicznym, zacofanym w stosunku już nie tylko do Zachodu, lecz także Azji.

Przykrywanie problemów wewnętrznych agresją na zewnątrz zdarzało się w historii wielokrotnie. Przykłady można mnożyć, poczynawszy od XVII-wiecznego imperium osmańskiego po napaść rządzącej Argentyną junty wojskowej na Falklandy. Putin robi to samo. Na razie, na szczęście, w sferze symbolicznej. Specyfika rosyjskiego społeczeństwa sprawia, że jego wyborcy bardziej niż dóbr materialnych potrzebują zaspokojenia oczekiwań mocarstwowych. Chcą

być przekonywani, że mimo trudności życia codziennego Rosja nadal się liczy w świecie, nadal jest mocarstwem i że ktoś nadal się jej boi. I podobnie jak w wypadku polityków izraelskich także i tym rosyjskim Polska jawi się jako idealny chłopiec do bicia.

ROSYJSKO-IZRAELSKIE ZBLIŻENIE

Dodatkową okolicznością skłaniającą Putina do zaatakowania właśnie nas jest rosyjsko-izraelskie zbliżenie, pożądane dziś przez obie strony, jakkolwiek niemiłe widziane przez głównego sojusznika Izraela i Polski – Stany Zjednoczone. Nie jest przypadkiem, że gdy amerykańskie drony zabijały na lotnisku w Bagdadzie gen. Sulejmaniego i jego irackich sojuszników, a irańskie rakiety spadały w odwecie na amerykańskie bazy, prezydent Rosji rozmawiał w Damaszku z syryjskim dyktatorem Asadem, a stamtąd udał się do Turcji na konsultacje z prezydentem Erdoğanem. Na niższym szczeblu dyplomatycznym krzątania rosyjska na Bliskim Wschodzie trwa nieustannie. Mieszanie w tym regionie stało się priorytetem rosyjskiej polityki, sposobem na podtrzymanie gasnącej mocarstwowości. Życzliwość Izraela jest w tej grze bardzo ważnym dla Putina atutem. Dla Netanjahu z kolei współpraca z Putinem stanowi cenną alternatywę wobec spełniania oczekiwań amerykańskiego sojusznika.

Izrael, stworzony w przemożnym stopniu przez Żydów z Polski, swego czasu życzliwie goszczący wielu polskich artystów, dziś zdominowany jest przez Żydów rosyjskich, których stosunek do naszego kraju – i w ogóle postrzeganie świata – ukształtowała propaganda byłego ZSRS. Ich resentymenty zbiegają się z interesami wpływowych organizacji żydowskich w USA, zainteresowanych przede wszystkim powtórzeniem wielkiego sukcesu, jakim było obrabowanie szwajcarskich banków, i ściągnięciem z Polski wielomiliardowego haracz pod pozorem zwrotu „mienia bezspadkowego”. Ponieważ takie pojęcie nie istnieje w prawie międzynarodowym, jedynym uzasadnieniem ich roszczeń może być „odpowiedzialność moralna” – wedle formuły wygłoszonej kiedyś przez szefa Światowego Kongresu Żydów, że nie można pozwolić, aby sprawcy zbrodni dziedziczyli po jej ofiarach. Nie jest to, jak naiwnie chce wierzyć inteligencka elita PiS, żadne „nieporozumienie” czy „historyczna zaszłość”, ale cyniczna,

amoralna kampania propagandowa, niezbędna do zrealizowania gangsterskich zamiarów wobec naszego kraju.

Trudno sobie wyobrazić skuteczniejsze apogeum takiej kampanii niż obserwowane przez cały świat forum, na którym prezydent Rosji współ z politykami i autorytetami żydowskimi strofują pozbawionego prawa głosu prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i pouczają go o polskiej odpowiedzialności za wojnę i za Holokaust. A pamiętając, z jaką dezynwolturą wobec historycznej prawdy premier Netanjahu umiał ogłosić kilka lat temu na kongresie syjonistycznym, że Niemcy nie chcieli Holokaustu i namówili ich do tego przywódca muzułmańscy, mógł Putin być pewnym współpracy z tej strony. Tym bardziej że ze strony Izraela partnerem Władysława Kantora w technicznym zorganizowaniu forum jest osławiony minister Izrael Kac, który – podobnie jak rząd, do którego należy – stanowczo odmówił jakichkolwiek przeprosin za swe rasistowskie uwagi o „antysemityzmie wysysanym przez Polaków z mlekiem matki”.

Odmawiając udziału w tej politycznej i historycznej – raz jeszcze trzeba użyć tego narzucającego się określenia – hucpie, prezydent Duda podjął jedyną decyzję, jaka z polskiego punktu widzenia była możliwa. Jak ujawnił ambasador RP w Jerozolimie, Marek Magierowski, o tym, że warunkiem uczestnictwa naszego prezydenta w forum jest udzielenie mu głosu na równych prawach z głównymi mówcami, Yad Vashem i władze Izraela informowane były ze stosownym wyprzedzeniem już kilka miesięcy temu. Ze strony polskiej, jak się zdaje, zrobiono więc wszystko, czego wymagało założenie, że partnerzy kierują się dobrą wolą. Założenia naiwne, ale w dyplomacji konieczne.

Możliwe, że organizatorzy forum do ostatniej chwili liczyli, iż prezydenta RP do odegrania wyznaczonej mu roli uda się skłonić, organizując wewnętrzny nacisk ze strony polskich „pożytecznych idiotów”, nieraz już używanych z powodzeniem do przypisania Polsce sprawstwa zbrodni w Jedwabnem czy innych oczerniających nasz kraj kampanii.

TOTALNA GŁUPOTA

Nie były to rachuby bezpodstawne. Opozycja, która sama zadeklarowała się swego czasu jako „opozycja totalna”, przyzwyczaiła już wszystkich, że gotowa

jest przeciwko rządowi, prezydentowi i sejmowej większości przyznać rację każdemu, kto Polskę zaatakuje, z całkowitym lekceważeniem meritum sprawy, interesu Polski, a nawet zdrowego rozsądku. Tak samo stało się po ogłoszeniu decyzji Andrzeja Dudy. Ignorując fakty, winę za antypolskie nastawienie organizatorów forum opozycyjne media natychmiast zaczęły przypisywać wspomnianej nowelizacji ustawy o IPN, „nieudolnej dyplomacji PiS”, która „doprowadziła do kolejnej międzynarodowej kompromitacji” etc. Ukoronowaniem tych oskarżeń były stwierdzenie lewicowego posła Sterczewskiego, jakoby „nie jadąc do Jerozolimy, prezydent Duda sam odebrał sobie prawo głosu”, oraz opublikowany na portalu lewicowej „Krytyki Politycznej” komentarz Jana Grabowskiego, znanego z licznych antypolskich publikacji, który decyzję forum uznał za w pełni uzasadnioną, ponieważ Polska jest rządzona przez „nacjonalistów”, którzy utracili „moralne prawo” wypowiadania się o Shoah, zaprzeczając polskiej odpowiedzialności za tę zbrodnię.

Można rzec, że głoszenie takich tez i sięganie po takich osób jak Grabowski to kolejna kompromitacja „totalnej opozycji” i dowód, że dla obecnych rządów nie ma Polska poważnej alternatywy. Niestety, jeśli nawet tak uznać, ta kompromitacja odbywa się kosztem naszego dobrego imienia. Chcąc za wszelką cenę dokończyć znienawidzonej władzy, jej krajowi przeciwnicy uwiarygadniają i wzmacniają w oczach Zachodu wizerunkową agresję Putina na nasz kraj. Na przykład tezy „Gazety Wyborczej” i „Newsweeka” o rzekomym błędzie prezydenta Dudy natychmiast zacytowane zostały przez zawsze niechętny Polsce i sprzyjający Rosji „The New York Times”, na który z kolei powołał się w ataku na prezydenta Tomasz Siemoniak, były szef MON, a obecnie kandydat do przywództwa w PO (skądinąd to zresztą stale się powtarzający mechanizm). Służy to wzmocnieniu idącego w świat przekazu, na którym zależało inicjatorom nagonki na Polskę – przekazu o „zbojkotowaniu” forum przez polskiego prezydenta, jak określił to m.in. wspomniany „The New York Times”, z sugestią, że przyczyną bojkotu jest polska niechęć do upamiętniania tej zbrodni.

Ta narracja – o „zbojkotowaniu” przez polskie władze upamiętnienia Holokaustu – jest szczególnie dla nas groźna i szczególnie pożyteczna dla celów, które osiągnąć chcą Putin, Netanjahu i nowo-

jorscy rekieterzy. Czy jesteśmy w stanie się jej przeciwstawić?

Szczęśliwie zaangażowanie się w propagandowe niszczenie polskiej reputacji Putina pociągnęło też za sobą nieprzewidziane przez niego skutki. Przemaszując głównie do swoich podwładnych, z właściwą Rosjanom brutalną retoryką o bydlakach czy antysemitach swołoczcy i nawiązując wprost do stalinowskiej narracji historycznej – której częścią było też insynuowanie Zachodowi, że tylko pozorował walkę z Hitlerem, celowo ograniczając swój wysiłek i odwlekając D-Day, aby maksymalnie wykrwawić Rosję – Putin zszokował i zniesmaczył nawet część środowisk żydowskich i liberalno-lewicowych. Tam także podniosły się głosy przypominające, że to jednak pakt Stalin-Hitler (bo tak jest on na Zachodzie nazywany, mniej może ściśle historycznie, ale z punktu widzenia komunikacji trafniej) otworzył drogę wojnie, a nie polskie wkroczenie na Zaozbie. Dla wielu mieszkańców Zachodu, wychowanych na tamtejszych filmach, odpowiedzi i komentarze po brutalnym ataku Putina były być może pierwszą okazją, by dowiedzieć się, że Stalin nie był dobrym „wujkiem Joe”, a ZSRS imperium dobra, które powstrzymało największego zbrodniarza w historii, i że prawda historyczna jest bardziej skomplikowana.

Także dobór obdarzonych prawem głosu gości forum zaniepokoił część środowisk żydowskich. Pojawiły się opinie, może jeszcze niezbyt liczne, ale zauważalne, że niedopuszczenie do głosu prezydenta kraju, który stracił wskutek Holokaustu najwięcej obywateli i który pierwszy bezskutecznie próbował zaalarmować Zachód o dokonywanej zbrodni, przy jednoczesnym ustawieniu w centrum wydarzeń stron paktu Stalin-Hitler i krajów bijących dziś rekordy w liczbie antysemitycznych ekscesów, to zbyt gruba kpina z historycznej prawdy i zdrowego rozsądku.

Czy to wystarczy, żeby osłabić propagandowy atak na Polskę i ograniczyć jego skutki? Banalnie zabrzmi stwierdzenie, że wiele zależy tu od stopnia mobilizacji Polaków i sprawności naszych instytucji, w pierwszej fazie kampanii dość biernych (trudno sądzić, że wybór przez Putina na moment ataku początku okresu świątecznego, tradycyjnie paraliżującego polskie urzędy, był przypadkiem). Ale przecież tak właśnie jest.



Emigracja, a nie eksterminacja

Polska Komisja Studiów na Madagaskarze w 1938 r. Od prawej: mjr M. Lepecki, dyr. L. Alter i inż. S. Dyk FOT. FBC



Piotr Zychowicz

Polska w latach 30. miała plan masowej emigracji Żydów. Chciała go jednak zrealizować we współpracy z Żydami, a nie z Hitlerem

Trwa wojna o historię. Wojnę tę wypowiedział Władimir Putin, przypuszczając w ostatnich tygodniach zmasowany atak na Polskę. Na oskarżenia rosyjskiego prezydenta można reagować dwojako – albo świętym oburzeniem, rozdzieraniem szat i okrzykami pełnymi emocji, albo spokojnie i w sposób merytoryczny.

Znacznie lepsze efekty można osiągnąć, stosując drugą metodę. Nie dać się sprowokować i wyprowadzić z równowagi. Na podstawie dokumentów i ustaleń historyków spokojnie obnażać nonsensowność zarzutów wysuwanych przez prezydenta Rosji.

Zacznijmy od – przytoczonych przez Putina – słów ambasadora w Berlinie Józefa Lipskiego, które padły podczas rozmowy z Adolfem Hitlerem. Polski dyplomata powiedział, że jeżeli niemiecki kanclerz znajdzie rozwiązanie problemu żydowskiego w Europie, to „wystawimy mu piękny pomnik w Warszawie”. Putin przytoczył te słowa jako dowód na to, że II RP była państwem antysemickim i zbrodniczym.

Część polskich mediów w emocjonalnych artykułach oskarżyła Putina

o kłamstwo. Jest to tymczasem cytat autentyczny. Znalazł się w raporcie Lipskiego z 20 września 1938 r., w którym relacjonował on rozmowę z Führerem. Raport ten jest od lat znany historykom. Ostatnio został opublikowany w „Polskich Dokumentach Dyplomatycznych”.

Manipulacja Putina polega na czymś innym. Wyjmując słowa Lipskiego z kontekstu, rosyjski przywódca zasugerował, że Polska znała i aprobowała ludobójcze plany III Rzeszy wobec Żydów. Mało tego – chciała wziąć udział w ich realizacji. To zaś jest nieprawdą.

Kanclerz i ambasador rozmawiali nie o eksterminacji, tylko o emigracji europejskich Żydów. Był rok 1938 i do konferencji w Wannsee – na której Niemcy podjęli decyzję o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej” – byli

■ jeszcze cztery lata. W 1938 r. Berlin nie opracował jeszcze planu eksterminacji narodu żydowskiego.

Nawet w latach 30. polskie plany diamentralnie różniły się jednak od planów niemieckich. Hitler chciał bezwzględnie wypędzić z Rzeszy wszystkich Żydów. A Polska opowiadała się za dobrowolną emigracją części swoich obywateli pochodzenia żydowskiego. To duża różnica.

Swoją koncepcję Warszawa planowała zrealizować nie w sojuszu z Berlinem – jak sugeruje Putin – ale w sojuszu z Żydami. A także z Paryżem i Londynem, pod których kontrolą znajdowały się potencjalne tereny osadnicze. Polska odrzucała jednocześnie możliwość kopiowania antysemickiego programu III Rzeszy.

Świadczą o tym dokumenty przedwojennego Wydziału Polityki Emigracyjnej MSZ, w którego gestii znajdowała się ta kwestia. Materiały te znajdują się obecnie w Archiwum Akt Nowych. Sygnatury akt 10004 i 10005. W jednej z analiz ze stycznia 1939 r. stwierdzono, że Polska ma teoretycznie dwie możliwości rozwiązania „problemu żydowskiego”.

„1) Drogą akcji jednostronnej, tzn. przez rozpoczęcie wojny z Żydami, zarówno w kraju, jak i w świecie. Jak długo Niemcy rozgrywają swój problem żydowski w skali światowej, liczyć możemy na Niemców jako na naturalnych sojuszników.

2) Drogą konstruktywnej współpracy z Żydami, tzn. sojuszu zarówno z Żydami polskimi, jak i z żydostwem światowym”.

Którą z tych dwóch dróg obrali Polacy? Numer dwa. Pracownicy MSZ powoływali się na względy pragmatyczne – groźbę utraty sympatii Anglosasów. A także na względy natury moralnej.

„Problem żydowski – czytamy w kolejnej analizie – może być skutecznie i bez niebezpieczeństwa dla Państwa Polskiego rozwiązany tylko drogą kolaboracji międzynarodowej, tzn. współpracy państw emigracyjnych, imigracyjnych i społeczeństwa żydowskiego. [...] Odmienna sytuacja ludnościowa, odmienna psychika narodowa i odmienny ustrój polityczny sprzeciwiają się naśladowaniu polityki żydowskiej Trzeciej Rzeszy”.

Ten ostatni cytat jest chyba rozstrzygający. Polska miała całkowicie inny program wobec Żydów niż III Rzesza. A Władimir Putin nie ma racji. Niefortunne słowa Lipskiego wypowiedziane do Hitlera należy uznać za zwykłą dyploma-

tyczną kurtuazję wobec gospodarza. Za tymi słowami nic nie stało.

„ŻYDZI NA MADAGASKAR”

– Powiem wam otwarcie, że tym, co mnie dosłownie uderzyło, było to, jak traktowali tzw. kwestię żydowską Hitler i oficjalni przedstawiciele Polski – powiedział rosyjski prezydent. – Wyobrażacie sobie? Rok 1938, wysłać Żydów z Europy do Afryki? Na wymarcie. Na zagładę – dodał.

Ten cios na pozór został wymierzony celnie. Nie jest bowiem tajemnicą, że pod koniec lat 30. w polskich kręgach rządowych rzeczywiście pojawił się pomysł emigracji części polskich Żydów do Afryki. Oślawione hasło: „Żydzi na Madagaskar!” nie wzięło się znikąd. I tu jest pies pogrzebany – projekt ten nie miał nic wspólnego z wysyłaniem ludzi na „wymarcie i zagładę”. Było odwrotnie.

Wszystko zaczęło się w latach 20., gdy Wielka Brytania, nie chcąc drażnić Arabów, znacznie ograniczyła liczbę żydowskich osadników wpuszczanych do Palestyny. Przed Żydami drzwi zatrzasnęły również USA. W tej sytuacji polskie władze zaczęły szukać innych miejsc, w których mogliby się osiedlić żydowscy emigranci.

Nie był to oryginalny pomysł Polaków, ale wsparcie idei wysuniętej przez samych Żydów. W 1903 r., na VI Światowym Kongresie Syjonistycznym w Bazylei, Theodor Herzl – ojciec ideologii syjonistycznej – wystąpił z pomysłem

Myślę, że spora część Żydów, która w latach 30. trafiła do sowieckiego Birobidżanu, wolałaby znaleźć się na słonecznym Madagaskarze

stworzenia siedziby narodu żydowskiego w Ugandzie. Projekt zyskał przychylność brytyjskiego sekretarza ds. kolonii Josepha Chamberlaina.

To właśnie wówczas narodził się tzw. terytorializm, czyli odłam syjonizmu opowiadający się za szukaniem alternatywy dla Palestyny. Liderem tego ruchu był Israel Zangwill, szef Światowej Organizacji Terytorialistycznej (JTO).

Polskie władze wspierały te środowiska i w latach 30. sondowały możliwość ulokowania żydowskich osadników

z Polski na rozmaitych egzotycznych terytoriach – w Angoli, Kenii, Ugandzie, Gujanie Francuskiej, Nowej Kaledonii, na Nowych Hebrydach, w Argentynie, Brazylii, Ekwadorze, Gwatemali, Kolumbii czy Australii.

Najgroźniejszym pomysłem tej ekipy był oczywiście Madagaskar. Należąca do Francji wyspa położona u wschodnich wybrzeży Afryki. Słabo zaludniony Madagaskar wydawał się idealny do osadnictwa. Wyspa liczy blisko 600 tys. km kw., czyli jest mniej więcej dwa razy większa niż współczesna Polska.

Rozmowy na temat Madagaskaru Polacy prowadzili z premierem Léonem Blumem (który sam był Żydem) i ministrem kolonii Mariusem Moutetem. W 1937 r. na Madagaskar – przez Paryż – udała się polska komisja, która miała zbadać, czy na wyspę można bezpiecznie sprowadzić żydowskich imigrantów z Polski. Komisja miała ustalić, czy tamtejszy klimat i warunki nadają się do tego, by mogli w nich zamieszkać przybylsze z Europy. Bez narażenia ich na śmierć z głodu i z powodu tropikalnych chorób.

W skład komisji obok byłego adiutanta Piłsudskiego Mieczysława Lepeckiego weszło dwóch Żydów – Leon Alter, dyrektor Żydowskiego Towarzystwa Emigracyjnego JEA, oraz Salomon Dyk, inżynier agronom z Tel Awiwu. Ich udział to chyba najlepszy dowód na to, że polski „projekt Madagaskar” nie był jakimś diabelskim planem afrykańskiego ludobójstwa Żydów.

Na miejscu okazało się, że na wyspie nie ma warunków na masową emigrację. Strona francuska uczciwie zresztą o tym Polaków poinformowała. Wyspa mogła przyjąć kilkuset, góra kilka tysięcy emigrantów. Nawet najbardziej optymistycznie nastawiony Lepecki uważał, że Madagaskar może stać się ojczyzną dla maksymalnie 5–7 tys. rodzin.

W efekcie Polska nie podjęła praktycznych działań, zmierzających do realizacji „projektu Madagaskar”. Sprawę zarzucono. Pomysł ten należy uznać za egzotyczną fantazję, mrzonkę. W ciekawy sposób pisze o tym Zofia Trębacz w książce „Nie tylko Palestyna. Polskie plany emigracyjne wobec Żydów 1935–1939”. Zdaniem badaczki w zasadzie wszystkie polskie projekty emigracji Żydów były oderwane od realiów.

Podstawowy problem polegał bowiem na tym, że polskie władze chciały doprowadzić do wyjazdu z Polski „nadmiaru”

żydowskich kupców i adwokatów. Kraje docelowe potrzebowały zaś osadników, ale... rolniczych. W tej sytuacji trudno się dziwić, że zabiegi Warszawy i organizacji żydowskich kończyły się fiaskiem.

Wyciąganie sprawy Madagaskaru akurat przez Władimira Putina wydaje się mocno ryzykowne. Prezydent Rosji najwyraźniej zapomniał o tym, że Związek Sowiecki również miał swój plan emigracyjny wobec Żydów. Mało tego – w przeciwieństwie do Polski – plan ten realizował.

Mowa o Żydowskim Obwodzie Autonomicznym w Birobidżanie. Na to położone na Dalekim Wschodzie, dziewicze terytorium Stalin w latach 30. przesiedlił tysiące Żydów. Swego czasu miałem okazję poznać panią, która urodziła się w Birobidżanie i spędziła tam dzieciństwo. Opowiadała mi o katastrofalnych warunkach panujących w Obwodzie. O głodzie, biedzie, wszechobecnym kłamstwie i terrorze NKWD. Birobidżan, który miał być sowieckim „rajem” dla Żydów, wielu z nich przyniósł strach i nędzę.

Myślę, że spora część Żydów, którzy w latach 30. trafili do zabiedzonego sowieckiego Birobidżanu, wolałaby znaleźć się na słonecznym francuskim Madagaskarze.

I jeszcze jedna uwaga. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby – krytykowane przez Putina – plany emigracji części polskich Żydów do Afryki zostały zrealizowane. Otóż ludzi tych nie byłoby w Polsce w 1939 r., gdy wkroczyły do niej wojska niemieckie. Myśli tej chyba nie trzeba kończyć.

PAKT Z SYJONISTAMI

Znacznie bardziej realna niż współpraca z terytorialkami była oczywiście współpraca z syjonistami. Pomoc, którą przedwojenna Polska udzieliła Żydom w walce o państwo Izrael, była olbrzymia. To sprawy doskonale znane, sam kilkakrotnie pisałem o nich na łamach „Do Rzeczy” i „Historii Do Rzeczy”.

Polskie władze w latach 30. zawarły tajne porozumienie z prawicowymi syjonistami-rewizjonistami Zewa Żabotyńskiego. Polityk ten lansował wówczas plan wielkiej emigracji polskich Żydów do Palestyny. W ciągu dekady Rzeczpospolitą miało opuścić ok. 700 tys. osób.

Polski wywiad w tajnych ośrodkach szkoleniowych ćwiczył żydowskich bojowników, których następnie przerzucał potajemnie na Bliski Wschód. Przekazy-

wał syjonistom pieniądze i broń. Polskie władze pomagały również w nielegalnym przenikaniu osadników do Palestyny. Żydzi ci wyjeżdżali z Polski jako „turyści” – transportowano ich pociągami do rumuńskiego portu w Konstancji, skąd odpływali na Bliski Wschód.

Polacy oczywiście pomagali syjonistom z powodów pragmatycznych. Między przedstawicielami rządu w Warszawie a ludźmi Żabotyńskiego występowała wspólnota interesów. Jedni chcieli, żeby część Żydów wyjechała z Polski. Drudzy chcieli, żeby ci ludzie trafili do Palestyny.

Na koniec kluczowe pytanie: Dlaczego Warszawa snuła te wszystkie plany? Dlaczego rządowi zależało na zmniejszeniu żydowskiej populacji zamieszkującej Polskę? Oczywiście motywem nie była miłość do Żydów. W latach 30. w Europie nasiliły się nastroje antysemitckie i nacjonalistyczne. Trend ten nie ominął również naszego kraju.

Po śmierci Piłsudskiego w 1935 r. obóz sanacyjny przejął wiele idei endecji. W Żydach widziano niebezpiecznych konkurentów, którzy blokują Polakom drogę do kariery w wolnych zawodach i handlu. Stąd antysemitckie hece na uczelniach, bojkot żydowskich sklepów czy wymierzona w Żydów ustawa paszportowa z 1938 r.

Do wzrostu napięcia między Żydami a Polakami przyczynił się wielki kryzys lat 30. XX w., który zubożył obie społeczności. Spora część spośród 3,5 mln polskich Żydów żyła w skrajnej nędzy, bez szansy na poprawę swojego losu w biednej Polsce. Emigracja wydawała się idealnym rozwiązaniem tych nabrańskich problemów. Uważali tak zarówno Polacy, jak i wielu Żydów.

„W konsekwencji kryzysów ekonomicznych, jakie przechodzą kraje Europy Wschodniej – napisano w komunikacie Egzekutywy Światowego Kongresu Żydów z 12 października 1936 r. – daje się odczuwać obiektywna potrzeba emigracji części żydostwa. Pod tym kątem widzenia wszelkie wysiłki, czy pochodzące od Żydów, czy nie-Żydów, a zmierzające do otwarcia granic krajów emigracyjnych, powinny być przyjęte przychylnie i poparte”.

Również w dokumentach polskiego MSZ podkreślano, że na masowej emigra-

cji skorzystają także sami Żydzi. Zarówno ci, którzy wyjadą, jak i ci, którzy zostaną.

Zofia Trębacz w swojej książce pisze o jeszcze jednym motywie. Otóż polskie projekty emigracji Żydów były elementem szerszego planu modernizacji kraju, który miały w latach 30. polskie władze. Zakładał on, że część chłopów z przeludnionych wsi uda się przenieść do miast, gdzie zajmą się handlem i usługami. Problem w tym, że miejsca te były zajęte przez Żydów. Masowa żydowska emigracja miała więc na celu zwolnienie ich dla polskich chłopów.

Jak reagowali na te pomysły sami Żydzi? Opinie były zróżnicowane. Na

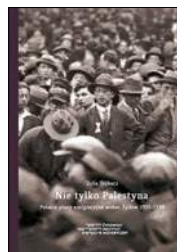
przykład bundyści stanowczo je odrzucali. Oni uważali, że Polska jest ich ojczyzną i nie zamierzali się z niej nigdzie ruszać. Chcieli walczyć o poprawę swojego losu na miejscu, w kraju swoich przodków, a nie na pustyniach Afryki i Palestyny.

„Nie jesteśmy w Polsce obcy – pisała »Myśl Socjalistyczna« w grudniu 1936 r. – i kategorycznie odrzucamy wszelkie tendencje do rozwiązania tzw. sprawy żydowskiej przez pozbycie się nas, przez emigrację. Nawet najłagodniejsze stawianie sprawy w ten sposób jest przejawem traktowania nas jak obywateli drugiej kategorii i jest wodą na młyn antysemityzmu”.

Z kolei Żydowski Komitet Gospodarczy w tym samym 1936 r. wydał deklarację, w której ogłosił, że emigracja nie jest problemem żydowskim, tylko demograficznym. Komitet wyrażał „całą wdzięczność” wobec polskiego rządu, za wspieranie wysiłków zmierzających do „odrodzenia narodu w Palestynie”.

Jak widać, polskie plany emigracyjne wobec Żydów nie są epizodem dziejów II RP, z którego powinniśmy być szczególnie dumni. Jednakże nie można zrównywać ich z niemieckimi koncepcjami Endlösung.

Najlepsze rozwiązanie tego, co nazywano wówczas „problemem żydowskim w Polsce”, było następujące: żeby wyjechali ci, którzy chcą wyjechać, a zostali ci, którzy chcą zostać. Czy polskim władzom i organizacjom żydowskim udało się osiągnąć ten ideał? Tego nie dowiemy się nigdy. Kres wszystkim planom położyła bowiem wojna. I Holocaust.



ZOFIA TRĘBACZ
„NIE TYLKO
PALESTYNA.
POLSKIE PLANY
EMIGRACYJNE
WOBEC ŻYDÓW
1935-1939”
ŻIH



Iran w polskiej



Łukasz Warzecha

Konsekwencje zabicia irańskiego oberszpiega Sulejmaniego w wyniku ataku amerykańskiego drona dosięgną i nas – naszych portfeli i naszej polityki w roku wyborczym

Napięcie pomiędzy Iranem a Stanami Zjednoczonymi narastało od dłuższego czasu. Donald Trump nie pozostawiał złudzeń: Iran uważał za jedno z największych zagrożeń dla amerykańskich interesów w regionie.

A jest to region pod wieloma względami kluczowy. W czasach zimnej wojny

dwa największe mocarstwa szczęśliwie nie starły się bezpośrednio (najbliżej było podczas kryzysu kubańskiego w 1962 r.), ale w różnych miejscach na świecie toczono „proxy wars”, czyli „wojny przez pośredników”. Głównie działo się tak w Afryce, ale także w Ameryce Południowej. Dzisiaj podobną rolę odgrywa Bliski Wschód, będący miejscem ścierania się interesów USA, Rosji i – w jakiejś części – Europy.

Wstępem do nowego etapu eskalacji napięcia było ogłoszenie w maju 2018 r. przez Waszyngton wycofania się z porozumienia nuklearnego z Iranem, zawartego jeszcze w 2015 r. z udziałem Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Chin i Rosji. Porozumienie miało być drogą do znormalizowania stosunków na Bliskim Wschodzie, a dla Iranu – szansą na ostateczne zakończenie reżimu sankcji.

Dzięki porozumieniu były one już stopniowo znoszone. Nasze relacje handlowe z Teheranem lekko się rozprędały, a niektóre polskie firmy miały nadzieję na naprawdę dobry interes. Jeszcze w 2017 r. ówczesny szef Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu niemal entuzjastycznie ocenił potencjał wzajemnych stosunków handlowych, mówiąc że po zniesieniu sankcji w następstwie porozumienia z 2015 r. nasz eksport do Iranu zwiększył się pięć razy, a import wzrósł sześciokrotnie. Liczby bezwzględne nie były imponujące, ale miały potencjał: eksport w 2015 r. wynosił blisko 50 mln dol., a import – ponad 32,5 mln dol.

POLSKA – BLISKI WSCHÓD

Gdy Waszyngton ogłosił zerwanie porozumienia, argumentując, że Iran nie chce zakończyć swojego programu atomo-



Rada Gabinetowa zwołana przez prezydenta
Andrzeja Dudę FOT. JERZY DUDEK/DO RZECZY

wego, straciła na tym również Polska. Mówiąc w uproszczeniu – musieliśmy wybierać, czy będziemy bez przeszkód prowadzili interesy, w tym polityczne, ze Stanami Zjednoczonymi czy z Iranem. Wybór był prosty. Jednak sprawa miała również swój wymiar unijny, bo kraje UE nie były z decyzji Trumpa zadowolone. UE porozumienia z Teheranem nie wypowiedziała, ale wobec stanowiska USA normalne relacje gospodarcze z Iranem nie były już możliwe. Każda handlująca z nim firma miałaby natychmiast szlaban we wszelkich stosunkach tego typu z firmami z USA. Powstał więc specjalny unijny mechanizm, mający pomóc omijać sankcje. Polska ostatecznie poszła kursiem unijnym, ale nasze stosunki handlowe z Iranem zamarły. Aczkolwiek nie wszystkie, bo jak w kwietniu ubiegłego roku odkrył Onet – z Teheranem nadal współ-

pracował mimo sankcji Polski Rejestr Statków, będący spółką Skarbu Państwa.

W momencie wycofania się USA z porozumienia z Iranem, czyli już blisko dwa lata temu, po raz pierwszy od ponad dekady tak wyraźnie w polskiej polityce pojawiło się pytanie, czy nasz interes w kwestii Bliskiego Wschodu jest tożsamy z interesem USA i co powinniśmy zrobić, gdy okaże się, że są one w konflikcie. Drugi raz, jeszcze silniej, to samo pytanie wybrzmiało przy okazji fatalnej dla nas konferencji bliskowschodniej, skoncentrowanej właśnie na Iranie, a zorganizowanej w Warszawie w lutym ubiegłego roku. To wówczas amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo powiedział, że bez konfrontacji z Iranem nie będzie pokoju na Bliskim Wschodzie. Wypowiedział też niestety słowa, które zostały zinterpretowane jako popędzanie Polski w kwestii restytucji

mienia żydowskiego. To wraz z ewidentnie konfrontacyjnym nastawieniem amerykańskiej delegacji wobec Teheranu – którego przedstawicieli w Warszawie nie było – dało poważny asumpt walczącej wówczas o wynik w wyborach do Parlamentu Europejskiego Konfederacji (niebędącej jeszcze wtedy partią) do głośnego kwestionowania korzyści z naszej bardzo bliskiej współpracy z USA. Sondaże pokazywały, że ten komunikat w jakimś stopniu zarezonował, choć ostatecznie Konfederacji w wyborach do PE to nie pomogło.

Obecna sytuacja od ówczesnej różni się jednak tym, że – po pierwsze – teraz Konfederacja jest już jednolitą partią, mającą niemalą reprezentację w Sejmie, i może docierać do opinii publicznej oficjalnymi kanałami, po drugie zaś – chodzi teraz nie tylko o retorykę czy plany, ale o realne zagrożenie stabilności ponadregionalnej

oraz bardzo konkretną kwestię: cenę ropy, czyli benzyny na stacjach. Kilka dni po zabiciu Sulejmaniego, tuż po irańskim odwiecie w postaci uderzenia raketowego na militarne cele amerykańskie na terytorium Iraku, cena ropy na giełdach zanotowała skok w górę, a cena benzyny na polskich stacjach natychmiast również wzrosła.

Bardzo możliwe, że sytuacja na Bliskim Wschodzie stanie się tematem nadchodzącej kampanii prezydenckiej – bo jesteśmy w nią wpłątani poprzez obecność naszych żołnierzy w Iraku. Nie ma tu mowy o współdziałaniu ponad podziałami, ponieważ rozłożenie akcentów w międzynarodowych przymierzach i poziom uzależnienia od Stanów Zjednoczonych są właśnie przedmiotem sporu pomiędzy koalicją a opozycją. I jest to całkowicie normalne.

Gdy Polska wchodziła do Iraku i przygotowywała się do administrowania swoją sferą odpowiedzialności na początku pierwszej dekady XXI w., entuzjazmu wśród Polaków nie było. Sondaż z marca 2004 r. mówił, że 60 proc. jest przeciwko polskiej obecności w Iraku, w tym aż 35 proc. było przeciwnych zdecydowanie. Dzisiaj sprawa komplikuje się o tyle, że iracki parlament zażądał wycofania obcych wojsk z terytorium tego kraju, czemu ani USA, ani Polska, ani inne obecne tam siły Zachodu się na razie nie podporządkowują – choć Kanada już zdecydowała o czasowym przeniesieniu części swoich oddziałów do Kuwejtu.

Rezolucja parlamentu w Bagdadzie sprawia, że sytuacja polskich żołnierzy staje się i dwuznaczna, i jeszcze bardziej niebezpieczna, choć żeby miała moc decyzji, to musiałby się do niej jeszcze przychylić rząd Iraku. Wtedy obecność Polaków w tym kraju byłaby oficjalnie wbrew woli Irakijczyków. Może się okazać, że wkrótce sondaże dotyczące naszej tam obecności przypominały ten z 2004 r. Dopóki sprawa pozostawała abstrakcyjna, dopóty nie było większego problemu. Gdyby jednak ktokolwiek z Polaków miał ponieść szkodę w związku z napięciami spowodowanymi zabiciem Sulejmaniego – mamy przepis na potężny sztorm polityczny w Polsce.

On zresztą już się zaczął, choć na razie to tylko ciche grzmoty. Opozycja twierdzi, że Polska jest przez Amerykanów traktowana jak giermek, któremu nie trzeba się z niczego tłumaczyć i niczego z nim uzgadniać. „Nie słyszę o rozmowach premiera i prezydenta z najważniejszymi politykami na świecie” – stwierdził Tomasz Siemoniak, wytypowany przez Grzegorza Schetynę

na nowego przewodniczącego PO. „Dzisiaj rano najwyższy przywódca Iranu mówił o małym, złym kraju w Europie, gdzie spiskowano przeciwko Iranowi. To jest efekt waszej polityki!” – oznajmił w Sejmie poseł Konfederacji Robert Winnicki, nawiązując do konferencji bliskowschodniej, a Małgorzata Kidawa-Błońska napisała na Twitterze: „Prezydent nie ma odwagi zwołać RBN, dlatego kolejny raz wzywam J. Kaczyńskiego, by doprowadził do jej zwołania! Złożyliśmy także wniosek o informację rządu w spr. bezpieczeństwa naszych żołnierzy w Iraku. Prezydencie, premierze, prezesie! Nasi żołnierze są w niebezpieczeństwie!”.

AMERYKAŃSKA KARTA

I trzeba przyznać, że relacja między Warszawą a Waszyngtonem, tak jak ukształtował ją PiS, daje nie całkiem bezzasadne preteksty do tego typu wystąpień. Z jednej strony nikt nie ma wątpliwości, że USA są dla nas najpoważniejszym gwarantem bezpieczeństwa, a obecność amerykańskich wojsk na polskiej ziemi jest tego fizycznym świadectwem. Poza skrajną lewicą nikt tego nie kwestionuje. Z drugiej strony jednak mieliśmy aż nadto sytuacji, gdy można było odnieść przykre wrażenie, że Waszyngton traktuje Polskę jak swoje dominium, gdzie faktycznie nie trzeba się już starać. Tak zabrzmiały słowa Pompeo o zwrocie mienia żydowskiego podczas lutowej konferencji. Tak interpetrowano – nie bez powodu – wycofanie się rządu z pomysłu podatku cyfrowego, który uderzyłby głównie w amerykańskich gigantów Internetu czy odwołanie przez Donalda Trumpa w ostatniej chwili jego przyjazdu na uroczyste obchody rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej. Jak na ironię, sytuację uratowała wówczas swoją obecnością Angela Merkel.

PiS postawił wszystko na amerykańską kartę, co zmniejszyło nasze pole manewru i co bezwzględnie będzie teraz wykorzystywać opozycja. Możemy nawet być świadkami swoistej konkurencji między tradycyjnie amerykańskosceptyczną Konfederacją a innymi partiami opozycji, które będą nie tyle podważać sens głębokiego przymierza z Waszyngtonem, ile raczej podkreślać, że Polska nie jest w centrum wydarzeń, że nikt niczego z nami nie konsultuje, a mimo to jesteśmy narażeni na najdalej idące konsekwencje amerykańskich poczynań.

Na to nakłada się przyjęty przez Andrzeja Dudę – przynajmniej na tym etapie – twardszy kurs. Widzieliśmy go przy sprawie ustawy dyscyplinującej sędziów,

odbił się w braku zainteresowania pomysłem okrągłego stołu w sprawie sądownictwa, a w kontekście bliskowschodnim – w zwołaniu Rady Gabinetowej zamiast Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Ta pierwsza to po prostu rząd obradujący pod przewodnictwem prezydenta, a więc wyklucza to udział kogokolwiek z opozycji. Tymczasem RBN kształtuje swobodnie sam prezydent, może więc do niej zaprosić dowolne osoby – również spoza obozu władzy. Andrzej Duda na to się jednak nie zdecydował. To ryzykowne zagranie. Z punktu widzenia dobra państwa dobrze by było, gdyby to prezydent – który w tym wypadku ma w ręku odpowiedni instrument – w sytuacjach potencjalnie trudnych starał się wyjść poza własny krąg. Z punktu widzenia kampanii prezydenckiej zaś ograniczanie się do rozmowy ze swoimi będzie obciążeniem w drugiej turze.

Na razie – w momencie pisania tego tekstu – jesteśmy po wymianie ciosów między USA a Iranem i mało prawdopodobny wydaje się scenariusz otwartego konfliktu, a już z pewnością trudno sobie wyobrazić klasyczną wojnę lądową. Z pewnością nie w roku wyborów w USA. Szczególnie że w niekorzystnej konfiguracji mogłoby to oznaczać nawet starcie żołnierzy amerykańskich z siłami rosyjskimi, oficjalnie obecnymi w regionie w charakterze „doradczy” (wybieg znany z czasów wspomnianych na początku proxy wars).

Jest jednak jeszcze wariant terrorystyczny. Przy czym celem ataku – za którym oczywiście oficjalnie nie stałby Iran – wcale nie muszą być Stany Zjednoczone, gdzie po 11 września 2001 r. nie było większych aktów terroru z wyłączeniem zamachu w czasie maratonu bostońskiego w 2013 r. Najlepszym z punktu widzenia taktyki terrorystycznej celem byłyby kraje europejskie, gdzie łatwo rekrutować zamachowców z muzułmańskiej mniejszości, służby wielokrotnie pokazywały, że nie są w stanie skutecznie przeciwdziałać terrorowi, a ludzie są nastawieni niechętnie wobec Stanów Zjednoczonych. Zamach na terytorium Niemiec czy Francji miałby piorunujący wpływ na opinię publiczną i bardzo zaszkodziłby wspólnocie transatlantyckiej, czyniąc z Trumpa osobnika jeszcze bardziej zniechęconego, niż to jest dzisiaj, i wzmacniając prorosyjskie sympatie, z czym musieliby się liczyć rządzący. Oby ten scenariusz się nie zrealizował, bo wówczas Polska w okresie wyborczym znajdzie się w sytuacji politycznie arcytrudnej.

**PRENUMERATA
2020 w cenie 2019**

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA
T. KOWALIK I P. SŁOWIŃSKI
„DRAGI
I WOJNA”

~~633~~ zł



242,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
391 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

To miał być najmocniejszy punkt opozycji w parlamencie. Senat, w którym opozycji udało się na fotel marszałka przegłosować wybór prof. Tomasza Grodzkiego, cenionego lekarza chirurga.

– To jest zwycięstwo. To jest zwycięstwo demokracji – mówił w pełnym patosu wystąpieniu senator Tomasz Grodzki chwilę po tym, gdy oficjalnie ogłoszono, iż to on (dzięki dwóm głosom przewagi nad kandydatem PiS Stanisławem Karczewskim) został wybrany na marszałka Senatu nowej kadencji. Izba wyższa parlamentu miała stać się bastionem opozycji, na którym rozbijają się propozycje legislacyjne rządzącego obozu Zjednoczonej Prawicy.

Szybko okazało się jednak, że aktywność polityczna oraz zawodowa przeszłość prof. Grodzkiego może okazać się jego piętą achillesową. Polityczna aktywność prof. Grodzkiego wywołuje kontrowersje i kpiny komentatorów. Coraz więcej kontrowersji budzą też wydarzenia z przeszłości marszałka.

– Zaskakujących „przygód” z udziałem prof. Grodzkiego pojawiło się już sporo, budzą wątpliwości, a sposób groteskowo-patetyczny, w jaki stara się on na nie odpowiadać, nie służy budowie takiego jego wizerunku, jaki chciała kreować opozycja, gdy zostawał marszałkiem Senatu – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Jacek Kłoczkowski, politolog z Ośrodka Myśli Politycznej.

KOPERTY WĄTPLIWOŚCI

Krótko po wyborze Grodzkiego na fotel marszałka Senatu wykładowca Uniwersytetu Szczecińskiego prof. Agnieszka Popieła napisała o nim na swoim profilu facebookowym: „Masakra. Pan profesor Grodzki kandydatem na Marszałka Senatu. Jak moja Mama umierała, trzeba było dać 500 dolarów za operację. Podobno na czasopiśmie medyczne. Faktury ani rachunku nie dostałam. Nigdy tego nie zapomnę”.

Po ujawnieniu tej sprawy przez Radio Szczecin prof. Grodzki przekonywał. – Nigdy od nikogo w żadnych okolicznościach nie żądałem pieniędzy za wykonanie jakiegokolwiek operacji, chciałbym, żeby to zabrzmiało jednoznacznie – mówił. I zapewniał: – To, co człowiek ma cenne, to jest własna reputacja, a to, przed czym się rozlicza, to jest własne sumienie. A moje sumienie jest absolutnie czyste.

Sama prof. Popieła precyzowała, że propozycja „łapówki” nie padła wprost. „Nigdy nie powiedziałam, że wpłata była warunkiem operacji. [...] Wpłaciłam, bo



FOT. MATEUSZ WUDARCZYK/FORUM

Spirala Grodzkiego



Wojciech Wybranowski

Polityczne posunięcia Tomasza Grodzkiego sprawiają, że staje się on obiektem kpin. Przybywa też osób, które opowiadają, że jako lekarz miał przyjmować pieniądze za operacje. On sam porównuje się do męczennika – ks. Jerzego Popiełuszki

czułam presję psychiczną” – napisała na swoim Facebooku.

Dziennikarze Radia Szczecin dotarli do korespondencji z 2016 r. prowadzonej za pośrednictwem tzw. prywatnych wiadomości na komunikatorach społecznościowych między Popiełą a Grodzkim,

które mogą wskazywać, że rzeczywiście finansowa darowizna została przekazana. Nawet jeżeli do niej doszło, to nie jest jednak przesądzonej jej kontekst.

Profesor Popieła nie jest jednak jedyną osobą, która mówiła o kontrowersyjnej darowiznie. Z mediami

w ostatnich tygodniach skontaktowały się kolejne osoby – ich dane nie zostały upublicznione – które podczas wizyt w prywatnym gabinecie prof. Grodzkiego miały rzekomo wpłacać mu pieniądze w zamian za operacje wykonywane przez niego w państwowym szpitalu. Mężczyzna, przedstawiony w Radiu Szczecin jako „pan Rajmund”, mówił, jakoby „osobiście wręczył” prof. Grodzkiemu 400 zł w zamian za zabieg na oddziale torakochirurgii. – Wszedłem do gabinetu, dałem panu Grodzkiemu pieniądze, on je schował do szuflady, to było wszystko – relacjonował mężczyzna.

Inny z pacjentów prof. Grodzkiego, przedstawiany jako pan Henryk, twierdzi, że dał mu 200 zł za badanie przeprowadzone w szpitalu Szczecin-Zduńowo.

Wśród osób, które miały wręczać finansową gratyfikację 5 tys. zł – tym razem jednak nie osobiście jemu, ale lekarzowi z kierowanego przez niego oddziału – jest także małżeństwo, które z pomocy medycznej korzystało w lutym 1998 r.

– Na razie nie słyszałem ani jednego z imienia i nazwiska udowodnionego faktu. Myślę, że te wszystkie oszczerstwa i kłamstwa to metody hejterskie – uważa eurodeputowany PO Andrzej Halicki.

Szczecińska prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie podejrzeń o korupcję w okresie, kiedy Tomasz Grodzki pełnił funkcję dyrektora szpitala w Szczecinie. W ubiegłym tygodniu śledczy zażądali od dyrekcji Samodzielnego Publicznego Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Szczecinie, w którym pracuje Grodzki, udostępnienia danych pacjentów leczonych na oddziale kierowanym przez Grodzkiego. – Przyjmowanie przez lekarza pieniędzy, nawet jeśli takowe przyjmował, za prywatne konsultacje, w prywatnym gabinecie, nie jest korupcją, ale opłatą za wizytę. Natomiast media rządowe dobrze to rozgrywają. Wszyscy wiemy, że w opinii publicznej lekarze często mają opinię łapówkarzy, więc wrzucenie Grodzkiego do tego samego worka rujnuje jego wizerunek – mówi nam jeden z polityków PO, blisko Grzegorza Schetyny.

JAK KS. POPIEŁUSZKO?

Sam marszałek Senatu uważa, że stał się ofiarą nagonki, i zapowiada pozwy przeciwko osobom zarzucającym mu łapówkarstwo. Ostrzega też piszących o tych sprawach dziennikarzy. Twierdzi, że skontaktował się z nim niejaki Tomasz

Staszczuk, któremu ktoś miał oferować pieniądze w zamian za obciążenie Grodzkiego.

„Mam nagranie, które jest dowodem na to, że proponowane były pieniądze człowiekowi za to, żeby publicznie mnie oczernił, żeby powiedział, że brałem łapówki. Nie wiem, czy dziennikarz, czy agent naszych służb, czy agent obcych służb. Na pewno sprawa nadaje się do ABW. Mam nagranie pod imieniem i nazwiskiem” – mówił Grodzki w wywiadzie dla Dziennik.pl. I przekonywał, że jego informator to były powstaniec warszawski.

Marszałek Senatu z pełnym przekonaniem porównywał się też z ks. Jerzym Popiełuszką: „Doświadczam nienawiści, zorganizowanego hejtu tak, jak w większym stopniu doświadczali Paweł Adamowicz czy ksiądz Jerzy Popiełuszko”.

Dzięki wpadce portalu Onet, który opublikował oświadczenie Staszczuka, a w tym dane adresowe i datę urodzenia mężczyzny, dziennikarze portalu TVP Info sprawdzili w katalogach IPN, że ów „świadek”, o którym Grodzki mówił jako o powstańcu warszawskim, w rzeczywistości przez siedem lat był funkcjonariuszem komunistycznej bezpieki. Pracę w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego rozpoczął w 1951 r., w okresie stalinizmu. Kilukrotnie tam awansował. Z pracy w aparacie terroru odszedł w 1957 r.

Sytuacja, w której marszałek Senatu porównał się z zamordowanym przez bezpiekę ks. Jerzym, a następnie jako swojego świadka przedstawił oficera komunistycznej bezpieki, wywołało wśród komentatorów burzę.

„Szanowny Panie Marszałku. Błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszkę funkcjonariusze UB zamordowali, a nie bronili. Jak może się Pan porównywać do bestialsko zamordowanego kapłana?” – pytał na Twitterze ks. Tomasz Brussy.

Z kolei popularny pisarz Jacek Piekara kpiąco odniósł się do słów Grodzkiego zapewniającego, że „może pokazać tysiące pacjentów, którzy potwierdzą, że nie brałem łapówek”. Piekara napisał: „W przestępstwie nie chodzi o tysiące osób, którym nic złego się nie zrobiło, tylko o kilka(-dziesiąt), które się skrzywdziło. Metoda obrony: »Są tacy, od których nie brałem, to niedobry pomysł”.

Sporo krytyki wywołało też spotkanie marszałka Grodzkiego z Sergiejem Andriejewem, ambasadorem Federacji Rosyjskiej. Politycy PiS wytknęli marszałkowi Senatu, że próbuje realizować

politykę zagraniczną, choć nie jest do tego uprawniony. Komentatorzy wytykali, że spotkanie odbyło się dzień przed tym, jak Putin zaatakował Polskę, wykrzywiając prawdę historyczną. Zdaniem wielu może to bowiem stwarzać wrażenie, że w Polsce są ośrodki gotowe prowadzić inną, bliższą putinowskiej Rosji politykę zagraniczną niż obecny rząd. Centrum Informacyjne Senatu wydało oświadczenie, jakoby kurtuazyjne spotkanie było ustalone z polskim MSZ. Tymczasem polskie służby dyplomatyczne zdementowały tę informację – oświadczyły, że o spotkaniu były informowane, ale odradzały jego odbycie.

POLITYKA SENACKA

„Marszałek Senatu Tomasz Grodzki nie uzgadniał swojego spotkania z pionem wschodnim MSZ, tylko poinformował, że zamierza się spotkać z ambasadorem Rosji. Zasugerowaliśmy niższy poziom spotkania, odpowiadający zasadzie wzajemności. Sugestii nie uwzględniono” – poinformował na Twitterze wiceminister MSZ Marcin Przydacz.

Nie mniej kontrowersji wzbudziło też zaproszenie przez prof. Grodzkiego do Warszawy Komisji Weneckiej, którą marszałek Senatu poprosił o wydanie opinii na temat ustaw sądowych przygotowanych przez PiS. – Profesor Grodzki złamał polskie przepisy, wysyłając pismo do Komisji Weneckiej o wydanie opinii w sprawie polskiej ustawy. Konstytucja jasno określa krąg podmiotów uprawnionych. Wśród nich nie ma marszałka Senatu – skomentował Michał Wójcik, wiceszef resortu sprawiedliwości.

Marszałek Grodzki głosami krytyki się nie przejmuje i – jak uważa część komentatorów – nadal próbuje prowadzić niezależną od rządu politykę zagraniczną. W ubiegłym tygodniu pojechał do Brukseli, by spotkać się z przedstawicielami Komisji Europejskiej, by poskarżyć się na przygotowaną przez PiS tzw. ustawę dyscyplinującą sędziów.

– Mam wrażenie, że marszałek Grodzki nie wie, co to jest umiar, że nikt mu nie powiedział, iż za dużo tego promowania własnej osoby, pokazywania, że jest trzecią osobą w państwie. Nie buduje to szacunku, powagi, ale wywołuje kpiny – ocenia dr Kłoczkowski. I dodaje: – Był promowany obok marszałka Kidawy-Błońskiej jako ważne polityczne narzędzie opozycji, tymczasem można odnieść wrażenie, że jego przypadki stają się dla opozycji kłopotliwe.



Kamila Baranowska

Grzegorz Schetyna wycofuje się z wyścigu o funkcję przewodniczącego Platformy, co pokazuje, że partia jest w większej rozsypce, niż mogło się wydawać

Grzegorz Schetyna wycofał się z kandydowania w wyborach na szefa PO z jednego powodu – nie udało mu się zbudować poparcia na tyle silnego, żeby zagwarantowało mu pewną wygraną. A na spektakularną klęskę pozwolić sobie nie chciał i nie mógł. Wybrał więc mniejsze zło.

– Koniec kadencji to też początek nowej kadencji [...]. Po tych czterech latach trudnej pracy, kiedy zostawiam Platformę, zamykam ten etap, w którym PO jest w dużo lepszym stanie niż w latach 2015 i 2016. Przychodzi czas na nowe wyzwania, nowych ludzi, nowy początek, nowy rozdział – ogłosił 3 stycznia na konferencji.

W ocenie Schetyny najlepszym nowym początkiem dla Platformy byłaby wygrana wskazanego przez niego kandydata Tomasa Siemoniaka, byłego ministra obrony narodowej, obecnego wiceprezesa partii. Pięć lat temu Siemoniak startował w wyborach na szefa PO przeciwko Schetynie, wycofał się na ostatniej prostej, przekazując mu swoje poparcie. Nic dziwnego, że dziś media z lubością przypominają, co w ramach tamtej kampanii Schetyna mówił o Siemoniaku.

– Lider Platformy powinien być osobą samodzielną, pierwszoliniową i taką, która będzie samodzielnie podejmować decyzje – wskazywał jesienią 2015 r. Schetyna. – On [Siemoniak – przyp. red.] był zawsze w drugim szeregu. Nigdy nie był liderem żadnego projektu i nigdy nie będzie, bo uważam, że to jest kwestia charakteru. Albo jego braku – dodawał.

Dzisiaj Siemoniak musi mierzyć się nie tylko z tamtymi słowami Schetyny, lecz także z sugestiami swoich partyjnych kolegów i rywali w wyścigu o fotel szefa PO. Bartosz Arłukowicz ocenił np., że kandydatura Siemoniaka „jest pewnego rodzaju kontynuacją”, bo jest on „bardzo bliskim współpracownikiem Grzegorza Schetyny”. – Współpracują razem od bardzo wielu lat,



Gruz czy fundament

są partnerami w polityce, oni są po prostu nierozłączni – mówił w TVN24.

Siemoniak odpowiada, że przez cztery lata był ministrem obrony i nikt nigdy nie zarzucił mu braku samodzielności. – To są rzeczy, w których nie ma jakiejś niani, która będzie pomagała czy będzie sterowała – zżymał się w RMF FM. – Grzegorz Schetyna mnie poparł i bardzo mu za to dziękuję, bardzo jestem zobowiązany

i dokładnie tyle. Nie jestem niczym człowiekiem, jestem swoim człowiekiem tutaj. I niech wyborcy to oceniają – zapewniał.

WIELKA IMPROWIZACJA?

O możliwej rezygnacji Schetyny z kandydowania spekulowano w samej Platformie już od pewnego czasu. Do końca jednak nikt nie wierzył, że obecny lider PO zdecyduje się na taki krok.



Bogdan Zdrojewski i Bartłomiej Sienkiewicz) jest w stanie zapewnić Platformie nie tylko przetrwanie, lecz także powrót do czasów wielkich sukcesów? Dotychczasowy lider zapewniał to pierwsze, ale zdaniem polityków, a zwłaszcza sympatyków Platformy, było to stanowczo za mało. Dlatego słowo „zmiana” – zmiana funkcjonowania partii, zmiana lidera, zmiana pokoleniowa, zmiana strategii – jest dziś odmieniane przez każdego z kandydatów na szefa partii przez wszystkie przypadki jako jedyna szansa na powrót Platformy do czasów wielkości.

– Platformie grozi dzisiaj powtórka z historii SLD, który nawet, gdy trwale zaczął tracić poparcie, to wciąż żył mitem partii 40-procentowej i z tego mitu rozliczano kolejnych liderów, nie zauważając obiektywnych zmian, które zaszły w społeczeństwie i które sprawiły, że powrót do takiego poziomu poparcia stał się niemożliwy – uważa dr Chwedoruk.

Schetyna stał się pierwszą ofiarą tej walki i to ofiarą w głównej mierze – tu kolejny paradoks – środowisk zewnętrznych, najgorliwiej wspierających opozycję, od paru lat apelujących o wymianę lidera Platformy.

PUŁAPKA PRZED PORĄŻKĄ

Osiągnąwszy sukces, niechęć mogą przyczynić się do trwałej dekonstrukcji największej partii opozycyjnej. Dotąd bowiem jej głównym spoiwem była silna osoba lidera. Najpierw był to Donald Tusk, a ostatnio Grzegorz Schetyna, co do którego można mieć wiele zastrzeżeń, ale trudno mu odmówić rozeznania w politycznych układankach i determinacji, by utrzymać partię w ryzach w trudnych dla niej opozycyjnych latach. Konsolidacja partii to najważniejsze zadanie, które stanie także przed nowym przewodniczącym. Zwłaszcza że – jak wskazuje prof. Chwedoruk – jego pierwszym zadaniem będzie prawdopodobnie gaszenie pożaru po kolejnej porażce wyborczej w wyborach prezydenckich. I niewykluczone, że na to po cichu liczą sam Schetyna i jego najbliższe otoczenie. Że nowy lider nie poradzi sobie z oczekiwaniami i szybko zderzy się z brutalną powyborczą rzeczywistością, czyli rozliczeniami po kampanii. A wtedy być może zarówno politycy Platformy, jak i jej sympatycy zateńsżą za dawnym liderem.

W powrotach z politycznych manowców Schetyna ma spore doświadczenie.

Kiedy w 2007 r. musiał zrezygnować z funkcji szefa MSWiA i wicepremiera

w rządzie Donalda Tuska w kontekście afery hazardowej, wydawało się, że idzie na polityczne dno. Upokorzony (o tym, że musi odejść z rządu, dowiedział się z TVN24, gdzie miał wystąpić) dostał na pocieszenie funkcję szefa klubu PO.

Cierpliwie przeczekał jednak swój zły czas i latem 2010 r. został marszałkiem Sejmu na miejsce szykującego się do objęcia prezydentury Bronisława Komorowskiego. – To był chyba najbardziej spektakularny powrót w jego karierze – zauważa dr Chwedoruk. Po kolejnych wygranych przez PO wyborach w 2011 r. Schetyna został upokorzony przez Tuska mało znaczącą funkcją szefa sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. To wtedy na jednej z konferencji prasowych Tusk mówił dziennikarzom, że „Grzegorz jest szefem bardzo ważnej komisji sejmowej”, po czym zwrócił się do Pawła Grasia: „Paweł, przypomnij mi, jakiej”. Kiedy wydawało się, że gorzej być nie może, Schetyna przegrał wybory wewnątrzpartyjne we własnym regionie, czyli na Dolnym Śląsku. Szefem regionalnej PO został wspierany mocno przez Tuska jego główny rywal Jacek Protasiewicz. Zdjęcia z momentu ogłoszenia wyników, gdy Schetynie trzęsą się ręce i wygląda, jakby miał za chwilę zemdleć, obiegły wszystkie media. Wkrótce przestał być także członkiem zarządu Platformy.

Wydawało się, że to jego definitywny polityczny koniec. Tracił wpływ, politycznych przyjaciół. Niespodziewanie z politycznego niebytu wyciągnęła go w 2014 r. Ewa Kopacz, która stwierdziła, że wrogów należy trzymać blisko i wbrew radom Tuska wzięła go do swojego rządu. Tak Schetyna został szefem MSZ i szybko przystąpił do odbudowy tego, co utracił. W 2015 r., po podwójnych przegranych przez PO wyborach, został szefem partii, wcześniej doprowadzając do wycofania się z kandydowania swoich konkurentów: Borysa Budki i Tomasza Siemoniaka.

Ten ostatni wyznał niedawno, że do końca namawiał Schetynę, by mimo wszystko wystartował. – Przekonywałem go bardzo długo, uważałem, że powinien kandydować. Natomiast to są takie rzeczy, w których decyzje się podejmuje samemu i on tę decyzję sam podjął. Jedni go namawiali, inni go odwozili od tego. Zdecydował, jak zdecydował. Ta sprawa jest już zamknięta – powiedział. Ta może i tak. Sprawa politycznych ambicji Schetyny i jego dalszych planów chyba niekoniecznie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„Gazeta Wyborcza” donosiła, że ostateczną decyzję miał podjąć po tym, gdy nie uzyskał poparcia od warszawskich struktur partii. Wtedy uznał, że odda pole, ale ze wskazaniem swojego kandydata, który ma szansę na wygraną.

Doktor hab. Rafał Chwedoruk, politolog z UW, zwraca uwagę przynajmniej na kilka paradoksów związanych z rezygnacją Schetyny z kandydowania. – Skala porażki opozycji w ostatnich wyborach nie była obiektywnie tak wielka, by wymagała aż tak radykalnych decyzji. Koalicja Obywatelska mimo licznych zawirowań dostała, co prawda przy wyższej frekwencji, nie mniej głosów niż w 2011 r. i wydawało się, że wychodzi z kryzysu strukturalnego. Schetyna i jego otoczenie tyle czasu bronili się, jak mogli, i w ostatniej chwili nagle wycofali. To pokazuje, że więcej w tej decyzji jest improwizacji niż makiawelicznych planów – wskazuje ekspert.

Pytanie, które zadają dziś sobie wszyscy, także w samej Platformie, brzmi: Czy którykolwiek z sześciu kandydatów (oprócz Siemoniaka kandydują: Borys Budka, Bartosz Arłukowicz, Joanna Mucha,

Cud świętego Roberta



Piotr Semka

Lewica ponoć nie wierzy w zjawiska nadprzyrodzone. Jednak oto na naszych oczach twórca byłej partii Wiosna w cudowny sposób zamienił się właśnie z symbolu porażki i wiarołomstwa w ich obiecujący produkt promocyjny

Jest 31 grudnia 2019 r. Tygodnik „Polityka” w swoim noworocznym numerze ogłosił pierwsze wyniki badań fokusowych przeprowadzanych na grupach wyborców przed kampanią prezydencką. W grupie zwolenników lewicy, według „Polityki”, tylko Adrian Zandberg był „powszechnie uważany za kandydata naturalnego i oczywistego”. Jak pisali autorzy badań – „w spontanicznych rozmowach nie padło żadne inne nazwisko. [...] Robert Bieroń jakby rozplynął się w wyobraźni swoich potencjalnych wyborców”.

Tego samego dnia „Dziennik Gazeta Prawna” pyta, kto jest największym wygranym, a kto przegranym w 2019 r.

Politolog Ewa Pietrzyk-Zieniewicz do największych przegranych roku zalicza Roberta Biedronia, nazywając go „wydmuszką”. Badaczka wskazuje: „Jak się robi kampanię taką fajną, po amerykańsku, to strzelają korki od szampana, sam pan Biedroń się jako ten korek od szampana wygenerował i krzyczy: »Chcecie być piękni?«, »Tak!«, »Chcecie być bogaci?«, »Jasne!«... »Ja tylko jedną taką Wiosnę miałem w życiu« – powie sobie pan Biedroń, bo dzisiaj właściwie tej partii już nie ma. Resztki skonsolidowały się z SLD, a sam pan Biedroń nigdy nie był kandydatem w mojej opinii właściwym, a to z wielu powodów. W tej chwili to już on sam nawet się nie wybiera, pan Czarzasty nie życzy sobie przegrać”.

Nazwisko Biedronia w kontekście porażki powtarzane było w wielu podsumowaniach roku. Nie bez przyczyny. Jego partia wyzionęła ducha, łącząc się z SLD, a w Parlamencie Europejskim w końcu roku ugrupowanie Biedronia opuściła Sylwia Spurek.

To dlatego większość mediów wzięła za dobra monetę informację o tym, że

kandydatką lewicy będzie kobieta. News ten podał w grudniu zbliżony do lewicy portal OKO.press. Posłanka Razem Katarzyna Kotuła mówiła wtedy mediom, że politycy Lewicy „od początku mówili, że to będzie kandydat lub kandydatka”. Nazwisko miało być ogłoszone 14 grudnia, ale tak się nie stało. Dopiero 5 stycznia Włodzimierza Czarzasty, występujący w „Śniadaniu Polsat News”, niemal od niechcenia wyznał, że zarząd SLD zarekomenduje na prezydenckiego kandydata Lewicy Roberta Biedronia. Dzień później Biedronia pospieszenie zarekomendował oficjalnie zarząd Partii Razem. Co ciekawe, władze partii Razem tak się spieszyły, aby potwierdzić słowa Czarzastego, że zrobiły to, zanim sam SLD formalnie załatwił sprawę.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszyscy politycy Lewicy zaczęli przekonywać media, że Biedroń od dawna jest kandydatem i w jego wyborze nie ma niczego dziwnego. 7 stycznia Adrian Zandberg w „Kropce na i” u Moniki Olejnik przekonywał, że start Biedronia został ustalony latem i nic się od tego czasu nie zmieniło.

Nic się nie zmieniło? Zandberg zapomniał wspomnieć o samolikwidacji partii

Wiosna, która po mizernym wyniku 6,06 proc. w eurowyborach w maju 2019 r. przestała wierzyć w swoje aspiracje do przewodzenia lewicy. Tamte nastroje dobrze oddawał tekst Rafała Kalukina w „Polityce” z lipca 2019 r.: „Projekt Roberta Biedronia miał wnieść do polskiej polityki nowe standardy, zamiast tego importował wszystkie stare partyjne patologie. Odchodzą działacze, strategia zmienia się z dnia na dzień.

Ledwie rok temu Robert Biedroń był najgorętszą kartą na politycznym rynku. Przymierzano go do wielkich ról. Przyszłego prezydenta, przywódcę zmieniającego reguły gry, mitycznego polskiego Macrona. Uchodził za wielką nadzieję polskiej polityki. Widziano w nim progresywnego mesjasza.

I o ile same początki Wiosny były obiecujące, o tyle nowy ruch dosyć szybko zaczął reprodukować wszystkie główne grzechy polskiej polityki. Był równie autorytarny w wewnętrznych relacjach co większość polskich partii”.

O skali ówczesnego rozgoryczenia świadczą też znane w świecie lewicy nazwiska, które w ciągu minionego roku odchodziły kolejno z projektu Biedronia. Zaczęło się od Michała Syski z wrocławskiego socjalistycznego centrum im. Ferdynanda Lasalle’a, którego wykreślono z dnia na dzień z obiecanej mu jedynki Wiosny na liście do Sejmu we Wrocławiu, gdyż trzeba było na gwałt znaleźć jakieś miejsce biorące dla Krzysztofa Śmiszka, partnera Biedronia. Potem bez ostentacji pożegnał się z Wiosną Adam Traczyk, koordynator tej partii do spraw kontaktów zagranicznych. W czerwcu 2019 r. z Biedroniem pożegnał się jego zastępca w partii – Marcin Anaszewicz. A w listopadzie ostatecznie odeszła z Wiosny europarlamentowa Sylwia Spurek, prywatnie partnerka życiowa Anaszewicza. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że wielu polityków Lewicy uznało, iż Biedroń wypadł z gry.

A jednak wystarczyła determinacja Czarzastego, aby Biedroń został odkurzony i znów postawiony w świetle jupiterów.

KWAŚNE MINY I OFICJALNY ENTUZJAZM

Pierwsze reakcje po stronie antypolskiej na nominację Biedronia były kwaśne. Eliza Michalik na łamach „Gazety Wyborczej” w kontekście wyboru Bieronia pisała: „Lewica – miała być nowa jakość, jest rozczarowanie”.

Młodzieżówka Nowoczesnej na Twitterze zamieściła zdjęcie klauna Ronald’a, maskotki McDonald’s, z napisem: „Lewica ogłosiła swego kandydata na prezydenta”. Lewica Razem ripostowała dość niemrawo, zdobywając się jedynie na słowo: „słabe”.

Sławomir Sierakowski, guru nowej lewicy, warunkowo poparł Bieronia, ale nie powstrzymał się przed wypomnieniem liderowi Razem, że uchylając się od startu, zmarnował wielką szansę: „Zandberg rezygnując, przepuszcza właśnie okazję, żeby objąć przywództwo całej Lewicy. Z miejsca stałby się liderem Lewicy i zepchnąłby na dalszy plan pozostałych tenorów. Na kolejną taką okazję trzeba będzie długo pracować, bo Razem to wciąż tylko sześciu posłów, gdy integrująca się Wiosna i SLD to 43 i dwóch senatorów”.

Na łamach „Krytyki Politycznej” Michał Sutowski szukał z uporem dobrych stron kandydata. Autor sam pośrednio potwierdził, że Biedroń to kandydat „drugiej świeżości”, zaczynając swe rozważania od tego, kim Biedroń nie ma szans być w nadchodzącej kampanii. „Niełatwo będzie mu odegrać którąkolwiek z ról, w których czuje się dobrze, ani takich, które wydawałyby się dla niego optymalne. Mesjasz sił postępu? Taką próbę podjąć można tylko raz i ten raz miał miejsce w wyborach do europarlamentu. Powiew świeżości i nowa siła spoza układu w polskiej polityce? Znowu naturalną przewagę mają tu debiutanci, w tej roli oczywiście Szymon Hołownia. A może kandydat dialogu, rozjemca wojny polsko-polskiej? Tutaj konkurentów jest wręcz dwóch, bo obok Hołowni (dla softpostępowych) w tę rolę wcielać się będzie Władysław Kosiniak-Kamysz (dla softkonserwatywnych). No i wreszcie »nowy, lepszy anty-PiS«: tutaj z Małgorzatą Kidawą-Błońską ciężko zawalczyć, choć czy ona nowa i lepsza, to wyjątkowo rzecz niepewna”.

Sutowski pociesza się tym, że były lider Wiosny to jedyny kandydat, który nie będzie się ograniczał w kwestii postulatów aborcji na życzenie i zdecydowanej laicyzacji kraju. W sukurs Biedroniowi przyszedł wreszcie skrajnie lewicowy publicysta Jakub Majmurek: „Szacunek za polityczny pragmatyzm, realizm i dotrzymywanie umów. Mam nadzieję, że trochę z programu Razem znajdzie się w programie Roberta Biedronia”.

Margines śmieszności w zachwytach nad Biedroniem przekroczył lewicujący aktywista Igor Stokiszewski, który

ogłosił, że „kandydata na prezydenta o formacie, ciężarze symbolicznym i potencjale Biedronia lewica nie dorobi się co najmniej przez kolejną dekadę”.

LEWICA JAK ZWARTE WOJSKO?

Wybór Roberta Biedronia pokazał trzy dość istotne elementy układu sił po lewej stronie.

Po pierwsze, nie jest to już obóz trzech równych sobie tenorów. Najbardziej sprawny i skutecznym liderem był i jest Włodzimierz Czarzasty. Po wchłonięciu resztek Wiosny przez SLD jest już posiadaczem dwóch trzecich akcji w lewicowym projekcie. Zandberg jest jeszcze słabszy, niż był.

Monika Olejnik w „Kropce nad i” opowiadała, że na ostatnim spotkaniu liderów Lewicy zaszachował Zandberga słowami: „Skoro nikt nie chce, ja mogę kandydować”. W tej sytuacji Zandberg miał uznać Biedronia za mniejsze zło i poparł tę kandydaturę. Zandberga gubi jego hamletyzm.

I wreszcie – rzecz, o której w obozie Lewicy mówi się najmniej chętnie. Dość wiarygodnie brzmią przecieki portalu OKO.press, że rozpatrywane były kandydatki – kobiety. Wszystkie kolejno pokazywały swoją słabość. W trakcie narad na lewicowym olimpie Jolanta Banach okazała się według badań zbyt mało rozpoznawalna, wicemarszałek Senatu Gabriela Morawska-Stanecka zbyt bezbarwna, a Agnieszkę Dziemidowicz-Bąk uznano za osobę zbyt konfliktową, by mogła skupić wokół siebie kampanijny team. Pokazuje to, że wynoszone zwykle pod niebiosa „dziewczyny” są w realu słabym atutem lewicy.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu – zamiast dynamizmu – w obozie lewicy okrzyki entuzjazmu są wyraźnie wyciszone. Na siłę wciska się wyborcom towar, na którym już się poznali i którym się rozczarowali. Kandydata egoistycznego, humorzastego, który i tak wróci do swojej Brukseli. Kto takiemu kandydatowi ma robić kampanię z entuzjazmem? Młodzi, którzy harowali wiosną, by potem zobaczyć, jak Biedroń bez żalu oddaje ich partię Czarzastemu?

Ważne też, jaki będzie kontekst kampanii. Jeśli kolejne miesiące Polacy będą żyli z wypiekami na twarzy, obserwując konflikt na Bliskim Wschodzie, to minoderyjny Biedroń będzie irytował. A na wystawienie drugiego kandydata przez Lewicę może być już za późno.

**Z Dorotą Gawryluk,
dyrektorem
pionu informacji
i publicystyki telewizji
Polsat, prowadzącą
„Wydarzenia”**



rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Kiedy rozmawialiśmy rok temu, w mediach pojawiła się seria tekstów o Polsacie, który rzuca się w objęcia PiS. Ustalmy coś na starcie: już się w te objęcia rzuciliście czy jeszcze się wahacie?

DOROTA GAWRYLUK: To nie ja, ale widzowie oceniają, czy jesteśmy w czyichś objęciach. A robią to w jednoznaczny sposób, bo wszystkie badania pokazują, że oglądalność Polsat News rośnie. Moim zdaniem właśnie dzięki temu, że nie zapisujemy się do żadnego obozu. W przeciwieństwie do tych, którzy oskarżali nas o czułości na tle politycznym.

Czy spodziewa się pani w takim razie sprostowań?

W dzisiejszych czasach byłoby naiwnością sądzić, że ktokolwiek poczuje się do odpowiedzialności za słowo. Domaganie się przeprosin to żmudna droga, zajmująca mnóstwo czasu i energii, szczególnie jeśli spór wchodzi na drogę sądową. Mamy ciekawsze i ważniejsze zajęcia niż spory z mediami, które – mówiąc bez ogródek – hejtują nas i próbują obniżyć naszą wiarygodność. Nie zapominajmy również, że te media to nasza konkurencja. I być może tego typu ataki są ich jedynym pomysłem na konkurowanie z nami – cóż, ich wybór, a na szczęście dla nas ostatecznie głosują widzowie. Poza tym gdybyśmy w naszej pracy codziennie zajmowali się rzucaaniem kamieniami w każdego szczekającego psa, niczego byśmy nie osiągnęli.

Chwali się pani przyrostem oglądalności Polsatu News jako efektem zaufania ze strony widzów, ale może powód jest prostszy? Sygnał po raz pierwszy trafił do darmowej naziemnej telewizji cyfrowej w kilku większych miastach w Polsce.

W miastach i tak jesteśmy obecni w większości domów poprzez sieci kablowe i platformy satelitarne, ale to prawda, część przyrostu wynika z obecności w telewizji naziemnej. Da się jednak łatwo zmierzyć, że z 30 proc. wzrostu oglądalności w skali roku

Emocje coraz częściej zastępują fakty



FOT. MARCIN ULANIEWSKI/FOCUS

z tzw. rozszerzenia pochodzi tylko jedna dziesiąta. Reszta to ciężka praca całego zespołu, zmiana studia, pożegnanie się z niektórymi dziennikarzami, zaproszenie nowych i przeformatowanie ramówek. Ten proces jeszcze się nie zakończył, przed nami żmudna praca, ale cel, który został mi postawiony przez władze stacji, mam nadzieję, że zrealizowałam.

Czy celem jest również pozycjonowanie się między młotem i kowadłem TVP oraz TVN?

Powiem panu szczerze, że nie zadaje sobie nawet takich pytań. Chcemy budować normalną telewizję. Nie mam problemów, gdy ktoś określa swoje medium jako liberalne albo konserwatywne, ale nie znoszę, gdy będąc po jednej stronie sporu, udaje obiektywnego i wszystkich wokół poucza.

W czasach polaryzacji chcecie być telewizją symetrystów?

Chcemy być miejscem, gdzie spotkają się komentatorzy i politycy o różnych poglądach. Tacy, którzy nigdzie indziej nie mogliby się spotkać.

Prawdziwa idylla pluralizmu i niezależności. Przesada.

A „czarne listy” gości, których jednak zapraszać nie można, są?

Nie ma żadnych list, czarnych ani białych.

Ani SMS-ów do wydawców, kogo zapraszać nie należy?

Ja nie wysyłam, ale skoro taka sugestia padła, to może powinnam zacząć? (śmiech) A na poważnie, jeśli kogoś u nas nie ma, to zazwyczaj na gruncie czysto ludzkim i osobistym. Jeden dziennikarz nie chce występować z drugim, jakiś polityk z innym obok nie usiadzie – na to nie mamy wpływu.

Jednak już na zmianę formatu Superstacji i wycięcie z niej programów publicystycznych macie wpływ. Oglądalność kanału spadła o 50 proc., z anteny zniknęła Eliza Michalik, Kuba Wątlý oskarżał Polsat wprost: „Moje zwolnienie z Superstacji to decyzja polityczna”.

Przed wszystkim to nie ja zmieniałam format stacji i nie miałam na to wpływu, to była decyzja zarządu. To, co ja mogę powiedzieć, to to, że w sumie jest to ciekawe, iż każdy ruch z naszej strony postrzegany jest w pewnych środowiskach na starcie jako polityczny, a nie np. jako biznesowy.

Czy Agora, gdy zamyka lokalne oddziały „Gazety Wyborczej”, zwalnia ludzi, zmienia audycje w TOK FM albo dodaje nowe, musi się tłumaczyć? Ktoś wówczas mówi o decyzjach politycznych? Tymczasem gdy rzecz dotyczy nie kilkudziesięciu pracowników edycji, składu czy grafików, ale dwóch powiązanych koneksjami towarzyskimi dziennikarzy, podniesiono larum. Tutaj nie ma drugiego dna – nakłady na Superstację nie przynosiły oczekiwanych efektów i trzeba było coś zmienić. Zmieniono oblicze tej anteny na bardziej rozrywkowe. Poza tym to właśnie magia statystyki i liczb – kiedy mówi pan, że oglądalność spadła o 50 proc., wydaje się, jakby miliony widzów nagle odeszły od Superstacji. Tymczasem powszechnie dostępne wyniki pokazywały, że ta oglądalność to było ok. 0,1 proc.

I akurat zniknęły programy prowadzących niechętnych rządowi?

Przedstawiciele stacji już to wyjaśniali – Superstacja widocznie była nierenowna i nie miało znaczenia, czy ktoś jest pro- czy antyrządowy. Nie jesteśmy

wolno kogoś sprawdzać, opisywać czy krytykować osób publicznych, bo gdy stanie się coś złego, odpowiedzialny będzie nie morderca, ale jakaś gazeta czy jakiś publicysta? Nie przesadzałabym ze zbyt daleko idącymi wnioskami.

To, co pani mówi, jest być może oczywiste z perspektywy osoby, która całe lata spędziła w mediach. Co pani odpowiada jednak studentom dziennikarstwa, gdy pytają, czy nadal warto uprawiać ten zawód? Łukasz Warzecha ponoć wszystkim na wstępie odradza.

Ja na pewno nikomu na starcie dziennikarstwa nie odradzam, to tylko kwestia determinacji i powołania. Jeżeli ktoś słyszy wewnętrzny głos, że powinien to robić, nawet tysiąc Dorot Gawryluk i Łukaszów Warzechów nie zmieni jego planów.

A jeżeli pełen ideałów idzie do dziennikarstwa, licząc na reportaże, a kończy, klepiąc na portalu pięć tekstów dziennie, to też słyszy wewnętrzny głos?

Też może, a nawet musi. Wkurza mnie nazywanie takich ludzi pogardliwie „me-

Gdybyśmy w naszej pracy codziennie zajmowali się rzucaniem kamieniami w każdego szczekającego psa, niczego byśmy nie osiągnęli

telewizją publiczną, której nawet jeśli się nie ogląda, to dostanie i tak pieniądze od państwa. U nas to się musi wszystko spinać. Proszę zwrócić uwagę, że żadna z osób, z którymi się pożegnaliśmy, nie znalazła później pracy w innej telewizji, choć oczywiście życzę im jak najlepiej.

Rozmawiamy pod sam koniec 2019 r., który rozpoczął się od dramatu w Gdańsku. Na oczach setek tysięcy widzów prezydent Paweł Adamowicz został ugodzony nożem. Czy ma pani wrażenie, że w konsekwencji tego morderstwa również w mediach przekroczona została pewna granica? W końcu jedni dziennikarze oskarżali drugich o to, że przyczynili się do ataku, „inspirując” szaleńca.

Nie mam wrażenia, żebyśmy przekroczyli jakąś nieznana do tej pory granicę. Owszem, dosyć szybko nastąpiła próba politycznego wykorzystania tego dramatu. Ale czy to coś nowego w Polsce? Przecież sam Sławomir Neumann na ujawnionych taśmach wypowiadał się gorzej o Pawle Adamowiczu niż niejeden dziennikarz czy komentator. Możemy jednak zapytać: Czy w takim razie nie

diaworkerami”. Znam wiele aktorek, które są świetne w tym, co robią, ale nigdy nie aspirowały do sławy czy celebryckich seriali, realizując się w teatrze. Czy to ich porażka, że nie są przez to znane, występując niejednokrotnie w tle? „Mediaworker” to ktoś, kto pracuje słowem – pisze depesze, redaguje informacje, sporządza newsy. Bez nich nie byłoby żadnej redakcji, a my nie moglibyśmy wychodzić do widzów. Nie będę jednak ukrywać, że znacznie gorzej w tym zawodzie mają kobiety.

To znaczy?

Chodzi mi o to, że wiele z nich nie ma świadomości, jak przez pracę w mediach może później wyglądać ich rodzina. W tych dwóch światach nie ma taryfy ulgowej, trzeba dawać z siebie wszystko. Ale co zrobić, gdy nie można dać dzieciom tyle, ile by się chciało? One zaczynają na tym cierpieć, bo wbrew lansowanym dzisiaj twierdzeniom nie da się zastąpić matki. Mężczyzna i kobieta w rodzinie to nie jedno i to samo, ale dwie różne, uzupełniające się role i osoby. Zawsze

■ mówiłam o tym szczerze, że ze względu na „karierę w mediach” słabiej uczestniczyłam w wychowaniu syna, niż powinienam. Mam z tym do tej pory problem.

Mówi pani o konserwatywnym modelu rodziny, roli matki, często wypowiada się również o swojej wierze. Czy spotyka panią za to środowiskowy ostracyzm? Na wszelkiej maści dziennikarskich bankietach właściwie pani nie widać.

Nie myślę o tym ani nie chcę się kreować na ofiarę ostracyzmu. Na imprezy i uroczystości nie chodzę, bo po prostu nie mam na to czasu i – mówiąc wprost – nie kręci mnie to. Wolę każdą godzinę, która zostanie mi po pracy, poświęcać najbliższemu. Prawdę mówiąc, nawet gdybym miała czas, nie wiem, czy miałabym ochotę na takie wydarzenia chodzić. Nasze środowisko, zamiast zostawiać swoje poglądy przed wejściem do studia na korytarzu, przenosi je na całe życie

dobrze wykadrowane fotografie, wśród nich mogą być nawet z innego państwa – nieważne. Tymczasem dziennikarz jest od tego, żeby weryfikować fakty i próbować zrozumieć racje wszystkich stron.

Ta definicja brzmi jak list w butelce z XX w. Dzisiaj dziennikarze udostępniają płyty przed domem na plakaty wyborcze polityków i chodzą im zbierać podpisy poparcia.

To mnie w wielu przypadkach nie zaskakuje, bo te same osoby, które dzisiaj mieszają role, od początku płynnie poruszały się między mediami a polityką. Jednak jeśli robią to za prywatne pieniądze, a widzowie i czytelnicy chcą ich oglądać na granicy tych światów – to czemu nie? Niech tylko mają odwagę to robić z otwartą przyłbicą, zamiast jednego dnia brylować na politycznym wiecu, a drugiego zgrywać moralizatorów, którzy pouczają, jak i o czym pisać

przez polityków czy np. przejmowania ich przez państwo czy państwowe firmy – o pozycji danego medium decydować powinni przede wszystkim widzowie i czytelnicy.

Będzie tylko gorzej? Znikąd nadziei?

Może sama sobie teraz zaprzeczę, ale nie jest tak źle, jak może to wynikać z naszej rozmowy. Media i dziennikarze nadal mają ogromnie ważną rolę do odegrania. Poruszają tematy, których nikt inny nie porusza, odkrywają afery, pomagają ludziom w beznadziejnych sprawach, będąc dla nich często ostatnią instancją, gdy wszystko inne – włącznie z sądami – zawiedzie. Pewna uboga rodzina przez błąd w dokumentach od ponad roku nie mogła otrzymać „500+” na dwoje dzieci. Matka dzwoniła do urzędu dwa razy w tygodniu i słyszała, że „sprawa w toku”. Wystarczyło, żebyśmy przyjechali na miejsce z kamerą, a udało się ten węzeł gordyjski rozsupłać w weekend. To jest realna wartość naszego zawodu. Rozumiem jednak frustrację wielu odbiorców, która jest także wymierzona w stagnację rynku. Ciągłe te same twarze, nazwiska, utarte poglądy. Mnie mało co dziwi, z góry wiem, kto komu płoć na plakaty wyborcze udostępni. Trudno zaistnieć z boku z niezależnym głosem, bo narazi się tym jednym i drugim jednocześnie. Ale trzeba to robić, nie dać się zabić poprawności politycznej.

Mam wrażenie, że to właśnie dzisiaj felietony „Kisiela” byłyby chętniej poddawane wewnętrznej cenzurze w redakcjach niż w latach PRL

i – co najgorsze – stara się je wszystkim dookoła narzucić. Mnie to nie bawi.

A gdy widzi pani tych samych dziennikarzy, który później bezrefleksyjnie podają na Twitterze zdjęcie z fety mistrzowskiej Wisły Kraków z 2009 r. jako obrazek z protestów w obronie wymiaru sprawiedliwości z grudnia, to bardziej panią bawi czy smuci?

Bardziej smuci, ale coraz mniej dziwi. Emocje coraz częściej zastępują fakty, do tego stopnia, że część dziennikarzy w Polsce – po obydwu stronach barykady – świadomie przeszła na stronę polityków, stając się ich pomocnikami w kreowaniu rzeczywistości. Może nawet nie ze względu na materialne korzyści, ale również ich ideowość. Spotykam coraz więcej osób święcie przekonanych do swoich racji – to się przenosi na każdą sferę życia. Tak mocno wierzą w świat, który sobie wykreowali, że nie przekonają ich żadne argumenty, bo oni czują inaczej. Można pokazać im to zdjęcie kibiców piłkarskich i zapytać: „Jak to się stało, że przez tyle lat nikt nie przekonał Polaków, aby w podanej skali wyszli na ulice w obronie sądów? Może Polacy nie czują, aby one były zagrożone?”. I jakie odpowiedzi padają? „Przecież w setkach miast protestują tysiące osób”. I pokazują inne,

i komu ręki nie podawać. Jeśli ten warunek uda się spełnić, to na resztę nie będę narzekać – to przecież też jakiś element różnorodności i pluralizmu w debacie publicznej.

Wydaje się, słuchając niedawnych zapowiedzi wicepremiera Piotra Glińskiego, że rząd nie podziela entuzjazmu wobec panującego na rynku medialnym pluralizmu i podziału sił. Ustawa „repolonizująca” czy „dekonzcentrująca” największe zagraniczne koncerny medialne w Polsce ma być gotowa i czekać w szufladzie. Warto ją wyciągać?

Faktycznie od dłuższego czasu słysząc takie zapowiedzi, ale to, że ktoś coś mówi, nie oznacza, że chce to zrobić. Nie ulega jednak wątpliwości, że gdy porówna się strukturę kapitałową rynku polskiego i np. niemieckiego czy francuskiego, widać ogromne dysproporcje. Uważam jednak, że najpierw powinno się przekonać obywateli i środowisko do swoich racji, pokazując stojące za nimi fundamenty, a dopiero potem coś reformować. Niestety, rzeczowa dyskusja na ten temat jest dzisiaj niemożliwa z obydwu stron, bo – wracamy do punktu wyjścia – nie dyskutuje się o istocie rzeczy, tylko o uprzedzeniach i emocjach. A te zawsze będą skrajne. Nie jestem jednak przy tym fanką regulowania mediów

Czyli?

Mam wrażenie, że to właśnie dzisiaj felietony „Kisiela” byłyby chętniej poddawane wewnętrznej cenzurze w redakcjach niż w latach PRL. On umiał nazywać rzeczy po imieniu, pisać ostro, nawet jeśli uderzał w ego tej czy innej nadętej persony. Na szczęście coraz większą rolę i równowagę względem tego, co stare oraz środowiskowo zamknięte, daje Internet. To dzisiaj prawdziwy tygiel dziennikarstwa i tam upatruję nadziei. Wolnej od pozowania, udawania, konformizmu.

Kończąc bon motem: pogłoski o śmierci dziennikarstwa są stanowczo przesadzone?

Banały są banałami, ale dlatego są powtarzane, bo są trafne. W każdym zawodzie dobra praca się obroni, jeśli będzie uczciwa. Tego nam dzisiaj brakuje bardziej niż nowoczesnych studiów nagraniowych i na to tak naprawdę ludzie czekają. Nie mam co do tego wątpliwości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**PRENUMERATA
2020 w cenie 2019**

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA
MONIKA BARTOSZEWICZ
„FESTUNG
EUROPA”

~~330~~ zł



134,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
196 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

ŁUKASZ ZBORALSKI: Firma mająca centrum operacji w Warszawie, współtworzona przez Polaka, skonstruowała najmniejszego satelitę do przesyłania obrazów radarowych, pionier na rynku, satelity wystrzeliwuje, korzystając ze SpaceX Elona Muska. Gdy się pan przedstawia, to ludzie muszą być zaskoczeni...

RAFAŁ MODRZEWSKI: I tak jest. W Polsce budzi to lekkie niedowierzanie.

Kiedy zainteresował się pan satelitami?

Pierwszy teleskop kupiłem, gdy miałem 12 lat. I już wówczas zacząłem obserwować gwiazdy. Wybór nauki na Politechnice Warszawskiej zakładał, że czymś technicznym będę się zajmował. Z punktu widzenia kogoś z predyspozycjami technicznymi, kto chce „sięgnąć gwiazd”, budowanie systemów, które są umieszczane w Kosmosie, jest największym i najbardziej ekscytującym wyzwaniem. Zawsze starałem się w tym kierunku podążać, a zbieg okoliczności spowodował, że stało się to możliwe dość szybko.

To stało się na uczelni w Finlandii. Dostaliście jakiś grant na budowę satelity?

Tak się złożyło, że akurat gdy przyjechałem na Uniwersytet w Helsinkach w ramach programu Erasmus, ta uczelnia dostała grant na zbudowanie swojego pierwszego małego satelity Aalto-1. Ponieważ tak dobrze przedmioty na uniwersytecie, by ocierały się o tematykę kosmiczną, zostałem zaproszony do udziału w grupie, która miała rozpocząć ten projekt. Tego małego satelitę budowałem dwa lata. A potem wpadliśmy z kolegą na pomysł, by założyć własną firmę i zaaplikować naszą wiedzę w sferę komercyjną.

Zajęliście się satelitami SAR. Czym one się różnią od tych obrazujących optycznie?

SAR oznacza obrazowanie radarowe. Satelity te są używane do robienia zdjęć Ziemi. Technologia ta pozwala na robienie zdjęć bez względu na warunki pogodowe czy porę dnia. Dzięki temu uzyskujemy większą pewność i powtarzalność wykonywania zobrażeń.

Nie wyważyliście otwartych drzwi i nie wymyślaliście własnej technologii. Za to zrobiliście coś innego – zmminiaturyzowaliście satelity. Poprzednie dostępne na rynku ważyły po kilkaset kilogramów, wasz waży mniej niż 100 kg. Co modyfikowaliście, by urządzenie stało się mniejsze i co za tym idzie – tańsze?

Założenie było takie, że nie pomniejsza się specyficznego jednego elementu czy technologii. Tylko jest to cały projekt systemu, który opiera się na innym założeniu. Musieliśmy więc jeszcze raz zbudować podzespoły, które są znane, ale nie zostały skonstruowane tak, by sprzyjały pomniejszeniu systemu. Często mówimy, że wróciliśmy do deski kreślarskiej, bo tak to właśnie wyglądało. Nie mogliśmy łączyć ze sobą już istniejących systemów, tylko każdy z nich trzeba było jeszcze raz zaprojektować, biorąc pod uwagę nowe dla nich wymagania.

Na początku mieliście dwa satelity na orbicie. Dzisiaj jest ich już więcej?

Do teraz wystrzeliliśmy łącznie pięć satelitów. Docelowo będzie minimum 18. Główna przewaga małych satelitów polega na tym, że jesteśmy w stanie wystrzelić ich wiele za kwotę porównywalną z wyniesieniem jednego, dużego satelity, ze względu na to, że koszt wystrzelenia ładunku uzależniony jest od jego masy. W dodatku z kalkulacji wynika, że jest kilka aspektów obrazowania Ziemi poza jakością i rozdzielczością,



**Z Rafałem Modrzewskim,
prezesem i współtwórcą firmy ICEYE
rozmawia Łukasz Zboralski**



Ile jest firm oferujących dziś takie technologie satelitarne jak wasza?

Jedna – nasza.

Wyniesienie satelity zlecieliście firmie Elona Muska. Są w tym najtańsi?

Zawsze jest to kwestia połączenia ceny z dostępnością usługi i możliwością umieszczenia satelity na wybranej orbicie. Ale tak, jest to konkurencyjna firma.

chodzi mi tu o szybkość odpowiedzi na zapotrzebowanie klienta na zdjęcie z jakiegoś konkretnego obszaru Ziemi i częstotliwość wykonywania zobrażeń – te zależą głównie od liczby posiadanych satelitów.

Czyli wasza sieć nie jest jeszcze pełna, ale już widzę w portfolio klientów, takich jak Departament Obrony USA, Fińskie Siły Zbrojne. Co oni od was kupują?

Kupują usługę, którą oferujemy, czyli globalny dostęp do zobrażeń radarowych.

Rozumiem, że ta odpowiedź musi być tak ogólna. A w Polsce jest zainteresowanie tą technologią i takimi usługami?

Wydaje mi się, że tak. Ogólna tendencja światowa jest taka, że bardziej zainteresowany jest sektor publiczny, bo jest on bardziej świadomy, jeśli chodzi o dostępność tej technologii. Zanim pojawiły się nasze satelity, poprzednie były tak drogie, że właściwie tylko

czający 1 mld dol. Nasza firma łącznie zebrała dofinansowanie 60 mln dol., a satelitów wystrzeliliśmy do tej pory pięć. Wychodzi nam koszt 330 mln dol. za jednego, dużego satelitę i ok. 10 mln za naszego. To szacunki, trzeba jeszcze brać pod uwagę np. koszty badawczo-rozwojowe.

Dlaczego centrum operacyjne firmy – przetwarzanie wszystkich danych z satelitów – jest akurat w Warszawie?

Z punktu widzenia prawnego główna siedziba jest w Finlandii, gdzie firma powstała. Jednak bardzo szybko otworzyliśmy kolejne biuro właśnie w Warszawie. Głównie ze względu na zasoby ludzkie – w Polsce mamy wielu bardzo zdolnych inżynierów. Jest tu też relatywnie niska konkurencja, jeśli chodzi o zapotrzebowanie na takich pracowników, ponieważ przemysł kosmiczny w Polsce jest jeszcze dość nową, ale rozwijającą się gałęzią.

A polskie firmy interesują się takimi usługami?

Dostarczamy nie tylko usługi obrazowania, w formie zdjęć, lecz także usługi informacyjne, czyli analizę zdjęcia dającą wiele danych, których firma potrzebuje do podejmowania lepszych decyzji. Te informacje mogą być różne. Na przykład Lasy Państwowe są potencjalnie zainteresowane tym, żeby mierzyć na bieżąco zalesienie i kondycję drzewostanu. Rozmawiamy też z firmami ubezpieczeniowymi, dla których możemy monitorować zmiany poziomu gruntów, które są interesującym aspektem tego, czy to szkody górnicze czy naturalne efekty zmian na Ziemi. Firmy prywatne są więc dużo bardziej zainteresowane informacjami, które możemy uzyskać ze zdjęć niż samymi obrazami.

A polska armia też się tym interesuje?
Tak.

Jesteście też członkiem gremiów zainteresowanych przemysłem kosmicznym w Polsce. Jako praktycy jak widzicie to, co się w tym sektorze dzieje w kraju?

To branża, która w naszym kraju coraz lepiej się rozwija, od kilku lat jesteśmy członkiem Europejskiej Agencji Kosmicznej. Warto jednak wspomnieć, że biorąc pod uwagę zaawansowanie polskiego przemysłu przed tym przystąpieniem, to rozwój tego sektora jest

szybszy niż w wielu innych krajach. Na przykład Finlandia i Szwecja są członkami Agencji od wielu lat i transfer tej wiedzy następował tam od dawna. W Polsce widać, że instytucje starają się znaleźć dziś pomysł, jak rozwijać ten przemysł. Jeszcze 10 lat temu odpowiedź na takie pytanie była jasna – to był tzw. old space style, czyli stary przemysł kosmiczny, który w Europie prezentują obecnie takie firmy jak Airbus czy Tales. A od pięciu lat pojawia się nowy przemysł kosmiczny, który jest dużo tańszy i szybszy, ale reprezentowany jest przez mniejsze i nowe firmy. Z polskiego punktu widzenia ważne jest, by nie powtarzać błędów przeszłości, a uczyć się na tym, jak zorganizowały to obecnie inne kraje.

Dodam, że w Polsce jest ogromna chęć współpracy między firmami, by w tym sektorze móc konkurować na arenie międzynarodowej.

A wy korzystacie już z jakichś podwykonawców z Polski?

Korzystamy z bardzo wielu rodzimych podwykonawców. Z naszego punktu widzenia nie należy budować sektora kosmicznego od podstaw. Należy wykorzystywać już istniejące firmy, które mają określone kompetencje w podobnych sektorach, i konwertować ich zdolności tak, żeby zaspokajały potrzeby przemysłu kosmicznego. Takie proste rzeczy jak np. obróbka skrawaniem w przypadku przemysłu kosmicznego teoretycznie nie różnią się znacząco od zastosowania w przemyśle samochodowym. Oczywiście są pewne różnice dotyczące dokładności, czystości. Jednak dodatkowa inwestycja w sprzęt pomiarowy czy czyste pomieszczenia jest dużo mniejsza niż inwestowanie od zera we wszystkie maszyny i sprzęty oraz kapitał ludzki, który może sprostać tym wymaganiom. Dlatego często współpracujemy z firmami, które nie są jeszcze firmami z sektora kosmicznego, ale dzięki swojej wiedzy i doświadczeniu zaczynają w nim działać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



klient publiczny, a tak naprawdę klient wojskowy był w stanie z nich korzystać. Ten klient zna już zatem swoje zapotrzebowanie.

To może zdradzimy kwoty, o jakich pieniądzach tu mówimy, co było wcześniej drogie, a teraz jest tanie?

Na przykład kanadyjski projekt publiczny – wystrzelenie trzech dużych satelitów SAR – to był koszt przekra-



Rafał Modrzewski – absolwent Politechniki Warszawskiej i Aalto University, w 2015 r. wraz z Pekką Laurilą założył firmę ICEYE.

Śpiewał podczas koncertu kołęd TVP z Ostrej Bramy. W święta publiczny nadawca pokazywał także zorganizowany na jego cześć benefis. Był też czołową gwiazdą „Sylwestra marzeń” TVP w Zakopanem, pokazywaną w niezliczonych zapowiedziach imprezy, a potem w relacjach z niej emitowanych w programach informacyjnych. Śmiało można powiedzieć, że widzom TVP okres świąteczno-noworoczny upłynął pod znakiem Zenka Martyniuka, lidera grupy Akcent nazywanego królem disco polo.

SKROMNY MILIONER

Mniejszość, która nie gustuje w rytmach disco polo (z badania CBOS z 2018 r. wynika, że aż 63 proc. Polaków lubi słuchać tego gatunku muzyki), kręciła nosem na nieustanną emisję hitu „Przez twe oczy zielone” w TVP. Zenek Martyniuk doczekał się dziesiątków memów. Chopinowi z Łazienek przypisałono głowę „króla disco polo”. W sieci krążyła też przerobiona przez internautów klasyczna okładka Wydawnictwa Ossolineum z napisem „Zenek Martyniuk »Pieśni«”.

Tyle że sceptykom muzyki chodnikowej mina rzadnie, kiedy zjrzą na YouTube. Hit Zenka o zielonych oczach ma tam ponad 178 mln odsłon, „Przekorny los”, gdyby zliczyć wszystkie wersje, przebił 100 mln odsłon. Zenek Martyniuk – od lat pytany przez dziennikarzy o to, jak daleko sięgają jego plany koncertowe – zwykł odpowiadać, że wszystkie weekendy ma zajęte na dwa, a nawet trzy lata wprzód.

Srebrne, złote płyty za sprzedaż nagrań? Nie u Martyniuka. Jego płyty zdobywają status diamentowych. Czasem nawet potrójnie jak w przypadku singla „Przekorny los” (do tego potrzeba ponad 300 tys. odsłuchów lub 600 tys. zł przychodu). Był to największy sukces na rynku muzycznym w Polsce w 2018 r.

W listopadzie 2017 r. melomani przecierali oczy ze zdumienia po tym, jak do sprzedaży trafił album Akcentu „Przekorny los” na płycie winylowej. Krążek z limitowanej edycji z numerem 001 jeszcze przed zakończeniem aukcji osiągnął cenę 4,5 tys. zł, najwyższą wśród licytowanych winyli polskich artystów.

Zenek wyprzedził Czesława Niemena i Michała Urbaniaka: ich płyta „Extraganza” poszła za 2 tys. zł. Kolejny w zestawieniu był solowy album Kazika Staszewskiego „Spalam się” – 1,6 tys. zł.



Agnieszka Niewińska

Zenek Martyniuk karierę zaczynał na wiejskich zabawach. Nie kryje, że jest samoukiem i wciąż nie zna nut. Nie lansuje się w mediach społecznościowych, a i tak jego piosenki sprzedają się najlepiej w kraju

Krół z tłumu

– Mnie sukces Zenka Martyniuka ani trochę nie dziwi – mówi Maciej Durczak, ekspert w dziedzinie zarządzania rozrywką i menager muzycznych gwiazd. – To jest człowiek z tłumu, któremu udało się zaistnieć na scenie. Co z tego, że nie ma najlepszego głosu? Mówi językiem publiczności, proponuje melodie wpadające w ucho. Nie jest w czołówkach list sprzedaży w Empiku, ale i tak prawdopodobnie sprzedaje dziesiątki tysięcy płyt, wypełnia publicznością hale, stadiony – wylicza Maciej Durczak.

Podkreśla, że osiągnięcia Martyniuka to nie jest żaden sukces klasy B.

– Podobne komentarze słyszałem kiedy współtworzyłem kilkanaście lat temu sukces zespołu Ich Troje. Tylko kto dał sobie prawo do oceniania, który sukces jest bardziej wartościowy? Na rynku muzycznym znaczenie ma sprzedaż, liczba ludzi na koncertach. Za tym idą pieniądze. Mnie nurt, w którym tworzy Martyniuk, nie jest bliski, ale jego sukces uważam za niepodważalny. Myślę, że niejeden artysta reprezentujący inny nurt muzyczny chciałby mieć podobne wyniki.

Martyniuk, urodzony we wsi Gredele na Podlasiu – w sianokosy, jak opowiadał autorce biograficznej książki „Życie to są



zamienił domu na Podlasiu na willę w zagranicznym kurorcie. Mieszka w Grabówce koło Białegostoku w nieco ponad 200-metrowym domu z niedużym ogródkiem.

– Publiczność kocha go właśnie za to, że mimo sukcesu pozostał zwyczajnym człowiekiem. Nie gwiazdorzy, nie przebiera się, nikogo nie udaje. Jest skromny, i sympatyczny. Taki chłopak z sąsiedztwa – podkreśla Maciej Durczak.

PAPIEŻ, WAŁĘSA I ZENEK

Wbrew pozorom nie tylko prezes TVP Jacek Kurski, który Martyniuka nazywa ekscelencją, wywołując tym jego zakłopotanie, chce mieć króla disco polo u siebie. Chętnie pokazują go media komercyjne. Martyniuk jest gościem imprez Polsatu, udziela wywiadów głównym portalom – nie tylko tym plotkarskim. Śniadanie u Martyniuków jadł dziennikarz „Dzień Dobry TVN”, kilkunastominutowy reportaż o królu disco polo przygotowała „Uwaga” TVN. Zenek był też gościem w programie Kuby Wojewódzkiego. TVN był także jedną ze stacji, która relacjonowała pojawienie się na jednym z białostockich bloków gigantycznego muralu z Zenkiem. Jego powstanie sfinansował samorząd województwa podlaskiego, który Martyniuka uważa za ambasadora Podlasia. Autorem dzieła jest Rafał Roskowiński, wcześniej namalował m.in. Jana Pawła II i Lecha Wałęsę.

Sięgającej wielkoformatowych murali popularności Martyniuk nie musi nawet podkreślać w mediach społecznościowych, jak to robi większość współczesnych gwiazd. Nie prowadzi konta na Instagramie, nie wrzuca na Facebooka zdjęć z wakacji z żoną, nie dzieli się opiniami na tematy polityczno-społeczne. Nie jest też bohaterem skandali (tu nadrabia jego syn Daniel, w plotkarskich mediach głośno było o jego ślubie, problemach małżeńskich i kłopotach z prawem). Swoją facebookowy profil o niezbyt dużym zasięgu (ok. 250 tys. obserwujących) ma zespół Akcent. Udostępnia tam głównie materiały, które ukazały się na jego temat.

– Polski Instagram to 6–8 mln użytkowników, Facebook ok. 19 mln, a Polaków jest 38 mln. Nie trzeba prowadzić własnego profilu w mediach społecznościowych, żeby cieszyć się ogromną popularnością w naszym kraju – mówi Szymon Sikorski, prezes agencji Publicon. – Zenek Martyniuk ma za sobą dekady pracy na scenie. Strony o nim

prowadzą fani, piszą o nim duże media. Chociaż już ponad tydzień po sylwestrze, to w sieci mamy dzisiaj kilka nowych tekstów o Martyniuku – na stronach „Ekspresu Ilustrowanego”, Radia Zet, WP.pl, Onet.pl. Mieszkańcy miast żyją w bańkach, wydaje im się, że Polacy disco polo nie słuchają. Tymczasem wystarczy zrobić prosty test w Google Trends i porównać, o których twórców pytaliśmy częściej w internetowej wyszukiwarce. Zestawiłem Martyniuka z Dawidem Podsiadłą, o którym w ubiegłym roku było bardzo głośno. Sam jestem zaskoczony wynikiem. Znacznie częściej w 2019 r. pytaliśmy o Martyniuka niż o Podsiadłę.

Sikorski podkreśla, że jeśli pod uwagę nie bralibyśmy misji, którą powinny sprawować media publiczne, a jedynie obiektywne kryterium popularności, to wybór Martyniuka na gwiazdę sylwestra jest dla telewizji racjonalny.

– Wykształconym mieszkańcom miast wydaje się, że muzyka biesiadna to obciach i nie powinno się jej pokazywać – zwłaszcza w mediach publicznych. Tymczasem nie jesteśmy żadnym wyjątkiem na mapie Europy. Muzyka biesiadna jest mocno obecna zarówno w niderlandzkiej publicznej telewizji, jak i w stacjach niemieckich – mówi prezes agencji Publicon.

JAK BEETHOVEN?

Z głosów fanów Martyniuka wynika, że Zenka słuchają dla relaksu, cenią sobie melodie wpadające w ucho, na koncerty przychodzą, bo nogi same rwą się do tańca i nie trzeba być wirtuozem parkietu, by dobrze się bawić przy „Oczach zielonych”. „Byłem z żoną na koncercie w gliwickiej Arenie. Wyskakałem się!” – komentuje na YouTube Mirosław Żochowski. „Ta muzyka jednoczasy Polaków i mimo że »nie lubimy disco polo«, to kochamy się bawić przy Zenku” – tłumaczy inny z fanów. Wśród komentarzy są i akcenty profetyczne. „On jest jak Beethoven naszych czasów. To za kilka wieków będzie jak muzyka klasyczna” – przewiduje jeden z fanów.

Jedno jest pewne, luty będzie należał do Martyniuka. W walentynki do kin wchodzi bowiem produkowany przez Telewizję Polską film biograficzny o Martyniuku – „Zenek”. Nawet nieprzychylni muzyce króla disco polo komentatorzy przewidują, że film ma zadatki na frekwencyjny hit.

chwile” – muzykował już jako dziecko. Gry na gitarze nauczył go wuj Mikołaj, pierwszy instrument dostał od dziadka, też Mikołaja. Po skończeniu podstawówki zaczął grać na zabawach. Ubrania, które zakładał, występując na scenie, szyla mu babcia. Koszule robiła z zafarbowanej tetry. Kiedy przyszły pierwsze pieniądze, Martyniuk mógł już kupić dzinsy i kąpielówkę w Peweksie.

Na wiejskich zabawach wypatrzył go Zenobiusz Gul z zespołu Akord, który szukał wokalisty. I tak Martyniuk, który poza muzyką pasjonował się sportem (myślał nawet o studiach na AWF), zdecydował się na karierę muzyczną. W 1989 r. razem z Mariuszem Anikiejem założył zespół Akcent, z którym konsekwentnie budował swoją popularność, występując na coraz większych imprezach i festiwalach discopolowych.

Nigdy nie ukończył szkoły muzycznej. W wywiadach nie czaruje, szczerze przyznaje, że jest samoukiem. – Do dziś nie znam się na nutach. Na gitarze od zawsze gram ze słuchu, a melodię, którą mam w głowie, ktoś inny musi przenieść mi na pięciolinie – powiedział Martyniuk w książce „Życie to są chwile”.

Chociaż „Super Express” wyliczył, że Martyniuk na samych koncertach może zarobić nawet 7,5 mln rocznie, to nie



Film „Pewnego razu w Hollywood” Quentina Tarantino zdobył trzy Złote Globy

FOT. HFFPA/CAPITAL PICTURES/FORUM

Na Złotym Globie



Piotr Gociek

Kłeska Netflixa i Martina Scorsese, wielkie dni dla Quentina Tarantino – czy Złote Globy wskazują nam przyszłych laureatów Oscarów?

Złote Globy to potrawa przedziwna – jest zarazem daniem głównym i przystawką. Daniem głównym, bo ogłoszenie nominacji i werdyktu skupia uwagę mediów, a na gali stawiają

się wszystkie najważniejsze hollywoodzkie gwiazdy. Przystawką, bo i tak co roku wszyscy zadają sobie to samo pytanie: Na ile lista laureatów zwiastuje to, co będzie się działo podczas gali wręczenia Oscarów.

Są więc Złote Globy nagrodą najważniejszą z tych mniej ważnych, pierwszą wśród drugich, bo to jednak amerykańska Akademia Filmowa wciąż trzyma w ręku najważniejsze narzędzie dystrybucji prestiżu. Złote Globy zaś rozpychają się gdzieś pomiędzy Oscarami z galą Emmy, podczas której nagradzane są produkcje telewizyjne. Złote Globy wręczone są i za najlepsze dokonania

w świecie filmu, i za to, co nakręciło się na małym ekranie. Decyzja o poszerzeniu werdyktu o telewizję, podjęta w 1955 r. (same Globy wręczone są od 1944 r.), miała na początku po prostu pomóc odróżnić nagrodę od innych. Z dzisiejszej perspektywy okazuje się prorocznie opłaczna, bo to przecież w świecie telewizji dzieją się dziś rzeczy najciekawsze.

Wyjaśnijmy jeszcze, kto Złote Globy przyznaje. To Hollywoodzkie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej (Hollywood Foreign Press Association). Grono wąskie (mniej niż 100 osób), do którego bardzo trudno się dostać, i niespecjalnie reprezentatywne (brak w nim przedstawicieli

niejednego ważnego tytułu). Mimo to nagrody, których siedem dekad temu nikt nie traktował poważnie, dziś są ważnym wydarzeniem w życiu Hollywood, chyba trochę zgodnie z zasadą, że jeśli będziesz robił coś wystarczająco długo i uparcie, to wreszcie cię zauważą.

ZADOWOLONY QUENTIN

Gdy w grudniu ogłoszono nominacje do Złotych Globów, prym wiodły dwie produkcje Netflixa: „Historia małżeńska” Noaha Baumbacha (sześć nominacji) i „Irlandczyk” Martina Scorsese (pięć nominacji) oraz najnowsze dzieło ulubieńca filmowych dziennikarzy – Quentina Tarantino – „Pewnego razu w Hollywood” (także pięć nominacji). Z tego grona obronił się jedynie ten ostatni, zdobywając trzy Złote Globy. Sprawa jest jednak nieco skomplikowana, bo w odróżnieniu od Oscarów grono przyznające Globy ma osobną kategorię dla filmów dramatycznych i osobną dla „komedii lub musicalu”, co oczywiście daje okazję do dopieszczenia większej liczby tytułów i twórców, ale często przynosi kontrowersje. Tak stało się i w tym roku. „Pewnego razu w Hollywood” uznano bowiem za najlepszą „komedię lub musical” właśnie.

„Irlandczyk” Martina Scorsese przypadł zupełnie (żadnej nagrody), „Historia małżeńska” dostała jedną (dla Laury Dern za najlepszą kobiecą rolę drugoplanową). Niespodziewanie wyścig w najważniejszej kategorii – czyli najlepszy film dramatyczny – wygrał dramat wojenny „1917”, który jeszcze w tym miesiącu trafi także do polskich kin. A Sama Mendes, jego twórca, uznano za najlepszego reżysera. Werdykt kontrowersyjny, bo o ile zdaniem wielu krytyków jest to godne uwagi osiągnięcie techniczne (odyssey dwóch żołnierzy w okopach pierwszej wojny światowej przedstawiono jako jedno długie ujęcie), o tyle równie często wytyka się Mendesowi, że jest tak skoncentrowany na produkcyjnej perfekcji, że zapomina o fabule i emocjach.

Za najlepszego aktora uznano Joaquina Phoenixa za rolę w „Jokerze” Todda Phillipsa, i to decyzja, której można było się spodziewać. Jego kreacja zdecydowanie przerasta mocno przyznaną nagrodę (nagrodę główną w Wenecji wciąż uważam za niezrozumiałą i nie do obrony), w dodatku bezwstydnie kopiujący „Króla komedii” Martina Scorsese. Gdybym to ja miał wypełniać kartę do

głosowania, wskazałbym jednak Adama Drivera za rolę w „Historii małżeńskiej”.

Najlepsza aktorka – Renée Zellweger za występ w filmie „Judy” (reż. Rupert Goold), w którym wciela się w Judy Garland u kresu życia przedwcześnie zmarłej aktorki. Film jest już wyświetlany na polskich ekranach. Obraz nierówny i niespecjalnie porywający, mocno przewidywalny, w którym Zellweger jest punktem najjaśniejszym, choć można zadać pytanie, czy ten comeback nie był właśnie na zimno skrojonym „materiałem oscarowym” – wszak Hollywood uwielbia ronić łzy nad tymi, których wcześniej sam przemiewał.

W kategoriach telewizyjnych najczęściej powodów do radości mają decydenci z kablowego giganta, którym mimo rosnącej konkurencji serwisów streamingowych pozostaje HBO

A oto zwycięzcy w drugiej odnodze: komedia lub musical. Tu najbardziej zadowolony jest Quentin Tarantino. Nie dość, że „Pewnego razu w Hollywood” uznano za najlepszy film, to jeszcze on sam odebrał nagrodę za najlepszą scenariusz. Zaś Brad Pitt został uhonorowany Złotym Globem za rolę drugoplanową. Jeśli chodzi o role główne, to z nagrody w kategorii „najlepszy aktor w musicalu lub komedii” cieszy się Taron Egerton za występ w „Rocketman” (reż. Dexter Fletcher) o życiu Eltona Johna. Prywatnie widziałbym tu jednak statuetkę dla Eddiego Murphy’ego za fenomenalną kreację w „Nazywam się Dolemite” (reż. Craig Brewer). Najlepszą aktorką obwołano zaś Awkwafinę (pseudonim sceniczny Nory Lum) za rolę w „Kłamstewku” (reż. Lulu Wang).

„Praziomek” (reż. Chris Butler) nagrodzony w kategorii najlepsza animacja to wybór trafny, bo to film zachwycający oryginalnością plastyczną i przełamujący disneyowską sztamę. Najlepszym filmem zagranicznym został „Pasożyt” (reż. Bong Joon-ho), czego można było oczekiwać, bo to zdobywca Złotej Palmy w Cannes.

Pozostałe nagrody dla produkcji kinowych odnotujmy z kronikarskiego obowiązku: „I’m Gonna Love Me Again”,

którą Elton John i Bernie Taupin napisali do musicalu „Rocketman”, najlepsza muzyka – Hildur Guðnadóttir za „Jokera”. Za najlepsze zdjęcia, montaż, efekty, kostiumy itp. Złotych Globów się nie przyznaje, z tym większą ciekawością czekać więc będziemy na Oscary.

W kategoriach telewizyjnych najwięcej powodów do radości mają decydenci z kablowego giganta, którym mimo rosnącej konkurencji serwisów streamingowych pozostaje HBO. Za najlepszy serial uznano „Sukcesję”, za najlepszy miniseria „Czarnobyl”. Do tego Brian Cox nagrodzony został za główną rolę w „Sukcesji” właśnie, a Stellan Skarsgård za rolę drugoplanową w „Czarnobylu”. Obydwie produkcje znane są polskim widzom, o obydwu pisaliśmy na łamach „Do Rzeczy”.

Za nagrodę pocieszenia dla Netflixa uznać można wyróżnienie dla Olivii Colman za rolę w serialu „The Crown”, dwie nagrody zdobył komediowy serial „Fleabag” produkowany przez BBC, a dystrybuowany przez Amazona. Konkurujący z Netflixem i Amazonem serwis Hulu cieszyć się może z nagrody za drugoplanową rolę Patricii Arquette w miniseriale „The Act”. Z kolei Showtime zabiera do domu nagrodę dla Russella Crowe’a (najlepszy aktor w miniserii za rolę w produkcji „Na cały głos”, u nas pokazywanej przez HBO), a FX wyróżnienie dla Michelle Williams za rolę w miniserii „Fosse/Verdon”.

Część wskazań w kategoriach telewizyjnych pokrywa się z werdyktem ogłoszonym podczas ostatniej gali nagród Emmy, którymi wyróżnia się tylko produkcje przeznaczone na mały ekran. Te najbardziej docenione i tu, i tu to „Czarnobyl”, komediowy „Fleabag” i „The Act”.

HOLLYWOOD W PUŁAPCE

Na Złote Globy patrzy się jednak głównie jak na barometr wskazujący możliwą pogodę podczas wręczania Oscarów. Kiedy przeglądam rozmaite zestawiane przez branżową prasę amerykańską listy możliwych nominacji, widzę, że grono najlepszych tytułów roku jest wąskie i się powtarza. Zatem „Pewnego razu w Hollywood”, „1917”, „Irlandczyk”, „Historia małżeńska”, „Joker”, „Na noże” („Knives Out”, reż. Rian Johnson, ta kryminalna komedia trafiła na polskie ekrany w grudniu), „Rocketman”, „Dwóch papieży”. W przypadku wielu tytułów wydaje się, że pytanie nie brzmi: „Czy

„dostaną oscarowe nominacje?“, lecz raczej: „Jak wiele i w jakich kategoriach?“. Zestaw najpoważniejszych kandydatów jest wąski.

Pytanie drugie dotyczy tych tytułów, które zostały przez grono przyznające Złote Globy zignorowane lub ledwie dostrzeżone, a które mogą jednak zostać przez Akademię Filmową docenione.

Tu przede wszystkim wskazać należy nowy film Greta Gerwiga, autorki znakomitego komediodramatu „Lady Bird“ (pięć nominacji dwa lata temu). Gerwig, aktorka, która okazała się jednocześnie bardzo utalentowaną reżyserką, zaskoczyła pod koniec roku krytykę i publiczność świetną nową wersją klasycznej powieści Louisy May Alcott „Małe kobiety“.

Gerwig chwali się nie tylko za znakomitą robotę reżyserką i świetnie dobraną, pięknie poprowadzoną obsadą (Saoirse Ronan, Emma Watson, Laura Dern, Timothée Chalamet czy Meryl Streep, a to tylko część mocnych nazwisk), ale także za odświeżenie klasyki i uwspółcześnienie jej przekazu, przy jednoczesnym uchwyleniu ducha oryginału.

Brutalnie powiem też od razu, że Gerwig ma jeszcze jeden wielki atut: jest kobietą. Trzeba na to zwrócić uwagę, bo przecież w ostatnich latach więcej miejsca w mediach zajmowały nie rozważania o jakości filmów, lecz o równouprawnieniu. Stąd apele, by zarówno skład Akademii Filmowej, jak i lista nominowanych oraz nagrodzonych były odpowiednio zrównoważone pod względem płci, rasy i/lub ewentualnego należenia do mniejszości seksualnych (lub opisywania ich problemów). To dwie wiadomości dla Gerwig: dobra i zła. Dobra, bo jej szanse na Oscara rosną. Zła, bo nie sądzę, by jakkolwiek twórca czuł się szczęśliwy, gdy jego dzieło nagradza się nie ze względu na jego wartość, tylko z powodu pochodzenia lub cech płciowych autora. W taką jednak pułapkę wpędzili się hollywoodzcy progresiści i ich medialni treserzy.

Oznacza to, że rozglądać się powinniśmy i za innymi zwiastunami niespodzianek, jednak zgodnych z duchem nowych, równościowych czasów. Spójrzmy. Dobre recenzje miały „Ślicznotki“ („Hustlers“, reż. Lorene Scafaria) o striptizerkach biorących pomstę na klientach z Wall



Za najlepszego aktora uznano Joaquina Phoenixa za rolę w „Jokerze“ Todda Phillipsa. FOT. KEVIN MAZUR/GETTY IMAGES

Street (powiedzmy wprost – okradali ich). W rolach głównych Constance Wu, Jennifer Lopez, Julia Stiles.

Dwie nominacje do Złotych Globów dostał „Gorący temat“ („Bombshell“, reż. Jay Roach), którego bohaterkami są kobiety molestowane przez Rogera Ailesa, twórcę Fox News. W kinach film przepadł, mało kto chciał oglądać aktorskie popisy Charlize Theron, Nicole Kidman, Margot Robbie, ale „Gorący temat“ cieszy się opinią filmu ważnego, no i efektu działań ruchu #MeToo. W kategorii „film ważny“ (wiem, nie ma takiej na Oscarach, ale to jeden z kluczy do nominacji) szanse na dostrzeżenie zdaje się mieć także „Raport“ („The Report“, reż. Scott Z. Burns), o tym jak niedobra jest CIA, i w ogóle amerykańskie władze.

No i kwestia najważniejsza: oczekiwanej ostatnio od Akademii wrażliwości rasowej. Tu kolejka jest długa. „Na noże“ nie tylko jest zgrabną błyskotką, lecz także niesie przesłanie: jedyna pozytywna bohaterka to latynoska gospośka, jej biali chlebodawcy to świnię, chciwcy i kłamcy. „Harriet“ (reż. Kasi Lemmons) to opowieść o emancypacji z czasów niewolnictwa, główna bohaterka wyzwala z oków

najpierw siebie, a potem pomaga uczynić to setkom innych. „Clemency“ (reż. Chinonyé Chukwu), dramat chwalony w Sundance, został tam nagrodzony, przy czym podkreślano, że Chukwu jest pierwszą czarną kobietą, która otrzymała U.S. Dramatic Grand Jury Prize. „Tylko sprawiedliwość“ („Just Mercy“, reż. Destin Daniel Cretton) to historia czarnoskórego prawnika walczącego o uwięzienie niesłusznie skazanego czarnoskórego więźnia. Ta wyliczanka nie ma na celu wykpienie wspomnianych filmów, bo przynoszą one wiele mocnych kreacji aktorskich. Zwłaszcza godni uwagi są Alfre Woodard w „Clemency“ i Michael B. Jordan w „Tylko sprawiedliwość“. Ale to nie ja rozpocząłem licytację na tematy równościowe, tylko napędzani ideologią samozwańczy nadzorcy Akademii Filmowej.

Gdy mowa o mniejszościach seksualnych, trudno wyobrazić sobie, by coś mogło zagrozić dostrzeżeniu przez oscarowe gremium „Rocketmana“ o Eltonie Johnie, i to będzie chyba najmocniejszy

akcent LGBT. No chyba że w kategorii najlepszy film nieanglojęzyczny lesbijski dramat „Portret kobiety w ogniu“ („Portrait de la jeune fille en feu“, reż. Céline Sciamma) wygra z faworyzowanym (i nagrodzonym Złotym Globem) filmem „Pasożyt“ („Parasite“).

BUNTOWNIK MOŻE ODEJŚĆ

Wszystko to źle wróży Martinowi Scorsese i jego „Irlandczykowi“ (moim zdaniem zdecydowanie najlepszemu filmowi roku) oraz Clintowi Eastwoodowi, którego „Richard Jewell“ zbiera dobre recenzje, choć jest atakowany za rzekomą mizoginię. Nawet kontrkulturowy Pedro Almodóvar musi się pogodzić z faktem, że jego autobiograficzne rozważania o kinie, wywiedzione z zapatrzenia w Felliniego, to dziś dzieło nadmiernie konserwatywne. Buntownikiem był kiedyś, teraz może odejść, skoro przyszły czas walenia jak cepem, równościowych parytetów i dopieszczenia mniejszości. Obym się mylił. Przekonamy się. Oscarowe nominacje zostaną ogłoszone w dniu, w którym ten numer „Do Rzeczy“ trafia do kiosków. A wręcz nie nagród – 9 lutego. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dom dla prominentów
sowieckiej władzy w Moskwie
FOT. ADOBE STOCK

Świadek Jurija Trifonowa



Krzysztof Masłoń

Dom Władzy w Moskwie był miejscem, w którym zajmowane mieszkanie odzwierciedlało pozycję w państwie. Te się zmieniały

Tytułowym bohaterem wielkiej trytomowej opowieści Yuri Slezkine'a, przyswojonej właśnie polskiemu czytelnikowi w edycji Państwowego Instytutu Wydawniczego, jest budynek, a właściwie kompleks mieszkalny zbudowany na przełomie trzeciej i czwartej dekady zeszłego wieku na brzegu rzeki Moskwy naprzeciwko Kremla, a nazwany Domem Władzy. Składał się z 11 bloków, w których w 1935 r. zameldowanych było 2655 osób.

Kim byli lokatorzy 505 całkowicie umeblowanych apartamentów? Komisarzami ludowymi i zastępcami komisarzy, generałami Armii Czerwonej i teoretykami marksizmu, urzędnikami kierującymi łagrami i zakładami produkcyjnymi, komunistami przybyłymi z zagranicy i socrealistycznymi pisarzami, „wybitnymi

stachanowcami z samym Stachanowem na czele – wylicza Slezkine – oraz innymi luminarzami systemu, takimi jak m.in. sekretarz Lenina i krewni Stalina”. Łatwiej zresztą wyliczyć, kto tam nie mieszkał, gdyż w różnym czasie Dom Władzy (nawiasem mówiąc, postawiony w dzielnicy zwanej Bagniskiem) zasiedlali tacy bolszewicki promieniści jak: Nikita Chruszczow i Michaił Kolcow, Feliks Kon i Anna Łarina-Bucharina, Osip Piatnicki i Paweł Postyszew, Karol Radek i Aleksiej Rykow, Aron Solc i Isaak Szapiro, Jefim Szczadienko i Walentin Trifonow. Syn tego ostatniego – Jurij Trifonow – spędził w Domu Władzy dzieciństwo, do którego będzie wracał po latach w swoich opowiadaniach i powieściach, także w najgłośniejszym „Domu nad rzeką Moskwą”, do których to utworów wielokrotnie odwołuje się w swojej książce Slezkine, poświęcając nawet sowieckiemu pisarzowi (1925–1981) finałowy rozdział tego dzieła i powiadając o nim, że z miejsca zamieszkania w młodości uczynił „tło relacji o dziejach bolszewickiej rodziny, pomnik utraconej wiary oraz skarb literatury światowej...”

Mieszkania w Domu Władzy były zróżnicowane, tak że na porządku dziennym były przeprowadzki z lokalu do lokalu, odzwierciedlające aktualną

pozycję mieszkańców na szczytach władzy. Przez pierwsze lata zameldowanie w tym miejscu stanowiło marzenie człowieka sowieckiego. Do czasu... Jeszcze w latach 30. i na początku 40. usunięto stamtąd 800 mieszkańców i nieznaną liczbę pracowników obsługi (w sumie pracowało tam od 600 do 800 osób: administratorów, dozorców, ogrodników, hydraulików, malarzy, praczek, kelnerów). Wiadomo o tym, że 344 byłych mieszkańców Domu Władzy zostało rozstrzelanych. Rozstrzelano także ojca Jurija Trifonowa, Walentina.

NAJGORSZY DZIEŃ W ŻYCIU

Walentin Andriejewicz Trifonow aresztowany został 21 czerwca 1937 r. Zarzucono mu utrzymywanie stosunków z wcześniej uwięzionym Iwrem Tenisowiczem Smulgą, łotewskim rewolucjonistą, zresztą sąsiadem Trifonowa z Domu Władzy. Oba pochłonię wielką czystką. Odnośnie do Trifonowa, to – jak czytamy u Slezkine'a – od 1932 r. w Głównym Komitecie Koncesji Zagranicznych zajmował się on... przygotowywaniem Związku Sowieckiego na możliwy atak z zagranicy: „Na krótko przed aresztowaniem wysłał swój najnowszy rękopis, »Zarysy nadchodzącej wojny«, do Stalina i kilku innych członków Biura Politycznego, lecz nie

■ otrzymał odpowiedzi. Jego syn Jurij nie miał wówczas jeszcze skończonych dwunastu lat. Niedługo wcześniej zdał egzaminy w piątej klasie i czytał »Hrabiego Monte Christo«...». A w dzienniku zapisał: „Dziś rano mama mnie obudziła i powiedziała:

– Wstawaj, Jura, muszę ci coś powiedzieć.

Przetarłem oczy. Tania podniosła się na swoim łóżku.

– Wczoraj w nocy stało się coś strasznego. Aresztowano tatę – powiedziała mama drżącym głosem i prawie się rozpłakała.

Byliśmy zupełnie oszołomieni.

Nie wątpię, że tatę wkrótce wypuszczą. Tata jest najuczciwszym człowiekiem na świecie.

To jest najgorszy dzień w moim życiu”.

O „najuczciwszym człowieku na świecie” co nieco dowiadujemy się od Jurija Drużnikowa, który w głośnym eseju „Los Trifonowa” pisał: „Historycy powinni jeszcze zbadać, co w rzeczywistości robił Walentin Trifonow. Wszak nie był po prostu jednym z twórców Armii Czerwonej. W 1917 roku organizował napady rabunkowe. To on dowodził bolszewikami, którzy wykonali skok na magazyn Związku Oficerskiego na Mojce, zdobyli 4000 karabinów i inną broń dla partii. Syn nazywał ojca palaczem gigantycznego paleniska. Spopielono w nim gospodarkę i kulturę, miliony istnień ludzkich, zniszczono kraj.

Walentin Trifonow był jednym z głównych oprawców. Najpierw był przewodniczącym Trybunału Wojennego Frontu Południowego. Później, w czasach, kiedy się umacniała pozycja Stalina, został przewodniczącym Kolegium Wojskowego w Sądzie Najwyższym ZSRS, które później miało i jego samego unicestwić. A ilu ludzi on wysłał do łagrów i na rozstrzelanie?

W domu pozostała część ojcowskiego archiwum. Część najważniejsza znajduje się oczywiście w archiwach państwowych: jeżeli nie zostanie zniszczona, być może poznamy bodaj ogólną liczbę ofiar tego stalinowskiego pachołka. Zmitologizowana nota w encyklopedii sowieckiej oparta została na artykule syna »S junosti na wsiu żyźń« (Z młodości na całe życie), o którym wstyd nawet wspominać. Ojciec, którego z wroga ludu przemieniono w bohatera partyjnego, pomógł synowi wejść do określonego kręgu proletariackiej elity. W prasie sławiono płomienych rewolucjonistów, a w samizdacie

czytaliśmy: »Mój ojciec zabił Michoelsa«. Trifonow na zamówienie Politizdatu pisze książkę o ojcu »Otblesk kostra« (Odblask ogniska). We wspomnieniach podkreśli jej »antystalinowską nutę«. Książka jest jednak całkowicie prosowiecka. Trifonow, sławiąc ojca-bohatera, umacniał swoją pozycję”.

NA CHRUSZCZOWOWSKĄ NUTĘ

Tymczasem Slezkine traktuje Jurija Trifonowa niczym chorążego nowych czasów, przedstawiciela pokolenia całkowicie odcinającego się od rewolucyjnych biografii swoich ojców. Kim jest autor „Domu Władzy”? Yuri Slezkine urodził się w 1956 r. w ZSRS. Studiował w Moskwie. Zanim wyemigrował do USA, pracował jako tłumacz języka portugalskiego w Mozambiku i Portugalii. Kieruje Instytutem Sławistyki Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Rozgłos przyniosła mu książka „Wiek Żydów”, w Polsce wydana w roku 2006. Sukces powtórzył „Domem Władzy” właśnie, który w Stanach Zjednoczonych ukazał się w 2017 r.

W książce tej podkreśla on, co jest nawet na swój sposób zrozumiałe, wysoką cenę, jaką przyszło zapłacić „starym” bolszewikom w latach jeżowszczyzny, a i potem też. Cóż, w podobny sposób postraktował stalinizm Nikita Siergiejewicz Chruszczow w swoim sławnym referacie na XX Zjeździe KPZR, w którym skrupulatnie wyliczał, ilu to wysoko postawionych komunistów skończyło z sowiecką kulą w głowie, i ani się nie zająknął o milionach bezpartyjnych ofiar bolszewizmu. Niestety, u Slezkine’a odnajduję tę samą nutę, choć rozumiem, że w centrum uwagi miał on ludzi zamieszkujących Dom Władzy, a w nim przypadkowych lokatorów nie było. Przynajmniej do lat wojny.

Wróćmy jednak do Jurija Trifonowa, któremu aresztowano ojca. 15 marca 1938 r. Walentin Trifonow został skazany „za udział w organizacji kontrrewolucyjnej” na karę śmierci. Wyrok wykonano tego samego dnia, a ledwie dwa tygodnie później NKWD-ziści wyprowadzili z mieszkania w Domu Władzy matkę Jurija, Jewgienię Trifonową z domu Lurie, która przesiedzi w łagrze osiem lat za to, że nie zadenuncjowała męża. Zwolniona zostanie w roku 1945, do Moskwy będzie mogła wrócić w roku następnym. Jurija i jego siostrę wychowa babka, stara komunistka, przyjaciółka Stalina Tatiana Aleksandrowna Lurie z domu Słowatinska. Z Domu

Władzy babkę z wnukami wyrzucono. 7 października 1939 r. Jurij Trifonow właśnie skończył 14 lat. Babka dożyje 1956 r., nie podniesie się już po rewelacjach Chruszczowa. Nie ona jedna. Główny cenzor ZSRS Borys Wolin wróci ze zjazdu „kompletnie zdruzgotany” i niebawem umrze, „nie odzyskawszy radości życia”. Pisarz Fadiejew zastrzelił się z rewolweru, inny literat Leonid Leonow „wpadł w głęboki duchowy szok” i stracił władzę nad mieniami lewej strony twarzy.

„W tym czasie Jurij Trifonow – pisze Slezkine – miał już dwadzieścia siedem lat. Ukończył szkołę w Taszkencie, w czasie wojny pracował w fabryce samolotów w Moskwie, ukończył Instytut Literacki, ożenił się, opublikował swoją pierwszą powieść w prowadzonym przez Aleksandra Twardowskiego miesięczniku »Nowyj Mir« i otrzymał Nagrodę Stalinowską III stopnia. Wiele lat później pisał: »Słyszałem, że Twardowski płakał na scenie kina Domu podczas zebrania żałobnego po śmierci Stalina. Łzy te były bez wątpienia szczere. Widziałem ten sam żal w mojej rodzinie. Moja matka, która przeszła przez obozy w Karagandzie i Akmolińsku, bała się, że będzie jeszcze gorzej. Babcia natomiast straszliwie rozpacziała«. Na babcinę półce honorowe miejsce zajmowała książka Stalina »O Leninie i leninizmie« z dedykacją »Drogi Towarzysze Słowatinskiej na pamiątkę wspólnej pracy w podziemiu, od autorak”.

Starzy bolszewicy, którzy pojawiają się na kartach powieści Jurija Trifonowa, „godzinami – czytamy – rozprawiają o przeszłości, ale nie pamiętają. Profesor Hańczuk z »Domu nad rzeką Moskwą« wspomina przeszłość nie częściej niż jego niedoszły zięć Wadim Glebow: »Nie wynikało to z tego, że zawodziła go pamięć, tylko z tego, że nie chciał pamiętać. Uznawał to za nudne«. Dziadek z »Zamiany« powiedział, że »wszystko to, co pozostało za sobą przez całe swoje niezmiernie długie życie, zupełnie go nie obchodzi«. A babcia Gorika ze »Zniknięcia« nigdy nie wspominała tego, co minione. Powiedziała pewnego razu coś, co niezwykle uderzyło Gorika: »Nie pamiętam już mojego prawdziwego imienia i nazwiska. I jest mi to obojętne«. Każde pokolenie jest ślepe na swój sposób i każde pogardza ślepotą innych pokoleń. Rodzice oskarżają dzieci o filisterstwo i burżuazyjny materializm; dzieci oskarżają rodziców o hipokryzję i arogancję. Jedni i drudzy mają rację, ale są w swojej ślepotcie niesprawiedliwi”.

Na Jurija Drużnikowa po tym, jak opublikował „Los Trifonowa”, posypały się gromy. Może i w szczegółach bywa on niesprawiedliwy dla autora „Domu nad rzeką Moskwą”, w pryncypiach jednak trudno zakwestionować jego ustalenia i opinie. Sięgnijmy do nich: „Dzieciństwo spędził Jurij Trifonow w najbardziej ekskluzywnym moskiewskim domu. Potrafił ukryć nazwisko ojca, wroga ludu, i dostać się na studia w elitarnym Instytucie Literackim. Jego pierwsza studencka książka uhonorowana została nagrodą stalinowską. W czasach, kiedy piętnowano kosmopolitów, Trifonow zgarniał zaszczyty.

Andriej Płatonow – nim umarł – zamiatał podwórce w Instytucie Literackim, a Trifonowa udekorowano połączoną blaszką z profilem wodza narodów. Zoszczenko i Achmatowa, przymierając z głodu, ponieważ ich nie wydawano, z dnia na dzień spodziewali się aresztowania, a Trifonow zasiadał w prezydiach, czekając na wyjście na mównicę i oklaski. Jego triumfy stanowiły tło aresztowań kosmopolitów.

Stalin został zdemaskowany. Stalinowscy autorzy popadli w niełaskę, ale nie Trifonow. Trwała walka ideologiczna. Kuzyn Trifonowa, Michał Diomin, poprosił na Zachodzie o azyl. Publikował artykuły antysowieckie, pracował w zachodnim radiu, ale Trifonowowi to nie zaszkodziło. Później zaszczytu na śmierć Pasternaka i Grossmana. Sołżenicyna wydano z kraju. Ludzie kultury szukali ratunku na Zachodzie. W tych podłych czasach Trifonow wydawał wszystko, co napisał”.

SOŁŻENICYN DO KRAJOWEGO UŻYTKU

A jak doszło do przyznania mu nagrody stalinowskiej? Jurij Trifonow tak wspominał: „Na posiedzeniu komitetu do spraw nagród Michał Bubiennow powiedział: »To syn wroga ludu«. »Czy książka jest dobra?« – spytał Stalin. »Dobra« – poparł swego studenta Fiedin. Przyznano (to znaczy przyznał Stalin) nagrodę trzeciego stopnia”. Trifonow był zdania, że Stalin przypomniał sobie jego ojca albo stryja Eugeniusza (zmarł na zawał serca pół roku po aresztowaniu brata) i że była to jego „ulubiona gra: dzieci całujące ręce, splamione krwią ich ojców”. Niewątpliwie ten pocałunek otworzył młodemu adeptom sztuki pisarskiej drzwi do kariery w sowieckim stylu.

Okazał się potrzebny. Mawiano o nim: „To Sołżenicyn do krajowego użytku”. „Reprezentował – powiada Drużnikow – dobrą literaturę w umiarkowanej lokalnej

odmianie. Trifonowa akceptowała górą. Pisał z talentem, ale zgrabnie omijał bolesne sprawy, nurtujące społeczeństwo. [...] Za pomyślność i powodzenie płacił zakłamaniami. »Rosja się bogaci... Trwa sprawdzian z dobrobytu« – pisał, kiedy się już wszystko waliło”.

Warto wziąć sobie do serca uwagi Jurija Drużnikowa i poczytać nie tylko prozę Trifonowa, lecz także artykuły jego krytyków: „To oni wyciągnęli za uszy pozytywne cechy jego bohaterów, a obecnie z takim samym zapałem podkreślają negatywne. W tamtych czasach krytycy dowodzili, że Trifonow tworzył świetlaną przyszłość, dzisiaj, że demaskował. On zaś preferował – jak to określił któryś z jego kolegów – homeopatyczną prawdę.

»Trifonowcy wszystkich krajów, łączcie się!« – zawałała pewna pani krytyk z czasów głośności podczas poświęconych Trifonowowi obrad sekcji Światowego Kongresu Sławistów, który odbył się w 1990 roku w Harrogate w Anglii. Idealizacja Trifonowa, wykraczająca poza rzeczywistość »czas i miejsce«, istnieje również w zachodniej sławistyce”. Istotnie, tak właśnie jest.

MIASTO W MIEŚCIE

A jak się właściwie żyło w Domu Władzy? Inaczej niż gdzie indziej. Było to miasto w mieście. Miało swoją kawiarnię i salon fryzjerski, przychodnię lekarską i przedszkole, pocztę i bank, salę gimnastyczną i bibliotekę, kort tenisowy i pracownię malarską, Bóg raczy wiedzieć co jeszcze, a w każdym z trzech połączonych ze sobą podworców była w niebo fontanna. Nad wszystkim czuwał oko Wielkiego Brata: „Glebow niechętnie odwiedzał kolegów mieszkających w wielkim domu – pisał Jurij Trifonow w »Domu nad Moskwą« – nie tyle może niechętnie, szedł tam bowiem z ochotą, ile z pewną obawą, ponieważ za każdym razem dyżurni przy windach przyglądali mu się podejrzliwie i pytali: »A ty do kogo?«. Musiał wymieniać nazwisko, numer mieszkania, czasami dyżurny dzwonił do mieszkania i sprawdzał, czy rzeczywiście gospodarze oczekują odwiedzin kogoś tego a tego nazwiska. Bardzo było nieprzyjemnie tak stać i czekać, zanim sprawdzi. Dyżurny, rozmawiając przez telefon, toczył dokoła bystrym i nieprzystępnym spojrzeniem, jakby się

obawiał, że Glebow da susa do windy i bez pozwolenia pojedzie na górę. Glebow czuł się niemal jak przestępca złapany na gorącym uczynku. Poza tym nigdy nie było wiadomo, co odpowiedzą na górze: u Morsa była głucha gosposia, która mogła nic nie zrozumieć i nic nie wytłumaczyć, a u Chimiusa często podnosiła słuchawkę babka, piekielna starucha, która czujnie śledziła każdy krok wnuka. Pewnego razu powiedziała dyżurnemu: proszę nie wpuszczać Glebowa, bo Chimius jeszcze nie odrobił lekcji. Glebow nie doświadczył męki pytań i sprawdzania tylko wtedy, kiedy przychodził do Antoniego – mieszkańko Antoniego było na parterze i dyżurny przyglądał się jedynie surowo badawczym wzrokiem, jak ten dzwoni i jak otwierają mu drzwi. Glebow zauważył, że nawet chłopcy mieszkający w wielkim domu bali się trochę dyżurnych i starali się prześlizgnąć obok nich jak najszybciej”.

Powstanie Domu Władzy i Mauzoleum Lenina to była ledwie uwertura do czegoś naprawdę wielkiego – budowy Pałacu Rad. Miał to być, czytamy, „budynek kongresów państwowych, oficjalne miejsce pracy mieszkańców Domu Władzy i najwspanialszy gmach publiczny wszech czasów”. Po ustanowieniu „O budowie Pałacu Rad na placu soboru Chrystusa

Zbawiciela i zburzeniu tego ostatniego” wydano 13 lipca 1931 r. Sobór wysadzono w powietrze 5 grudnia tegoż roku (odbudowany został w roku 2000). Pałac Rad z planowanymi salami obrad na 15 i 5 tys. osób, najwyższa budowla ówczesnego świata (416 m), zwieńczony stumetrową statua Lenina widoczną z odległości 70 km od Moskwy nigdy nie powstał.

A co dziś się dzieje w byłym Domu Centralnego Komitetu Wykonawczego i Rady Komisarzy Ludowych, nieoficjalnie zwanym Domem Władzy? Nic wielkiego, został odnowiony i zasiedlony przez nowych lokatorów, prywatnych właścicieli. Jak dawniej, w tym samym miejscu są tu teatr (z salą na 1,3 tys. widzów), kino (1,5 tys. miejsc) i sklep spożywczy. W jednym z apartamentów mieści się muzeum (jego dyrektorką była wdowa po Juriju Trifonowie – Olga), a plac przed budynkiem po dawnemu nazywa się Błotny.



YURI SLEZKINE
„DOM WŁADZY,
OPOWIEŚĆ
O ROSYJSKIEJ
REWOLUCJI.
TOM 1-3”
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY
2019



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Strasz i podniecaj!

Praca za seks, demonstracyjne wychodzenie ze studia telewizyjnego z torebką i wielka polityka jako parawan dla małych świnstewek. Polskiego widza niczym ten film nie zaskoczy. Nawet to, że moda na nagrywanie prywatnych rozmów dotrze w końcu do Ameryki, można było przewidzieć.

Ludzie Hollywood flekują konserwatywne dziennikarstwo, a dokładniej jego okręt flagowy – stację Fox News. Obrywa też oczywiście Donald Trump. A wszystko to pod hasłem walki z uprzedmiotowieniem kobiet. Realizm nie jest jednak mocną stroną „Gorącego tematu”. Skandal z molestowaniem podwładnych wydarzył się naprawdę, lecz scenariusz sprawia wrażenie napisanego pod dyktando prawników Murdocha i poszkodowanych pań.

Czarny charakter, czyli zarządzający stacją Roger Ailes, przypomina trochę Hitchcocka, który dręczył swoje aktorki, a ulubionym składał sprośne propozycje. Oba grubasków sprawiedliwy Pan Bóg obdarzył talentem, lecz poskąpił im charakteru. Ailes, guru nowoczesnej telewizji, ma prostą receptę na oglądalność: „Strasz i podniecaj!”. Od pracowników pokazujących się przed kamerami oczekuje napastliwości i kusych kiecek. Wytrawny manipulator i paranoik, od niechcenia rzuca sentencje typu: „Żony nie można zgwałcić” i ślini się na widok niewiast, które mogłyby być jego wnuczkami.

No cóż, kolejny to przypadek, gdy drogowskaz sam idzie w przeciwnym kierunku. Gorzej, że ekranowi adwersarze oblesnego nadredaktora są ulepiani z podobnej gliny. Z trzech blondynek, które doprowadzą do upadku

potwora, żadna nie przypomina Erin Brockovich. W „Gorącym temacie” dużo się mówi o kobiecej solidarności, a naprawdę chodzi tylko o karierę i kasę. Zamiast moralnej rewolucji każe się nam podziwiać prywatną, wykalkulowaną na zimno wendetę, spuentowaną żądaniem wielomilionowego odszkodowania.

Informację, że w telewizji panuje ostra rywalizacja i niełatwo się tam wybić, trudno nazwać newsem. Jedna z bohaterek samą siebie nazywa „medialną suką” i nie brzmi to jak autokrytyka. Szczytem męstwa jest tu obalenie tabu, jakoby płci pięknej nie wypadało pozwać szefa. Mamy więc kolejny sukces feminizmu, choć połowiczny, skoro nie udało się zatrzymać marszu ewidentnego seksisty po prezydenturę. Nic to, drżycie korporacyjni macho, idziemy po was!

Szczerze mówiąc, trochę się wynudziłem. 108 minut oglądania akwarium z wygłodniałymi piraniami w oczekiwaniu, aż młode rybki zagryzą najstarszą, to aż nadto. Na szczęście w przyrodzie panuje równowaga: aktorsko Lithgow zjada na śniadanie trzy osaczające go mścicielki. ©©



★★★★★
REŻ. JAY ROACH
„GORĄCY TEMAT”
(„BOMBSHELL”)
USA 2019

wyst. Nicole
Kidman,
Charlize Theron,
Margot Robbie,
John Lithgow



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „DR DOLITTLE”

Po klasycznej (nagrodzonej dwoma Oscarami) wersji Richarda Fleischera z 1963 r. i po występach Eddiego Murphy’ego w roli tytułowej (dwa razy) przyszła kolej na nową ekranizację. Tym razem doktora Dolittle gra Robert Downey jr. Z oryginalnymi powieściami Hugh Loftinga film ma niewiele wspólnego, choć luźno oparty jest na książce „Podróże doktora Dolittle”. Za reżyserię odpowiada Stephen Gaghan, twórca m.in. filmów „Syriana” i „Gold”. ©©

Piotr Gociek
• reż. Stephen Gaghan „Dr Dolittle” („Dolittle”), USA 2020, wyst. Robert Downey jr, Tom Holland, Ralph Fiennes

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- reż. Władysław Pasikowski „Psy 3. W imię zasad”, Polska 2020
- reż. Emma Tammi „Demony prerii” („The Wind”), USA 2019
- reż. Christian Rytenius „Miś Bamse i super miód” („Bamse och dunderklockan”), Szwecja 2018

Nie ma ucieczki, Elia

Wszędzie dobrze, byle nie w domu? Jakiś czas temu recenzowałem na tych łamach film o izraelskim młodzieńcu, który nabrał takiej abominacji do ojczyzny, że czmychnął do Paryża w nadziei, że tam szybko sfrancuzieje. Jak się okazuje, podobne postawy można też spotkać po drugiej stronie barykady. Palestyńczyk Elia, człek siwy, więc już przez życie doświadczony, też czuje się coraz bardziej obco na ziemi, zwanej niegdyś obiecana. W Nazarecie nawet podanie kurczaka w białym winie może się okazać kamieniem obraży.

Bohater wsiada do samolotu, by zostać „obywatелем świata”. Poczucie absurdu wcale go jednak nie opuszcza. Reszta ludzkości

zachowuje się bowiem jeszcze bardziej dziwnie niż jego rodacy. Reżyser, który gra tutaj samego siebie, jest świadkiem różnych absurdalnych sytuacji. Rzadko się odzywa (przemówi dopiero w 69. minucie filmu), robi tylko wymowne miny, unosząc brwi częściej niż śp. Roger Moore w roli Świętego.



★★★★★

REŻ. ELIA SULEIMAN
„TAM GDZIE MUSI BYĆ NIEBO”
(„IT MUST BE HEAVEN”)
FRANCJA/
KANADA/NIEMCY/
TURCJA/
PALESTYNA/KATAR

wyst. Elia Suleiman,
 Tarik Kopty,
 Ali Suliman

Od skonfundowanego producenta słyszy, że jego projekt jest „za mało palestyński” (w domyśle „zbyt apolityczny”). Inny życzliwy reklamuje przybysza jako autora komedii o pokoju na Bliskim Wschodzie. Obaj błędzą. W filmie pada pytanie: „Czy Palestyna będzie?” i na koniec nawet doczekamy się czegoś w rodzaju odpowiedzi. ©©

Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LUCCIANO NA WYSOKIM C

Wielki tenor oraz jego żony, kochanki, córki, promotorzy i artystyczni wspólnicy, od Plácido Domingo i José Carrerasa do Bono. Ron Howard, reżyser „Pięknego umysłu”, składa swą opowieść o Pavarottim z fascynujących materiałów archiwalnych (ciekawe są zwłaszcza te z dzieciństwa i wczesnych etapów kariery) oraz wspomnień tych, którzy mistrzowi byli przychylni. Miejscami więc film przypomina rocznicową laurkę, na szczęście sam Pavarotti okazuje się postacią nie tylko ciepłą i utalentowaną, lecz także nieco bardziej skomplikowaną, zwłaszcza pod koniec życia, gdy Włosi nie mogli mu wybaczyć nowego małżeństwa, fani opery tego, że występuje z gwiazdami pop, a córki tenora z pierwszego związku, że ojciec na nową macochę wybrał dziewczynę od nich młodszą. Inne sprawy drażliwe Howard ominął – kłopoty z płaceniem podatków, spór o testament. Miała to być przede wszystkim opowieść o artyście, wsparta materiałami z archiwum rodzinnego. I tak się stało.



dokumentalny, dyst. Best Film

★★★★★

REŻ. RON HOWARD
„PAVARTOTTI”
USA 2019

ZJEMY WAS ZA KARĘ

Umarli wstali z grobów. Ciągnie ich do tego, co lubili za życia. Mamroczą więc „Wi-Fi”, „cukierki”, „kawa”, „char-donnay”. I pożerają żywych. Dobra wiadomość: giną, gdy stracą głowę. Zła: jest ich za dużo, o czym przekonują się policjanci z Centerville, grani przez trio Bill Murray, Adam Driver i Chloë Sevigny. Świat stanął na głowie, bo wstrętni biznesmeni, szukając paliw, dokonali „szczelinowania polarnego”. Film Jima Jarmuscha nie jest horrorem, a jako komedia sprawdza się umiarkowanie, za często jest nużący. W drugiej połowie zdarzają się chwile piękne, choćby nocna przejażdżka radiowozem. Przede wszystkim mamy jednak do czynienia z krytyką materializmu i kapitalizmu, acz morał wyłożony jest topornie, jakby pochodził ze szkolnego wypracowania Greta Thunberg. Bronią się aktorzy. Oglądanie Drivera i Murraya jest czystą przyjemnością, podobnie jak każda scena z udziałem Tildy Swinton. ©©



wyst. Adam Driver, Bill Murray, Tilda Swinton,
 dyst. Filmstrada

★★★★★

REŻ. JIM JARMUSCH
„TRUPOSZE NIE UMIERAJĄ”
(„DEAD DON'T DIE”)
USA 2019

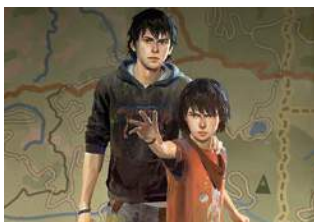
recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „LIFE IS STRANGE 2”

Chociaż gatunek gier przygodowych nie przypomina swoją popularnością lat 90., to jedna z jego nisz – ta skupiona na dylematach moralnych stojących przed bohaterami – ma się zaskakująco nieźle. „Life is Strange 2” kontynuuje trend z ciepło przyjętej pierwszej części, który bardziej niż do

eksploatacji świata i rozwiązywania zagadek zmusza gracza do „wejścia w buty” protagonistów. Tym razem są to dwaj bracia – Sean Diaz i Daniel – którzy ze względu na tragiczny wypadek oraz śmierć dwóch osób (w tym ojca) muszą uciekać z rodzinnego Seattle aż do Meksyku. W tle: zwroty

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



akcji, tajemnicze moce i egzystencjalne rozterki. ©© **Marcin Makowski**

★★★★★

- **Gatunek:** Przygodowa
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Dontnod Entertainment/Cenega
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Jaka tam awangarda

To już trzynasty tom wielkiej opowieści prof. Nicieja o naszym dziedzictwie kresowym. Tym razem autor zaprosił nas na kresy północno-wschodnie, do Grodna i okolic: Wołczyna, Starych Wasiliszek, Żołudka, Mostów, Druskiennik. Każda z tych nazw nasuwa natychmiastowe skojarzenia: a to z Orzeszkową, to znów z królem Stanisławem Augustem Poniatowskim, Czetwertyńskimi, Piłsudskim, a i... Czesławem Niemenem.

I właśnie rozdział o Starych Wasiliszkach, gdzie nasz znakomity piosenkarz, muzyk, kompozytor urodził się i spędził dzieciństwo oraz wczesną młodość, należy, z wielu powodów, do najciekawszych w tej książce, którą zresztą w całości czyta się jednym tchem. Jeśli zaś chodzi o Stare Wasiliszki, to mieszka dziś w nich... 30 osób. Jednak nad tą wyludnioną wieś wciąż wznosi się dumna wieża neogotyckiego kościoła z 1900 r., w którym Czesław Wydrzycki (tak się naprawdę nazywał) śpiewał w chórze i grał na organach. A kiedy po „Bema pamięci żałobnym rapsodzie” krytycy uznali kompozycję za szczyt awangardy rockowej, Niemen tak to komentował: „Jaka tam awangarda. Dostałem wiersz Norwida od Wojtka Młynarskiego. Wróciłem do domu i przypomniałem sobie ceremonie pogrzebowe z moich kresowych regionów. Siadłem do organów i odleciałem w smętne, acz piękne rejony... to nie awangarda rockowa, tylko Wasiliszki”.

To była polska wieś, zasiedlona prawie wyłącznie przez Polaków, w przeciwieństwie do sąsiednich wiosek, w których przeważała ludność białoruska, a i żydowskiej nie brakowało. Po repatriacjach Polaków ślady polskości tam wymazywano,



FOT. DAREK DELMANNICZ/PAP

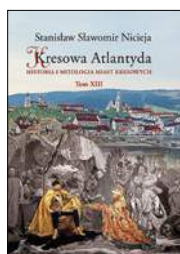
do czasu jednak, gdyż w 2011 r. otwarto w Starych Wasiliszkach Muzeum Czesława Niemena i odtąd przyjeżdżają tam turyści. W 2018 r. muzeum odwiedziło 7 tys. osób.

Przy okazji autor „Kresowej Atlantydy” przypomina nazwiska innych znanych rodaków, którzy po 1956 r., na mocy umowy wymuszonej przez Gomułkę u Chruszczowa, wrócili do Polski. A w sumie było ich aż 245 tys., w tym ponad 100 tys. z Białorusi, 76 tys. z Ukrainy, 46 tys. z Litwy i ponad 20 tys. z Rosji. „Można to porównywać – pisze Stanisław S. Nicieja – z wyprowadzeniem w roku 1942 przez gen. Władysława Andersa ok. 114 tys. Polaków ze stalinowskiej Rosji. Wtedy Anders, za co mu wieczysta chwała, uratował tych ludzi częstokroć przed śmiercią i zagładą. Gdyby Gomułka w 1956 r. nie miał tej siły, chęci i determinacji, Polacy w takiej liczbie nie mogliby przekroczyć granicy na Bugu i otrzymać polskiego obywatelstwa. Lokalne władze białoruskie i ukraińskie ostro blokowały ten postulat, obawiając się wyludnienia obszarów przygranicznych i emigracji głównie fachowców.

Godny pamięci jest fakt, że ówczesna Polska potrafiła przyjąć taką rzeszę przesiedleńców (ćwierć miliona osób), mimo że warunki materialne i mieszkaniowe w kraju były dalekie od ideału. Polska podnosiła się wtedy z kompletnej ruiny. Największe miasta polskie, jak choćby Warszawa, Wrocław czy Gdańsk, były po wojnie pogorzeliškami. Po 1989 r. Polska nie potrafiła wykonać takiego gestu choćby wobec Polaków, którzy chcieli wrócić z Kazachstanu. Niemcy Helmuta Kohla były zdolne przyjąć ogromną rzeszę Niemców m.in. nadwołżańskich”.

Pisząc o Gomułce, prof. Nicieja w wychwalaniu go nieco się jednak rozpedził. Ten niewątpliwie szczerzy polski patriota był, również niewątpliwie, zatwardziałym komunistą. A na „wieczne potępienie” skazany został nie tylko za wydarzenia marcowe w 1968 r., lecz przede wszystkim za grudzień roku 1970. Autor wylicza też istotnie wspaniałe osiągnięcia polskiej kultury, które miały miejsce w okresie Gomułkowskim. Pytanie jednak: Czy w muzyce, plastyce, teatrze działo się tak dobrze dzięki temu, że towarzysz Wiesław był u władzy, czy może pomimo tego, że ją sprawował.

Awracając do wywołanego osobą Czesława Niemena niejako bigbitowego wątku 13 tomu „Kresowej Atlantydy”, odnotuję jeszcze bardzo interesujące wspomnienie poświęcone zmarłemu w 2014 r. Januszowi Kondratowiczowi, autorowi tekstów piosenek (m.in. „Biały krzyż”, „Zielone wzgórza nad Soliną”, „Krajobrazy”), pochodzącemu ze związanej z Grodnem rodziny, praprawnukowi... Władysława Syrokomli (pseudonim poetycki Ludwika Kondratowicza). W pogrzebie tego ostatniego na wileńskiej Rosie uczestniczyło kilkanaście tysięcy osób. ©©



★★★★★
**STANISŁAW
SŁAWOMIR NICIEJA**
„KRESOWA
ATLANTYDA.
HISTORIA
I MITOLOGIA MIAST
KRESOWYCH”,
TOM XIII
WYDAWNICTWO
MS 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Jak Żyd z Polakiem

Andrzej Pilipiuk wie coś, czego inni popularni autorzy pisanej rozrywki nie wiedzą: jak mikсовать w swoich opowieściach przygodę i historię, fantazję i edukację. Pytany kiedyś na spotkaniu w czasie warszawskiego Comic Conu, czy literaturze popularnej nie szkodzi nadmiar researchu, którym czasem podzielić się chcą autorzy, klarował, że gdy podczas swych poszukiwań odkryje coś ciekawego, jest wręcz dumny z tego, że może się tym z czytelnikiem podzielić. I nie widzi powodu, by było inaczej.

W zawierającym cztery nowele zbiorze „Przyjaciel człowieka” prowadzi nas w ponurą przyszłość, w której niewielkie społeczności żyjące na polskich terenach bronią się przed islamską inwazją (tekst tytułowy), a przygodę rozpoczną na bazarze Różyckiego kończy na dalekiej greckiej wyspie, dodając do tego motywy z mitologii („Inne możliwości”). W dwóch opowiadaniach

– pierwszym oraz ostatnim – pojawia się dr Paweł Skórzewski, jeden z ulubionych bohaterów Pilipiuka (i czytelników).

Szpecially zamierzający tom tekst „My, bohaterowie...” wart jest uwagi.

Sędziwy, 90-letni Skórzewski ukrywa się podczas drugiej wojny światowej w neutralnej Szwecji. Tam odnajduje

go wysłannik Armii Krajowej, który pragnie poznać prawdę o pewnej niemieckiej ekspedycji naukowej, w której brał udział także polski lekarz epidemiolog. Fantastyki w tym tekście właściwie brak, jest za to przyjaźń dwóch towarzyszy niedoli, bo obok Skórzewskiego Niemcy zmusili do wyprawy także wyciągniętego z Dachau żydowskiego lekarza Weisbauma.

Ten ostatni chciał przed Hitlerem umknąć na Zachód, lecz nie zdołał. „Prawie nikt nas nie przyjmował. Polska była jedynym chlubnym wyjątkiem” – opowie Skórzewskiemu. Doktor Paweł zaś, medytując nad wojennymi dziejami, nie będzie miał wątpliwości, że Niemcy „przegrają tę wojnę, bo muszą ją przegrać. Na ich drodze stanęły narody, które czniają na jakikolwiek Ordnung. Których bronią jest chaos. Ludy, z którymi Niemcy kompletnie nie umieją walczyć, bo ich przedstawiciele robią rzeczy,

jakie się nie mieszczą w ciasnej niemieckiej wyobraźni”. I będzie w duchu wylizwał: Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Rosjanie, Cyganie. To jeszcze jedna cecha, dzięki której Pilipiuk może liczyć na rzeszę czytelników. Nie uprawia pedagogiki wstydu, szuka okazji do dumy, a w każdym, nawet najczarniejszym scenariuszu, znajduje isierki optymizmu. ©©



★★★★★
ANDRZEJ PILIPIUK
„PRZYJACIEL CZŁOWIEKA”
FABRYKA SŁÓW
2020

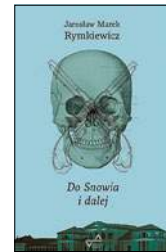
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Pierwsza w Polsce książka zmarłego przedwcześnie (1997) pisarza, uwielbianego szczególnie przez pokolenia czytelników dorastające po masakrze na pl. Tiananmen. Proza błyskotliwa i nietuzinkowa.



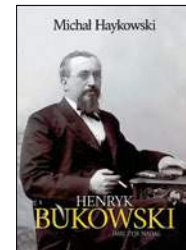
WANG XIAOBO
„MIŁOŚĆ W CZASACH REWOLUCJI”
PIW

Wznowienie czwartego tomu cyklu „Jak bajeczne żurawie” poświęconego „niekończącej się opowieści o czasach i życiu Adama Mickiewicza” – jak pisał sam autor. Ta seria to bez wątpienia magnum opus Rymkiewicza.



JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ
„DO SNOWIA I DALEJ”
EVVIVA L'ARTE

Powstaniec styczniowy, emigrant, sztokholmski antykwariusz, polski patriota, ale i współzałożyciel Muzeum Nordyckiego, przyjaciel muzeum w Rapperswilu. Pięknie ilustrowana biografia zapomnianego bohatera.



MICHAŁ HAYKOWSKI
„HENRYK BUKOWSKI. IMIĘ ŻYJE NADAL”
POLONIKA

Biografia Mirosława Kłosego, słynnego napastnika reprezentacji Niemiec urodzonego w Polsce. Szczególnie ciekawe są fragmenty poświęcone dzieciństwu: dzieje rodziny, Ozimek, stan wojenny, adaptacja w Niemczech. ©©



RONALD RENG
„MIRO”
ZYSK I S-KA

recenzje Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Andrzej Nowak**, „Dzieje Polski. Tom 4” (Biały Kruk) – fundamentalna praca krakowskiego historyka. Tom „Trudny złoty wiek” obejmuje lata 1468–1572.
2. **Wojciech Sumliński, Ewa Kurek, Tomasz Budzyński**, „Powrót do jedwabnego” (WS Reporter) – rzecz o kulisach „przedsiębiorstwa Holocaustu”.
3. **Wincenty Łaszewski**, „Duchowa misja Polski” (Frona) – jaką rolę zwiastują nam prorocтва i wizje, opisuje autor m.in. „Fatimy. Stuletniej tajemnicy”.
4. **Grzegorz Braun**, „System. Od Lenina do Putina” (Frona) – wywiad rzeka ze znanym reżyserem, dziś posłem Konfederacji (rozmawia Rafał Otoka-Frąckiewicz).
5. **Joanna Łęnyk-Barszcz**, „Tajemnice dzieł sztuki” (Frona) – ukryty język Matejki, Drzwi Gnieźnieńskie, tajemnice Rafała, Leonarda, Michała Anioła.
(Najchętniej kupowane tytuły w księgarni XLM.pl)

Joey Batey (na drugim planie)
śpiewa i gra w folkowej kapeli
The Amazing Devil FOT. PETER CLARK



Grosza **daj wiedźminowi**

Przez kilka dni po premierze Netlixowy „Wiedźmin” był najczęściej oglądanym na świecie seriałem dostępnym w serwisach streamingowych, Andrzej Sapkowski w rankingu najpopularniejszych pisarzy Amazona wyprzedził (pewnie chwilowo, ale jednak!) m.in. Stephena Kinga czy J.K. Rowling, a jego „Ostatnie życzenie”

otwierające wiedźmiński cykl otarło się o podium listy best-sellerów „New York Timesa”. Rozpędu nabiorą też kariery aktorskie i zapewne jedna muzyczna.

Życ własnym życiem zaczęła bowiem ballada „Toss a Coin to Your Witcher” („Grosza daj wiedźminowi”), wyśpiewana w drugim odcinku serialu

przez Jaskra – barda, najbliższego kompana wiedźmina Geralta. Setki tysięcy wyświetleń osiągnął nie tylko oryginał, lecz także kilka innych wersji językowych (np. japońska, czeska), powstał nawet metalowy cover. Polscy fani mobilizują się w sieci, by doprowadzić do zaproszenia Jaskra, to znaczy grającego go w serialu Joeya

Bateya, ale z repertuarem Jaskra, na festiwal Open'er 2020 do Gdyni. I może tylko to, że na Facebooku wydarzenie „Jaskier at Open'er 2020” zainteresowało ponad 80 tys. osób nie dawałoby nadziei, ale już po wypowiedzi Tomasza Bagińskiego, producenta wykonawczego serialu, fani sporo sobie obiecują. „Dlaczego nie? Zobaczmy, trzeba zagadać z Joeyem i może da się to zorganizować” – powiedział Bagiński w telewizji w Polsce.pl.

Przypominając przy okazji, że Joey Batey to nie tylko aktor, lecz także muzyk. 27-letni Brytyjczyk irlandzkiego pochodzenia występuje w folkowej kapeli The Amazing Devil. Jest wokalistą, gra na gitarze, pianinie oraz – niczym Jaskier – na lutni. I właśnie nagrywa ze swoim zespołem drugi album (debiutancki „Love Run” wydali w 2016 r.). Prędkiej czy później do Polski na koncert przyjedzie. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOWICZ

NA SŁUCH

Nie taka **krucha gałązka**

Wedle światowej prasy jest to jedna z najlepszych płyt ubiegłego roku. Niewątpliwie Tahliah Barnett, 32-letnia Brytyjka o jamajskich korzeniach, jest jedną z najciekawszych, a zarazem niejednoznacznych postaci dzisiejszej sceny muzycznej.

Piosenkarka, autorka tekstów, producentka, tancerka, reżyserka. Jej utwory rozciągają się od elektronicznego popu przez futurystyczny R&B i trip hop do muzyki chóralnej, industrialnej, a nawet awangardowej. U podstaw tej mieszanki stylów jest zwodniczo delikatny, wielokładowy głos, którym FKA Twigs (Gałązki) tworzy emocjonalne symfonie.

Brytyjka przeszła poważną operację i boleśnie zakończyła

długoletni związek. Wydarzenia te stały się dla niej impulsem do stworzenia kompozycji inspirowanych postacią Marii Magdaleny. Dla Barnett nawrócona grzesznica symbolizuje zmysłowe i uzdrawiające moce kobiety oraz heroiczną potrzebę niezależności. W pogoni za pięknem i prawdą Barnett przebywa w poszczególnych utworach ciernistą drogę wypełnioną odrzuceniami i upokorzeniami. W warstwie muzycznej jej udręczony sopran zderza się z metalicznymi brzmieniami, które tonizują bałkańskie melodie ludowe.

Jako całość jest to płyta odkrywczą, ale niełatwą w odbiorze. Dla tych, którzy mają nadzieję, że nie wszystko jeszcze w muzyce zagrano. ©©



★★★★★
JELONEK
„CLASSICAL
MASSACRE”
MYSTIC

Michał Jelonek masakruje hity polskiej (Chopin, Bacewicz, Moniuszko, Paderewski) i światowej (Vivaldi, Rossini) klasyki. Skrzypce lidera wspomagane przez heavy gitary robią jednak wiele hałasu o nic. Arię Skołuby ze „Straszego dworu” wykonuje Piotr Fronczewski.



★★★★★
JON SAVAGE
„1966 ROK, W KTÓRYM
EKSPLODOWAŁA
DEKADA”
KRYTYKA POLITYCZNA

Dwanaście przebojów z wyjątkowego roku stanowi pretekst dla brytyjskiego autora do przedstawienia szerokiej panoramy społeczno-kulturalnej powojennej rzeczywistości. Swingujący Londyn, bomba atomowa, narkotyki, pop-art, ruchy obywatelskie, moda... ©©



★★★★★
FKA TWIGS
„MAGDALENE”
YOUNG TURKS

PRESTIGE MJM PREZENTUJE
22 sierpnia 2020

PGE NARODOWY, WARSZAWA

ANDREA
BOCELLI

THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR

BILETY:
PRESTIGEMJM.COM

www.andreabocelli.com



Od każdego biletu 4 zł na Fundację Andrei Bocelli

Prestige
MJM

PGE
NARODOWY

REGENT
WARSAW HOTEL

Radio
złote przeboje



wprost

EXCZY

MONTEGO

PANI

Cuda

VIVA!

nesz

Party

URODA

onet

HELIOS

pap

VIXION

Chro Channel

SPRZĘT

FERIE Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu



posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu

- dwa badania lekarskie
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seansy w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie: **12.01 - 23.02.2020 r.**

W ofercie również **POBYTY WYPOCZYNKOWE**



KLINIKA UZDROWISKOWA®
„Pod Tężniami”
im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. **54 416 70 00**

Niemiecka Droga Synodalna



W spotkaniu, po którym homoseksualizm ogłoszono „normalnym”, udział wziął m.in. wiceszef niemieckiego episkopatu Franz-Josef Bode FOT. FRISO GENTSCH/DPA/AP/EAST NEWS



Paweł Chmielewski

Konferencja Episkopatu Niemiec uznała homoseksualizm za normalny, a jej przewodniczący poparł wprowadzenie błogosławieństw związków jedнопłciowych. A to dopiero początek procesu, który w ciągu dwóch lat ma doprowadzić do głębokiej protestantyzacji Kościoła katolickiego w Niemczech

Na początku grudnia 2019 r. w Berlinie odbyły się kilkudniowe konsultacje biskupów, teologów i naukowców poświęcone problemowi homoseksualizmu. Ze strony Konferencji Episkopatu Niemiec wzięli w nich udział: abp Berlina Heiner Koch, wiceszef episkopatu Franz-Josef Bode z Osnabrück, biskupi Wolfgang Ipolt z Görlitz i Peter Kohlgraf z Moguncji oraz kilku biskupów pomocniczych. Po spotkaniu hierarchowie wydali oświadczenie, w którym jednogłośnie uznali hetero- i homoseksualizm za dwie równoważne drogi rozwoju ludzkiej seksualności. Skłonności do osób tej samej płci określono jako „normalne”. W ten sposób biskupi zaprzeczyli nauczaniu Katechizmu Kościoła katolickiego z 1992 r., który skłonności te uznaje za „obiektywnie nieuporządkowane” (KKK 2358). Tuż przed świętami Bożego Narodzenia praktyczne konsekwencje z tego stanowiska wyciągnął przewodniczący episkopatu, arcybiskup Monachium kard. Reinhard Marx. W wywiadzie udzielonym portalowi Stern.de stwierdził, że pary homoseksualne mogą otrzymywać kościelne błogosławieństwo. On i bp Bode mówili o tym już rok wcześniej, ale wówczas tylko hipotetycznie. Teraz postanowiono zagrać w otwarte karty.

Berlińskie konsultacje, które stały się podstawą deklaracji Marxa, były częścią tzw. Drogi Synodalnej. To nieformalny synod, wspólne przedsięwzięcie episkopatu oraz Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików (ZdK), organizacji świeckiej de facto współzrządzającej niemieckim katolicyzmem od ponad 100 lat. Drogę rozpoczęto 1 grudnia 2019 r. Potrwa dwa lata. Organizatorzy chcą doprowadzić do opracowania wielu uchwał, które dadzą podstawę do „reformowania” Kościoła w Niemczech.

Prace dotyczą czterech obszarów. To: podział władzy w Kościele; sposób

życia kapłanów (celibat); moralność seksualna; rola i nowe posługi kobiet. Każdym z tematów zajmuje się odrębne forum odpowiedzialne za przygotowanie końcowych uchwał. Pierwsze posiedzenie uczestników Drogi odbędzie się na przełomie stycznia i lutego 2020 r. W procesie kluczowe znaczenie ma organ nazwany Zgromadzeniem Synodalnym. W jego skład wchodzi 69 członków episkopatu, 69 przedstawicieli ZdK oraz kilkudziesięciu duchownych i świeckich z różnych zakonów, gremiów i organizacji. Pracami Drogi kieruje Prezydium Synodalne złożone z przedstawicieli episkopatu i ZdK. Decyzje Drogi nie będą mieć same z siebie żadnej mocy. Każdy biskup diecezjalny zdecyduje sam, czy chce je wcielać w życie w swojej diecezji.

Na Drogę Synodalną zgodził się papież Franciszek. W czerwcu 2019 r. Ojciec Święty wysłał list „Do pielgrzymującego Ludu Bożego w Niemczech”; prawdopodobnie jego głównym autorem był kard. Walter Kasper. W liście przestrzeżono Kościół niemiecki przed podejmowaniem decyzji, które naraziłyby na szwank jedność Kościoła, ale zarazem zachęcono biskupów i świeckich do dokonywania odważnych zmian. Jak wielkich?

PROGRAM MAKSYMUM

Program maksimum Drogi Synodalnej jest niezwykle radykalny. Został zaprezentowany w marcu 2019 r., podczas ogłaszania założeń całego procesu. Rzecz sprowadza się do kilku zasadniczych posunięć. Po pierwsze, znacznemu rozproszeniu ma ulec władza w Kościele. Świeccy mają w większej niż dotąd mierze kontrolować działania biskupów i silniej uczestniczyć w administrowaniu diecezjami. W parafiach to świeccy – w tym kobiety – mieliby otrzymywać tron władzy. Wiąże się z tym punkt drugi, czyli poważne przekształcenie roli i sposobu życia kapłana. Niemcy chcą wykorzystać Synod Amazoń-

ski do wprowadzenia prezbiteriatu żonatych. Świecenia kapłańskie otrzymywaliby po reformach diakoni stali – mający swoją pracę zawodową i rodzinę. W parafii odpowiedzialni przede wszystkim za udzielanie niektórych sakramentów (głównie Eucharystii, bo spowiedź w Niemczech praktycznie zanikła). Pomagaliby też świeckim w prowadzeniu działalności duszpasterskiej. Planuje się tu zwiększenie roli kobiet, stąd forum poświęcone nowym posługom pań. Niemcy chcieliby wprowadzić kapłaństwo kobiet. To wydaje się obecnie niemożliwe ze względu na stanowisko Watykanu. Stąd w ramach Drogi będą dążyć do wprowadzenia sakramentalnego diakonatu kobiet. Jeżeli także to napotka opór w Rzymie, to postarają się stworzyć nowe rodzaje posługi niesakramentalnej. Już dzisiaj w niektórych diecezjach krajów niemieckojęzycznych kobiety udzielają chrztu czy przewodniczą pogrzebom, choć ksiądz jest na miejscu. W Niemczech mówi się teraz o przekazaniu kobietom liturgii słowa, skoro liturgia ofiary miałaby pozostać zarezerwowana dla mężczyzn. Ostatnim punktem Drogi – w formalnej hierarchii trzecim – jest moralność seksualna. Ideałem reformatorów jest libertyńska etyka protestancka. W 2010 r. Ewangelicki Kościół Niemiec pozwolił pastorom i pastorkom mieszkać razem ze swoimi homoseksualnymi partnerami. W Kościele katolickim w Niemczech posługuje bardzo wielu homoseksualnych księży; w licznych diecezjach zupełnie oficjalnie odrzuca się watykańskie wytyczne zabraniające przyjmowania homoseksualistów do seminariów. Ostatecznym celem progresistów jest doprowadzenie do stanu takiego jak u protestantów: zniesienie obowiązku celibatu i zgoda na to, by niektórzy prezbiterzy żyli w formalnych cywilnych związkach homoseksualnych, kościelnie pobłogosławionych. Rewolta w moralności to nie tylko akceptacja homoseksualizmu, lecz także niektórych związków przed- i pozamałżeńskich, antykoncepcji czy masturbacji; proponuje się też rewizję rozumienia ludzkiej seksualności w duchu ideologii gender, ze zniesieniem ścisłego podziału na dwie płcie włącznie. Wszystkie te postulaty są opisane wprost na stronie internetowej DBK w dokumentach prezentujących założenia Drogi.

KRYZYS NADUŻYĆ SEKSUALNYCH

Opisane zmiany prezentowane są przez episkopat i ZdK jako remedium na

■ kryzys nadużyć seksualnych. W styczniu tego roku mija za Odrą od 10 lat wybuchu wielkiego skandalu molestowania nieletnich przez duchownych. Na początku 2010 r. rektor szkoły jezuickiej Canisius-Kolleg w Berlinie, ks. Klaus Mertes SJ, opublikował list, w którym opisał wiele znanych mu przypadków wykorzystywania dzieci i młodzieży w latach 70. i 80. XX stulecia. List zapoczątkował lawinę dalszych informacji o nadużyciach popełnianych w innych katolickich placówkach i instytucjach. Media okazały duże zainteresowanie tematem. Doprowadziło to do niemal dwukrotnego zwiększenia i tak już gigantycznej liczby apostazji (przed 2010 r. ok. 100 tys. rocznie). W odpowiedzi na kryzys episkopat i ZdK rozpoczęły tzw. Gesprächsprozess, trwającą pięć lat debatę nad krokami koniecznymi do zażegnania skutków kryzysu. Rozmawiano o klerykalizmie, udziale świeckich w administrowaniu diecezjami i parafiami, modelu życia kapłańskiego, roli kobiet, moralności seksualnej.

Proces zakończył się dwiema decyzjami. Po pierwsze, postanowiono zwołać w przyszłości jakiegoś rodzaju synod. Po drugie, rozpoczęto opracowanie precyzyjnego raportu na temat skali nadużyć seksualnych popełnianych przez duchownych. Jego opracowanie zlecono niezależnym badaczom z Mannheim, Heidelbergu i Giessen. Raport, znany jako MHG-Studie, został przez episkopat zaprezentowany opinii publicznej jesienią 2018 r. Naukowcy przebadali blisko 40 tys. akt duchownych. Ustalili, że w latach 1946–2014 ofiarą nadużyć padło co najmniej 3677 nieletnich skrzywdzonych przez 1670 sprawców, czyli 4,4 proc. wszystkich przebadanych księży i zakonników. Biskupi zaznaczyli, że to statystyki wciąż niedoskonałe, bo nie wszystkie przypadki nadużyć zostały zgłoszone. W raporcie wskazano też na kilka domniemych źródeł nadużyć. Wymieniono klerykalizm, celibat, katolicką naukę o homoseksualizmie oraz pozycję kobiet w Kościele. Dokładnie tymi tematami zajęła się Droga Synodalna, realizując zarazem decyzję Gesprächsprozess o zwołaniu synodu.

NEOMODERNIZM W NATARCIU

Sprawa nadużyć seksualnych jest oczywiście tylko wygodnym pretekstem do przeprowadzenia od dawna pożądanego przez progresistów zmian. Najlepiej obrazują to dwa duże wydarzenia z czasów, w których nikt nie mówił

jeszcze o problemie klerykalnej pedofilii. Pierwszym z nich jest Sobór Duszpasterski Niderlandzkiej Prowincji Kościelnej zorganizowany przez biskupów i świeckich w latach 1966–1970. Podobnie jak Droga Synodalna ów „sobór” był nieformalnym synodem, wolnym od kontroli Watykanu. Holendrzy podczas obrad zaproponowali wtedy zniesienie celibatu, wprowadzenie tymczasowego kapłaństwa oraz kapłaństwa żonatych i kobiet. Rzecz zakończyła się bez wyraźnych efektów, bo weto postawiła Stolica Apostolska. Podobnie jałowe były skutki Synodu Würzburskiego, zgromadzenia biskupów RFN obradującego w latach 1971–1975. Niemieccy progresiści proponowali wówczas w gruncie rzeczy to samo co dzisiaj, z mniejszym tylko naciskiem na problem homoseksualizmu. Debatowano wtedy też zażarcie o kwestii komunii dla rozwod-

**Niemcy swoją wiarę
po prostu zabijają;
my nie możemy czuć się
lepsi, patrząc, jak sama
umiera**

ników w nowych związkach (dziś to już sprawa nieaktualna, Niemcy w 2017 r. dopuścili takie osoby do Stołu Pańskiego, opierając się na adhortacji apostołskiej „Amoris laetitia” papieża Franciszka). Synod Würzburski przyjął wiele uchwał w formie specjalnych wotów skierowanych do Kurii Rzymskiej; większość z nich została jednak bez odpowiedzi – ani Paweł VI, ani Jan Paweł II nie byli gotowi zaakceptować tak rewolucyjnych postulatów. Zarówno holenderski „sobór”, jak i Synod Würzburski były prezentowane jako odpowiedź na reformy soboru Watykańskiego II; w istocie stanowiły próbę przeforsowania tego, co nazywa się „duchem” soboru, czyli niezapisanej w soborowych dokumentach radykalnej agendy grupy europejskich progresistów. Droga Synodalna, choć ukrywa się pod hasłami walki z kryzysem nadużyć seksualnych, jest po prostu kontynuacją długoletniej walki o wpuszczenie do Kościoła najsłabszych idei modernistycznych.

Zmiany w Kościele katolickim w Niemczech są poważnym wyzwaniem dla katolicyzmu w Polsce. Trudno

udawać, że wszystko może pozostać po staremu, gdy nasi sąsiedzi – jak dotąd za papieską zgodą – dokonują prawdziwego spustoszenia doktryny wiary i praktyki duszpasterskiej.

CZY POLSKA BĘDZIE INNA?

Już dziś w naszym kraju obserwujemy bardzo poważną falę ukrytej apostazji. Zwłaszcza młodzi masowo odwracają się od Kościoła. Według badania CBOS w roku 2018 tylko 63 proc. Polaków w wieku 18–19 lat deklarowało się jako osoby wierzące (z czego jedynie 8 proc. jako głęboko wierzące). 21 proc. uznawało się za niezdecydowanych, a 17 proc. – za niewierzących. Tyle teoria, bo praktyka była jeszcze gorsza: 35 proc. przebadanych w ogóle nie uczestniczyło w praktykach religijnych, a raz w tygodniu uczestniczyło jedynie 28 proc.!

Sytuację w radykalny sposób zaostrza zupełnie nieprzepracowany w Polsce skandal nadużyć seksualnych. Pilnego wyjaśnienia już od wielu lat domagają się sprawy ks. prałata Henryka Jankowskiego czy poznańskiego metropolity abp. Juliusza Paetza. Jak będzie wyglądać sytuacja polskiego katolicyzmu za dwie, trzy dekady, gdy w dorosłość wejdą dzieci dzisiejszej młodzieży? Jak Polacy będą reagować na kolejne skandale seksualne i finansowe, które ujawniać będą media, skoro sama hierarchia nie chce przykładać do tego ręki? Czy zwykli wierni będą w stanie odnaleźć się w Kościele papieża Franciszka, w którym – w zależności od kraju czy nawet diecezji – prawdy wiary wykładane są w zupełnie odmienny sposób? Poważna refleksja nad przyszłością katolicyzmu w Polsce to paląca konieczność, o ile nie chcemy stać się biernymi odbiorcami modernistycznych idei napływających do naszego kraju z zachodu Europy.

Niemcy swoją wiarę po prostu zabijają; my nie możemy czuć się lepsi, beczynn timer patrząc, jak sama umiera. Warto przyglądać się Drodze Synodalnej, bo tematy rozpalające katolików za Odrą prędzej czy później zainteresują także Polaków. Gdy debata nad reformami wkroczy także do naszego kraju, musimy być gotowi do obrony katolickiej doktryny. Chyba że nie przeszkadza nam wizja żonatego księdza udzielającego komunii i błogosławieństwa parze jednopłciowej w świetle kamer polskojęzycznych telewizji.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Odstępy od postępu

Lubię Holandię. Jesteśmy jednak trochę jak Kalifornia (oni) i Teksas (my). Oni uważają, że u nas panuje faszystowska dyktatura, my, że staruszków łapie się tam na ulicach i podaje eutanazji. Prawda jest nieco mniej złowieszcza i oba kraje nie są aż tak przerażające. Chociaż oczywiście może kiedyś się takie staną – każdy na swój sposób.

W Holandii, przepraszam – w Holandach, byłem ostatnio na sylwestra. I stamtąd obserwowałem zlorzeczenie polskich sił postępu na hołotę straszącą petardami zwierzęta. Z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że Holendrzy są absolutnie opętani ideą puszczenia fajerwerków. Zaskoczyło mnie to, bo wielka jest siła stereotypu i sądziłem, że w mekce liberalizmu (dość dziwna zbitka), takie kulturowe zaszłości nie występują. Tymczasem występują. I szczerze mówiąc – oni są kompletnie szaleni na punkcie ognia sztucznych. Mają świra.

Polskie puszczałstwo fajerwerków przy niderlandzkim to pikuś. Ratleriek przy dobermanie. Media są pełne krwistych relacji o katastrofach wywołanych przez szalonych Holendrów: spalone auta, ostrzelane fajerwerkami biura, poparzone członki, poszarpane ciała. W 2018 r. na sylwestrowe ogniki Holendrzy wydali 68 mln euro. W 2019 r. – przypuszczam – jeszcze więcej.

Jak się okazało, miejscowi postępowcy też walczą z fajerwerkami. Wzbudziło to moje zainteresowanie i posta-

wiłem sobie pytanie: Z czym walczą miejscowe Krystyny Jandy i Agnieszki Holland? Co takiego należy zmienić w Holendrach, żeby byli wystarczająco nowoczesni?

Pobieżny przegląd prasy wykazał, że na cenzurowanym są – oprócz prymitywów od ognia sztucznych – właściciele aut. Co prawda, na ulicach widać coraz więcej „elektryków”, ale są nieekologiczne warchoły, które jeżdżą po staremu. To w nich uderza krytyka. Ideologowie żądają, żeby naród przesiadł się na rowery, co zresztą nie jest oderwane od rzeczywistości. W Amsterdamie rowery są tak popularne, że... w centrum trudno je zaparkować. Miasto jest zavalone rowerami. Na wielu domach widać znaki ostrzegające, przed przypinaniem bicykli. A tu i ówdzie straszą mało estetyczne piętrowe parkingi dla rowerów. No cóż, rozwiązanie jednego problemu często okazuje się początkiem innego.

Jak dobrze wiemy, Holendrzy lubią nas ostatnio pouczać w pewnych kwestiach. Dlatego bardzo mnie ubawiła pewna historia, którą usłyszałem w Amsterdamie. Oto holenderskiego dziennikarza zaatakowali żurnaliści z Danii oraz Norwegii. Zarzucili mu, że Niderlandy są za mało ekologiczne. – Jak to? Jesteśmy bardzo ekologiczni! – bronił się Holender. – Ale zawsze liczycie, czy was stać na ekologiczne rozwiązania. A my nie liczymy! I to jest prawdziwy ekologizm! – zgasili go Skandynawowie. No i jeszcze te fajerwerki. Zaścianek, tyle że z marihuaną. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wenecja

Nie wiem, czy miasto nad laguną jest przereklamowane, ale za każdym razem, gdy się tam znajdę, odczuwam jego niezwykle urok mimo hałaśliwych motorówek i tłumy turystów. Działła na mnie pamięć kilkunastu wieków historii, od kiedy mieszkańcy atakowanych przez barbarzyńców wsi schronili się na piaszczyste łachy i zbudowali na nich miasteczko.

Myślę o dniu sprzed 12 stuleci, gdy zdobyte fortelem ciało św. Marka (wykradzono je z muzułmańskiej Aleksandrii w beczkach z wieprzowiną) stało się relikwią założycielską świątyni, łączącej romańszczyznę ze stylem bizantyjskim, dodatkowo zwieńczoną słynnymi rumakami Lizyppa. Stają mi przed oczami słynne postacie od okrutnego doży Dandolo, sprawcy złupienia Konstantynopola, do erotomana Casanovy, więzionego na strychu pałacu Dożów pod Ołowianymi Dachami. Czy ten świat może zagaść, czy pewnego dnia podmyte fundamenty, konstrukcje nadwątlone przez kwaśne deszcze i nieremontowane przez wieki mury nie wytrzymają i Serenissima, która kiedyś jak Wenus wyłoniła się z morskich fal, teraz się w nich pograży? Co pewien czas słyszę o pomysłach ratunku – odgrodzenia laguny od pełnego morza, podniesienia wysp, ochrony brzegów – lub sprzedania oryginalnych zabytków Amerykanom bądź Arabom i zadowolenie się odpornymi na uszkodzenia kopiami. Nic się jednak nie dzieje. W przebogatych w zabytki Włoszech Wenecja jest tylko jedną z wielu atrakcji... Nawet jeśli zniknie, to turyści będą przyjeżdżać i zostawiać miliardy euro.

Ale jednak – myślę – coś to byłoby za zadanie dla Komisji Weneckiej polobbować na rzecz macierzystego miasta, ściągnąć fundusze na rzecz jego uratowania, a przede wszystkim walczyć z miejscowym bezwładem władz, korupcją i całym niewydolnym państwem, które chyba od czasów Mussoliniego istnieje wyłącznie teoretycznie.

Jednak nie: walka o tzw. praworządność w Polsce czy na Węgrzech jest dla Komisji ciągle zadaniem priorytetowym. I zdecydowanie łatwiejszym, zwłaszcza że nie bardzo jest o co. ©©



Krzysztof
Tyska-Drozdowski

Na Czarnym Łądzie tyka bomba demograficzna. Jej wybuch może pochłoniąć całą Europę

Jean Raspail gdzieś wspomina, że ilekroć w jego rodzinie albo wśród znajomych przychodzi na świat dziecko, tylekroć odczuwa lęk. Zmarł twienie, że to dziecko w wieku męskim będzie musiało stawić czoła straszliwym wyzwaniom. To ogromne wyzwanie – jeżeli nie największe, to jedno z najcięższych – nadejdzie z Afryki.

Stephen Smith, dziennikarz lewicowego „Libération” i wykładowca na amerykańskim Duke University, ostrzega, że Czarny Łąd to „jedna wielka poczekalnia”. Bomba demograficzna tyka, a jej wybuch może pochłoniąć całą Europę. Jest pewne, że jeśli europejscy politycy nadal będą krótkowzroczni, to ta eksplozja doprowadzi do wstrząsu w ramach naszej cywilizacji.

BOMBA DEMOGRAFICZNA

Napór populacji Maghrebu na Europę będzie malał. Arabska dynamika demograficzna wyhamowała. Matrycę społeczną, którą do tej pory stanowiły wielodzietne rodziny, wypiera bardziej zachodni wzór z mniejszą liczbą potomstwa. Nie oznacza to, że imigracja do krajów europejskich ustanie. Największy w Maroku portal zajmujący się rekrutacją do pracy przeprowadził ankietę, z której wynika, że 91 proc. młodych chciałoby wyemigrować do Europy. Komisja Europejska podała dane, że 53 proc. tunezyjskiej młodzieży chce postąpić tak samo, a badania Boston Consulting Group pokazują, że 84 proc. Algierczyków deklaruje gotowość na taki krok.

Prawdziwa powódź demograficzna wzbiera jednak bardziej na południe, w obszarze subsaharyjskim. Stephen Smith w swojej książce „La ruée vers l'Europe” odsłania rzeczywistość, o której się nie mówi: pomoc, której Zachód udziela państwom afrykańskim, spowodowała największy wzrost demograficzny w dziejach ludzkości. W 2010 r. Afryka przebiła się przez próg miliarda mieszkańców, a za 30 lat, w 2050 r., przebijie kolejny próg – 2 mld. W oczach Smitha wsparcie finansowe dla Afryki nie

Afryka idzie



sprawiło, że powstały tam trwałe instytucje czy stabilna gospodarka. Pozwoliło jedynie na wytworzenie się szerokiej klasy ludzi, którzy są w stanie odłożyć dość pieniędzy, aby dotrzeć do Europy.

Afryka będzie wywierać rosnący nacisk demograficzny na Europę. W połowie tego wieku na Czarnym Lądzie będzie żyło 25 proc. światowej populacji, a prognozy wskazują, że w 2100 r. trzy czwarte dzieci będzie przychodzić na świat w Afryce Subsaharyjskiej. Już dziś te dysproporcje są widoczne gołym okiem; w Paryżu dzieci poniżej 15. roku życia stanowią jedynie 14 proc. mieszkańców (dodajmy: w sporej mierze nie są to rodowici Francuzi), zaś w Lagos, stolicy Nigerii, aż 60 proc. populacji ma mniej niż 15 lat. Największy niepokój budzi jednak wynik innego badania, które przytacza Smith. Według ankiety Instytutu Gallupa 42 proc. Afrykańczyków w przedziale od 15 do 24 lat chce emigrować.

ŚMIERCIONOŚNA IDEOLOGIA

Paul Collier, specjalista od imigracji z Oksfordu, zauważa, że dyskusja o imigracji w Europie tak naprawdę nigdy się nie odbyła. Nasycono ją moralizatorstwem, zamiast szukać twardych faktów i statystyk, debatę zamknięto, zanim na dobre się rozpoczęła. Zdaniem tego eksperta wiara w to, że każdy może zamieszkać tam, gdzie mu się podoba, to mrzonki dobre dla nastolatków. Potop ludzki, który runie na Europę, będzie bez porównania większy od tego, który uderzył w 2015 r. A tamte wydarzenia pokazały dobitnie, że Europa nie jest przygotowana na tak wielkie ruchy populacji.

Przeświadczenie, że taki olbrzymi napływ nie tylko nie stanowi zagrożenia, lecz także jest dla Europy konieczny, to część ideologii liberalnych elit rządzących. W 2000 r. ONZ wydała raport, w którym oznajmia, że jeśli Europa pragnie utrzymać poziom liczebny swojej populacji, to powinna do roku 2050 przyjąć 50 mln imigrantów, czyli milion rocznie.

Ten raport ukazał się 20 lat temu, lecz doktryna ONZ pod tym względem pozostaje niezmienna. W czerwcu 2019 r., po odebraniu Nagrody im. Karola Wielkiego – w ubiegłych latach otrzymywali ją, co znamienne, Angela Merkel, papież Franciszek i Emmanuel Macron – Anton Guterres, sekretarz generalny ONZ, oświadczył, że Europa nie ma innego wyjścia, musi otworzyć na oścież swoje granice przed Trzecim Światem. Dodał też tonem

proroka: „Wszystkie społeczeństwa zмирzają do tego, aby być wieloetniczne, wielokulturowe i wieloreligijne”.

Ten światopogląd dobrze wyłożył Suketu Mehta, pisarz pochodzący z Bombaju, autor książki „This Land is our Land: An Immigrant's Manifesto”. Niedawno „The New York Times” pozwolił zabrać mu głos w sprawie imigracji. W swoim artykule Mehta przywołuje wywołaną ostatnio w Stanach dyskusję nad reparacjami dla potomków czarnych niewolników, stwierdzając jednocześnie, że Trzeci Świat takich reparacji wcale nie oczekuje. Chce on reparacji pod postacią

**Masowa imigracja,
która przeobraziła życie
mieszkańców Europy,
stanowiła podważenie
demokracji na wielką skalę**

nieograniczonego prawa do imigracji do bogatych krajów. Podkreśla przy tym, że imigranci nie powinni szanować granic państw zachodnich, bo Zachód nigdy nie szanował cudzych.

UPADEK DEMOKRACJI W EUROPIE

Masowa imigracja, która przeobraziła codzienne życie milionów Europejczyków, stanowiła podważenie demokracji na wielką skalę. Zanim otwarto nasz kontynent na miliony imigrantów, nie zapytano społeczeństw o zdanie. Największa zmiana, która dokonała się od drugiej wojny światowej, zmiana składu etnicznego państw zachodnich, rozbięcie ich jedności kulturowej, tworzenie się całych diaspor pozaeuropejskich na terytorium Europy – liberalne elity uznały te wszystkie zjawiska za kwestie, o które narodów nie należy pytać. Gdy Angela Merkel sprowadziła do Niemiec 800 tys. ludzi, nie obchodziło jej, jak sami Niemcy odnoszą się do tej decyzji.

Francuski demograf, Hervé le Bras, stwierdził w jednym z ostatnich wywiadów, że polityka migracyjna stała się zakładnikiem percepcji zwykłych obywateli. W „bombie demograficznej” dostrzega on co najwyżej mit. Gdy jednak rdzenni mieszkańcy przestają czuć się we własnej okolicy jak u siebie w domu, gdy na ulicach, na których się wychowali, słyszą wszystkie języki świata oprócz



FOT. AP/EAST NEWS

■ własnego, to jest argument, aby imigrację zatrzymać. Cenzurowanie narodowych niepokojów, kneblowanie społeczeństwa, to niszczenie demokracji.

Minister spraw zagranicznych Holandii, Stef Blok, został nagrany z ukrycia, gdy wypowiadał swoje zdanie w sprawie społeczeństw wielokulturowych. Powiedział bez ogródek to, o czym nie wolno głośno mówić: „Podajcie mi przykład społeczeństwa wielokulturowego albo wieloetnicznego, które charakteryzuje się pokojowym współżyciem. Nie znam żadnego takiego przykładu”.

Trzeba postawić inne zasadnicze pytanie: Cemu lewica nie chce podjąć rzetelnej dyskusji nad tymi problemami? Zachowuje się ona tak, jakby nie dostrzegała prostej zależności: tam, gdzie mamy do czynienia z masową imigracją, tam rośnie poparcie dla prawicy. Najświeższy jest przykład włoski. Salvini cieszy

na które głosują bogaci, i takich, które popierają biedni, nie będzie podziału na tych, którzy głosują za przywróceniem zasad moralnych, i na tych, którzy chcą doprowadzić do końca rewolucję obyczajową. Będą tylko partie, na które głosują imigranci, i partie, na które oddają głos rdzenni mieszkańcy. Wszystkie inne zagadnienia zostaną zmiecione. Poza stanie podział plemienny, zabijający demokrację i niszczący Europę, którą do tej pory znaliśmy. Demokracja zakłada, że wspólnota chce poprzeć ideę albo politykę, która wydaje jej się najlepsza dla kraju. Demokracja wielokulturowa przekreśla to założenie, bo podział przestaje odnosić się do różnych poglądów na dobro wspólne, przeobrażając się w podział etniczny.

CO ROBIĆ?

Jak wyjść z tej patowej sytuacji? Nasuwa się kilka rozwiązań. Pierwsza to remigracja. W maju 2019 r. 500 nielegalnych imigrantów protestowało na lotnisku Roissy pod Paryżem. Agresywny tłum, który został w końcu usunięty przez policję, domagał się zaprzestania deportacji i wznosił okrzyki: „Francja nie należy do Francuzów! Cała Afryka ma prawo tu być!”. Nie ma wątpliwości, że to zwykłe złudzenie, o tyle jednak groźne, iż europejskie elity wierzą w nie żarliwie.

Według platformy, która rekrutuje Afrykańczyków z diaspory do powrotu, aż 76 proc. młodzieży chciałoby włączyć się w pracę dla swojego kraju. To kolejny fakt, którego nie można lekceważyć. Wypłukiwanie Afryki z najbardziej energicznych i ruchliwych zasobów ludzkich musi przynieść ujemne konsekwencje. Widzą to zresztą sami Afrykańczycy. Nigeryjski arcybiskup, kard. John Onaiyekan, oznajmił, że gdy młodzież z danego kraju nie widzi dla siebie miejsca w ojczyźnie, to ci, którzy takim państwem kierują, ponieśli klęskę. Kardynał Sarah ostrzegał w podobnym tonie, że Afrykańczycy, którzy na gwałt usiłują dostać się do Europy, nie stworzą sobie lepszego życia, lecz czeka ich tam los niewolników. Nie inaczej wypowiadał się prezydent Senegalu, Macky Sall, w czasie wizyty Angeli Merkel w jego kraju: „Przeznaczeniem afrykańskiej młodzieży nie może być dobiecie do brzegów Europy. Musimy zwalczać nielegalną emigrację i znaleźć rozwiązania na kontynencie afrykańskim. Nie możemy być współnikami przemytników”.

Powinniśmy też uzmysłowić sobie, że przemysłowcy – przede wszystkim

niemieccy – którzy domagają się do pomocy taniej siły roboczej, nie powinni dyktować strategii imigracyjnej. To nie tylko presja na płace europejskie, lecz również drenaż Afryki i traktowanie jej jako zasobu prawie niewolniczego, co przywodzi na myśl najgorsze kolonialistyczne praktyki.

Europa ma środki na to, aby wywrzeć nacisk na kraje afrykańskie. Szeroki strumień pomocy finansowej jest właściwie traktowany jak ogromny datek, a powinien wiązać się z pewnymi wymaganiami. Dalsze przepływy pieniędzy muszą zostać uzależnione od zmian, które zabezpieczą Europę przed demograficzną powodzią. Być może Afryka powinna rozpocząć trudną dyskusję nad modelem rodziny, co dostrzegają sami Afrykańczycy. John Goodluck, prezydent Nigerii w latach 2010–2015, który oświadczył nie tak dawno temu: „Jeżeli nie będziemy mieć mniejszych rodzin, to nasz kraj dalej będzie cierpieć biedę, bo zasoby, które mamy do dyspozycji, nie zaspokoją naszych potrzeb”. Nawet taka ikona lewicy jak Macron musiała przyznać – w 2017 r. na konferencji prasowej podczas szczytu G20 – że „gdy w jakimś kraju kobieta ma po siedmioro, ośmioro dzieci, to można wypłacać miliardy euro, a i tak niczego się nie ustabilizuje”. Afrykańskie elity mają konta w zachodnich bankach, leczą się na Zachodzie, kupują tu nieruchomości i spędzają tu wakacje. Te wszystkie przywileje powinny łączyć się z pewnymi zobowiązaniami.

PRZED KOŃCEM

Na Europę nie wydano wyroku. Historia nie stanowi ciągu werdyktów, które zapadają z góry. Nasza przyszłość jest w naszych rękach, w rękach energicznych elit, które mogą wyrwać nas z położenia, w którym się znaleźliśmy. Tylko czasu jest coraz mniej. Bez świadomości, jak wielkie niebezpieczeństwo wyrasta na horyzoncie, runiemy w przepaść, szykując żyjącym i przyszłym pokoleniom okrutny los. Gdy społeczeństwa mają do wyboru usypiające złudzenie albo nieprzyjemne fakty, zawsze wybiorą to pierwsze, lecz ci, którzy nie uciekają przed rzeczywistością, mają obowiązek przedrzeć się przez iluzję i wskazać zagrożenia. Jeśli nie zaczniemy o tych zagrożeniach głośno mówić, to Europa zmieni swoje oblicze raz na zawsze. Ta zmiana nie jest nieuchronna, lecz będzie nieodwracalna.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Z badań przeprowadzonych w Norwegii wynika, że imigranci z krajów pozaukuropejskich zawsze głosują na lewicę

się wielką popularnością w kraju, gdzie kolejno 74 proc. społeczeństwa uważa, że wzrost imigracji wiąże się ze wzrostem przestępczości, gdzie 58 proc. jest zdania, że imigranci zabierają pracę rodowitym Włochom, a 62 proc. ocenia, że imigranci stanowią obciążenie dla systemu osłon społecznych. Gdy Jean-Marie Le Pen zakładał swoją partię (wtedy nosiła nazwę Front Narodowy), była to tylko grupka działaczy niemogących pogodzić się z tym, że Algieria przestała być francuska. Wybiła się ona z marginesu na początku lat 80., gdy imigracja stała się masowa i zaczęła budzić obawy Francuzów.

Lewica jednak woli patrzeć przez palce i odwracać się od rzeczywistości. Dlaczego? Badania przeprowadzone w Norwegii być może objaśniają tę postawę. Wynika z nich, że imigranci z krajów pozaukuropejskich zawsze i bez wyjątku głosują na partie lewicowe. To żelazne prawo demokracji wielokulturowych. Europa zmierza w stronę demokracji multietnicznych, w których społeczeństwo nie będzie już dzielić się na zwolenników takich albo innych reform, nie będzie już partii,

PIOTR WŁOCZYK: 28 kwietnia tego roku z wyspy Csepel wyruszy kolarski Rajd Karpacki Pamięci Wacława Felczaka. Dlaczego zawodnicy startują akurat z tego miejsca?

MACIEJ SZYMANOWSKI: Ponieważ z tej wyspy, największej na Dunaju, wyruszył w 1920 r. z Węgier wielki transport broni i amunicji dla Warszawy broniącej się przed bolszewikami. Trudno nie docenić tego transportu w odparciu komunistycznej inwazji. Rajd to jedna z inicjatyw, które aktywnie wspiera Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. Obecnie prowadzimy też rozmowy, by na 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej do stolicy Polski – oprócz żołnierzy armii węgierskiej – przejechała także młodzież z tego kraju. Myślę, że uda się zorganizować taki wyjazd i będzie to dla młodych Węgrów wspaniała lekcja historii, pokazująca, jak ważne relacje łączą nasze kraje.

Przeglądając zakres działalności Instytutu im. Wacława Felczaka, widać wyraźnie, że chodzi państwu głównie o dotarcie do młodzieży.

Tak, dotarcie do młodych ludzi to nasz najważniejszy cel. To w końcu najmłodsze pokolenie ma ponieść w przyszłość świetną współpracę polsko-węgierską. Dlatego fundujemy stypendia dla zdolnych Polaków i Węgrów, m.in. dla studentów hungarystyki, polonistyki, historyków, dziennikarzy, a także muzyków. Problemem jest oczywiście bariera językowa, dlatego dofinansowaliśmy m.in. wydanie nowego podręcznika do nauki języka węgierskiego dla Polaków. Ostatni wydany u nas podręcznik pochodzi jeszcze z lat 50. i pod względem językowym nie przystaje już do naszych czasów... Nauczanie obu języków jest kluczowe dla przyszłości naszych relacji. Obecnie na



FOT. JOZEF WOLNY/CN FORUM



Z Maciejem Szymanowskim, dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka rozmawia Piotr Włoczyk

Zacieśniać relacje

Węgrzech wydziały polonistyki mają spore problemy ze znalezieniem nowych studentów – liczymy, że dzięki naszej akcji w węgierskich liceach ta sytuacja zmieni się w niedługim czasie.

Ważnym projektem, który ostatnio wsparliśmy, jest scenariusz do filmu poświęconego Henrykowi Sławikowi. To bardzo istotna postać w polsko-węgierskich relacjach. Henryk Sławik w czasie drugiej wojny światowej, współorganizował, przy wielkim wkładzie Węgrów, system pomocy dla polskich uchodźców na Węgrzech.

Dzięki jego wysiłkom udało się też uratować na Węgrzech przed śmiercią wiele żydowskich sierot.

I dlatego Henryk Sławik zasłużył sobie na dwa pomniki – w Warszawie i w Budapeszcie. Poza kwestiami kulturalnymi i naukowymi Instytut im. Wacława Felczaka wspiera również wspólne polsko-węgierskie wydarzenia sportowe, a także pomaga w rozwijaniu więzów gospodarczych. W tym kontekście bardzo ważnym projektem, który promujemy, jest budowa szybkiego połączenia kolejowego między Polską a Węgrami. W tym momencie przejazd z Warszawy

do Budapesztu zajmuje prawie 11 godzin. Unowocześnienie linii kolejowej może skrócić podróż o połowę. Ten projekt byłby dużym bodźcem rozwojowym dla całego naszego regionu.

Ile tak naprawdę Węgrzy i Polacy wiedzą o sobie nawzajem?

Niestety niewiele. Z przeprowadzonych na nasze zlecenie pierwszych w historii profesjonalnych badań opinii publicznej wynika, że o ile ponad połowa Węgrów czuje wielką sympatię do Polaków i życzy sobie dalszego zacieśniania relacji, przeciwnego zdania jest zaledwie 3 proc., to poziom wiedzy na nasz temat jest dramatycznie niski.

Jak z tym jest źle?

Jeżeli chodzi o rozpoznawalność żyjących Polaków, to najlepiej wypada tu Lech Wałęsa z wynikiem 7 proc... Inni, np. Robert Lewandowski czy też Roman Polański, kojarzeni są przez mniej niż 2 proc. Węgrów. Myślę, że Polacy również niewiele wiedzą na temat Węgrów. Staramy się to zmienić poprzez m.in. prowadzenie w języku węgierskim portalu informacyjnego dla Węgrów. To tylko część działalności naszego instytutu – cały czas się rozwijamy i wciąż poszukujemy do pracy młodych ludzi z pasją i ze znajomością języka węgierskiego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka ustanowił Międzynarodową nagrodę Strażnik Wartości, Custos Virtutum, która przyznawana jest pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy” i wręczana podczas gali nagród Strażnik Pamięci.



IM. WACŁAWA FELCZAKA

REWOLUCJE



Eugène Delacroix, „Wolność prowadząca lud na barykadę” (1830)

Znakomity jugosłowiański pisarz Danilo Kiš
(autor m.in. „Klepsydry” oraz „Psalmu 44”):

„Wystrzegaj się tych, którzy proponują ostateczne rozwiązania. Nie ufaj ideologom i nie wierz w utopijne projekty rewolucjonistów, którzy kwestionują wszelkie wartości, bo wbrew nim hierarchia wartości istnieje. Walczyć przeciwko niesprawiedliwości społecznej możesz bez czynienia z tego programu rewolucji. Metafory o rewolucjach jako lokomotywach Historii to stek bzdur, nie wskakuj więc do tych pociągów, twoją bronią jest siła powątpiewania” (1984).



Waldemar Łysiak

Zjemy w czasach trzech gigantycznych rewolucji — dwóch globalnych i jednej lokalnej (wyłącznie europejskiej). Wszystkie one mocno przeobrażają nasze życie, a dużo silniej będą modelowały wegetację naszych dzieci i wnuków. Łatwość/szybkość absorbowania tych rewolucyjnych zmian przez ogłupiane propagandą społeczeństwa kuli ziemskiej wynika z faktu, iż rzeczony rewolucje noszą dla niepoznaki maskę ewolucji, by skuteczniej (bez większego oporu) mieć ludzkość.

Nie wiem czy jakiś mędrzec powiedział Ziemianom kiedykolwiek: strzeżcie się rewolucji!, lecz jeśli tak, to winien był uprecyzynić: rewolucji polityczno-społecznych, zwłaszcza brutalnych, krwawych, hekatombowych. Istnieje bowiem mnóstwo rodzajów rewolucji — od rewolucji kulturowej warunkowanej estetyką (jak renesansowa filoantyczna kontra przeciwko dewocynemu Gotykowi, czy kontrklasykistyczny wybuch XIX-wiecznego Romantyzmu) bądź polityką społeczną (vide „rewolucja kulturowa” Mao Ze Donga), po „rewolucję żółtodkłą”, gaszoną farmaceutykami. Przy zajmowaniu się tematem rewolucji trzeba również — gwoździem do ściany — zgodzić się z rzetelnością — odnotować teorię bezrewolucyjności zupełnej: według wielu rewolucje nie istnieją, podobnie jak przypadki, gdyż wszystko płynie naturalnym biegiem rzeczy, ergo: nurtem determinizmu opatrzonego/przeznaczeniowego (fatalizm), jest zaprogramowane wyżej (fideiści: w Niebieskich; astrologi: w gwiazdach), a od początku świata trwa stale tylko jedna Rewolucja, fundamentalna — dobrych przeciwko złym.

Wracając od tych idealistyczno-bonmotowych dywagacji na realny grunt tematu musimy jednak przyjąć za oczywistość, że każda rewolucja (łacińskie „*revolutio*”: przewrót) to coś, co Anglosasi zwa „*break*”, przełamanie stanu wcześniejszego. Thomas S. Khun, autor „*Struktury rewolucji naukowych*” (1962), zwa rewolucje „*niekumulatywnymi epizodami rozwoju*”, definiując je jako zerwanie ciągłości, w wyniku którego stare reguły przestają obowiązywać, obu-

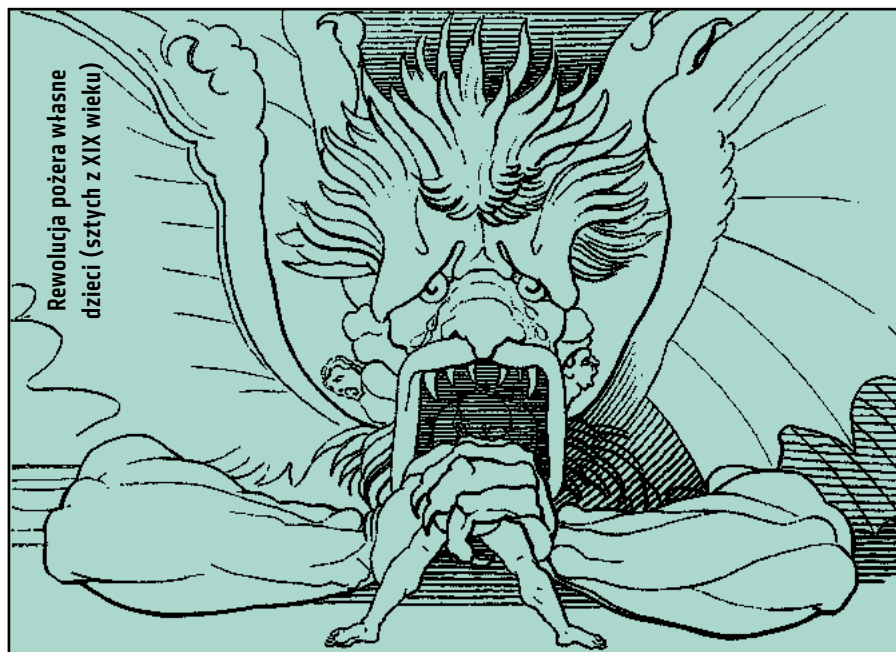
mierają, giną, a do głosu dochodzą nowe, i te się utrwalają. Na naszych oczach utrwała się i rozwija z prędkością światła technologiczno-komunikacyjna rewolucja internetowa (jedna z dwóch globalnych, o których wzmiankowałem pierwszym zdaniem eseju), budząca tyle samo zachwytu co obaw (obaw, że nie przyniesie tyle pozytywnych zmian, ile przyniosły niektóre wcześniejsze „rewolucje naukowe” i „rewolucje przemysłowe”). O tej rewolucji pisałem już obszernie w „*Tygodniku Lisickiego*” (artykuł „*Sieć — ułtwienie, uwięzienie, umocnienie*” — „*Do Rzeczy*” 16/2018), dzisiaj zaś będę się mądrzył o zaorywującym ludzkie struktury i systemy (tudzież ludzkie egzystencje) rewolucjach polityczno-społecznych. Spójrzmy — bo to ciekawe — jak są one definiowane przez rodzime kompendia:

WERDYKTY ENCYKLOPEDYSTÓW

Pierwsze polskie dzieło encyklopedyczne (lub raczej paraencyklopedyczne), „*Nowe Ateny*” (1745–1756) księdza Benedykta Chmielowskiego, w ogóle nie zawierało paskudnego hasła „*Rewolucja*”, dopiero drugie — uważana za realnie pierwszą rodzimą encyklopedię praca biskupa rymopisa Ignacego Krasickiego „*Zbiór Potrzebniejszych Wiadomości Porządkiem Alfabetu Ułożonych*” I–II (1781) — klarowało: „*Rewolucja, w polityce oznacza odmianę rządu albo wzruszenie narodu, które się aktem*

publicznym uspokaja albo pacyfikacyą”. Nasi komentatorzy pierwszej połowy XIX wieku rozprawiając o rewolucjach czerpali głównie ze źródeł francuskich (dopiero ci XX-wieczni z anglosaskich), które perswadowały, że rewolucja to uderzenie w zacofańców/tradycjonalistów, czyli w tych, którzy się modlą: „*pourvu que sa dure*” (byle to tylko trwało), lecz wołały nie nadmieniać, że każda zbrojna rewolucja kończy się „*reglement des comptes*” (porachunkami) między czołówką rewolucjonistów (stąd wzięto się historyczne konstatawanie, iż „*rewolucja pożera własne dzieci*”).

Największa prawiślińska encyklopedia XIX wieku, 28-tomowa „*Encyklopedia Powszechna*” Samuela Orgelbranda, załatwiła rewolucję bardzo lapidarnie, jednozdaniowo: „*Rewolucya, czyli przewrót istniejącego porządku, nagłe, właściwy bieg rzeczy zakłócające wstrząśnienie, które rugując lub znosząc dawne podstawy, przysposabia żywioły nowego porządku*” (1866). Dopiero trzecia (pierwsza ilustrowana) edycja tegoż kompendium („*S. Orgelbranda Encyklopedia Powszechna*”) dała sążniste tematyczne hasło: „*Rewolucja oznacza w polityce nagły i gwałtowny przewrót w systemacie rządowym lub społecznym jakiegoś kraju. Takie przewroty mogą być dokonywane przez rządzących i przez rządzonych. W pierwszym razie, jeśli rewolucja ma na celu powiększenie władzy rządzącego i zmianę siłą dotychczasowego stanu rzeczy, wtedy przybiera zwyczajnie nazwę*



■ **zamachu stanu (coup d'état).** Jeżeli zaś ogranicza się tylko do pozbawienia władzy naczelnika państwa bez zmiany systemu rządu, wtedy zwie się rewolucją pałacową. W drugim razie, gdy przewrót bywa dokonany przez cały naród, lub pewną jego część, wtedy odbywa się rewolucja w ścisłym znaczeniu tego słowa. Rzadko kiedy rewolucja się odbywa bez gwałtownych wstrząszeń w całym społeczeństwie i bez pewnych, często nawet wielkich nadużyć. Rozigrane namiętności pobudzają wtedy nieraz do gwałtów i prześladowań przeciwników, co znowu wywołuje niejednokrotnie kontrrewolucję i przywrócenie gwałtem dawniejszego stanu rzeczy. Z tej przyczyny, oraz ze względu na zamieszanie, jakie w życiu państwowym i społecznym

sprawdza, rewolucje wtedy tylko mogą być uprawnione, gdy wszelkie inne środki polepszenia istniejącego wadliwego stanu rzeczy stały się niemożliwymi” (1902).

Derozbiorzacja Polski (1918) przyniosła encyklopedie ze szczupłymi hasłami „**Rewolucja**”, natomiast dekomunizacja Polski (1989) zaserwowała kompendia szerzej rozwijające temat — dam po jednym przykładzie. „**Wielka Ilustrowana Encyklopedia Powszechna Wydawnictwa «Gutenberg»**”: „**Rewolucja** — przewrót, gwałtowna zmiana w istniejącym stanie rzeczy, w sprawach politycznych gwałtowne przeobrażenie istniejącego porządku prawnego” (1932). „**Nowa Encyklopedia Powszechna PWN**”: „**Rewolucja** — gwałtowna zmiana ustroju

politycznego i organizacji społecznej, odbywająca się przy stosunkowo szerokim udziale społeczeństwa i przy zastosowaniu środków pozaprawnych” (1996). To ledwie początek tego PWN-owskiego obszernego hasła tematycznego, którego ciąg dalszy zacytuje „*gdy przyjdzie jego pora*”.

ANATOMIA REWOLUCJI

Swoiście pionierska praca o przyczynach rewolucji i o zapobieganiu rewolucjom wyszła w Turynie roku 1629 (autor: Ottavio Sammarco), później zaś, szczególnie intensywnie przez wszystkie dekady XVIII stulecia, wielu rozpisywało się o naturze/istocie rewolucji. Dla części dziejopisów pierwszą nowożytną rewolucją była neapolitańska „*rivoluzione*” 1647 („*bunt Masaniella*”), większość jednak — exemplum Crane Brinton „**Anatomy of Revolution**” (1938) — wskazuje jako taką angielską „*Glorious Revolution*” (1688), która skutkowałą przywróceniem umiarkowanej monarchii. Czyli powrotem do stanu, który już niegdyś zaistniał. Ergo: trzeba złamać nogę, by ją przywrócić do stanu pierwotnego (Witold Gadowski: „*Zwolennicy rewolucji twierdzą, że świat jest jak źle zrosnięta noga, więc należy ją powtórnie złamać, a potem dobrze nastawić*”, 2019). Ciekawostka: tak właśnie (jako powroty do form/systemów istniejących niegdyś) widział rewolucje król Prus Fryderyk Wielki, dlatego, chociaż despota („*oświecony despota*”), stał się zwolennikiem (przynajmniej retorycznym) rewolucji, pisząc: „*Powody rewolucji, których doświadczają republiki i monarchie, leżą w bezlitosnych prawach Natury. Nietrwałość to nieodłączna cecha człowieczych dzieł*” (1751).

Nieodłączną cechą prawie każdej rewolucji, i zarazem charakterystycznym motorem prawie każdej, zdają się być roszady/tasowania elit (bułgarski politolog Iwan Krastew: „— *Rewolucje są atrakcyjne, bo pociągają za sobą wymianę elit*”). Teza, że rewolucje wywołuje aktywna mniejszość, ma długą brode; Roger Mucchielli obliczył („**La Subversion**”, 1971), iż ta mniejszość to nigdy nie więcej aniżeli 10% społeczeństwa. Francuski lewicowy myśliciel Georges Sorel doprecyzował (1908), iż owa zdeterminowana elitowa mniejszość przygotowująca rewolucje polityczne — tworzy zazwyczaj perfidne utopie (według Sorela: „*mity społeczne*”) dla mobilizacji zwolenników, a późniejsi analitycy dodali tylko niezbędną u takich wąskich grup prowodyrów hierarchiczną

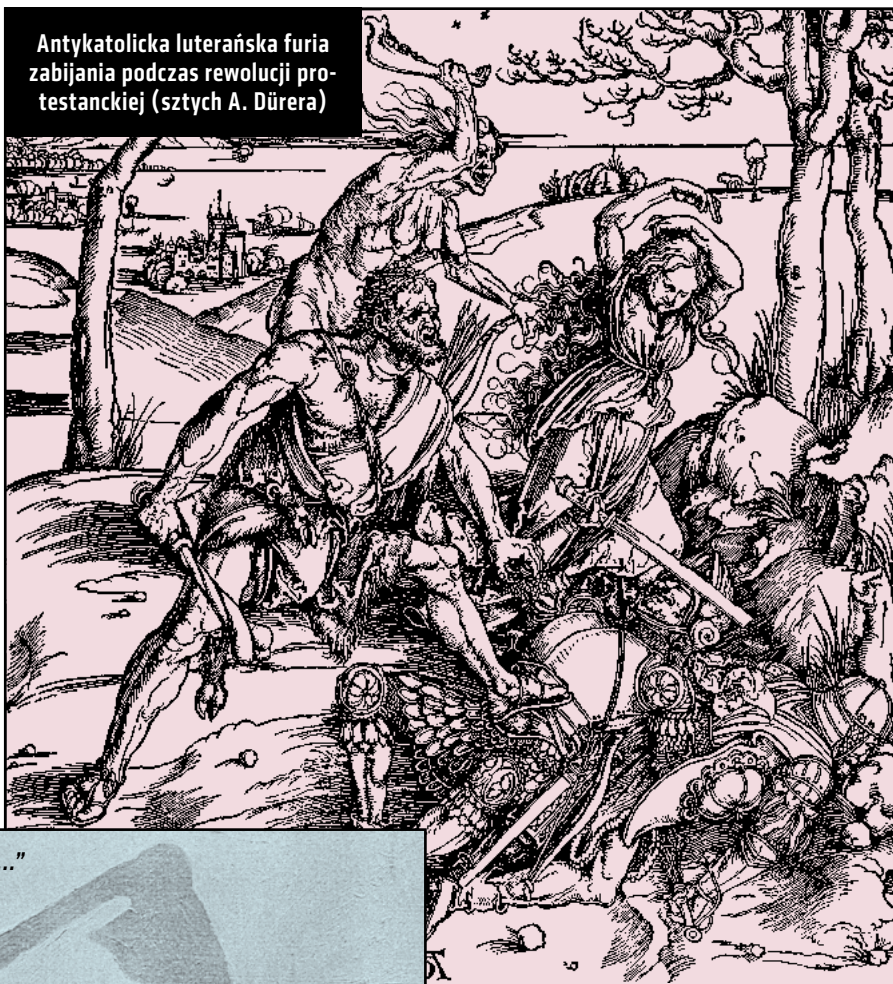


mal. Eugène Delacroix (1830)

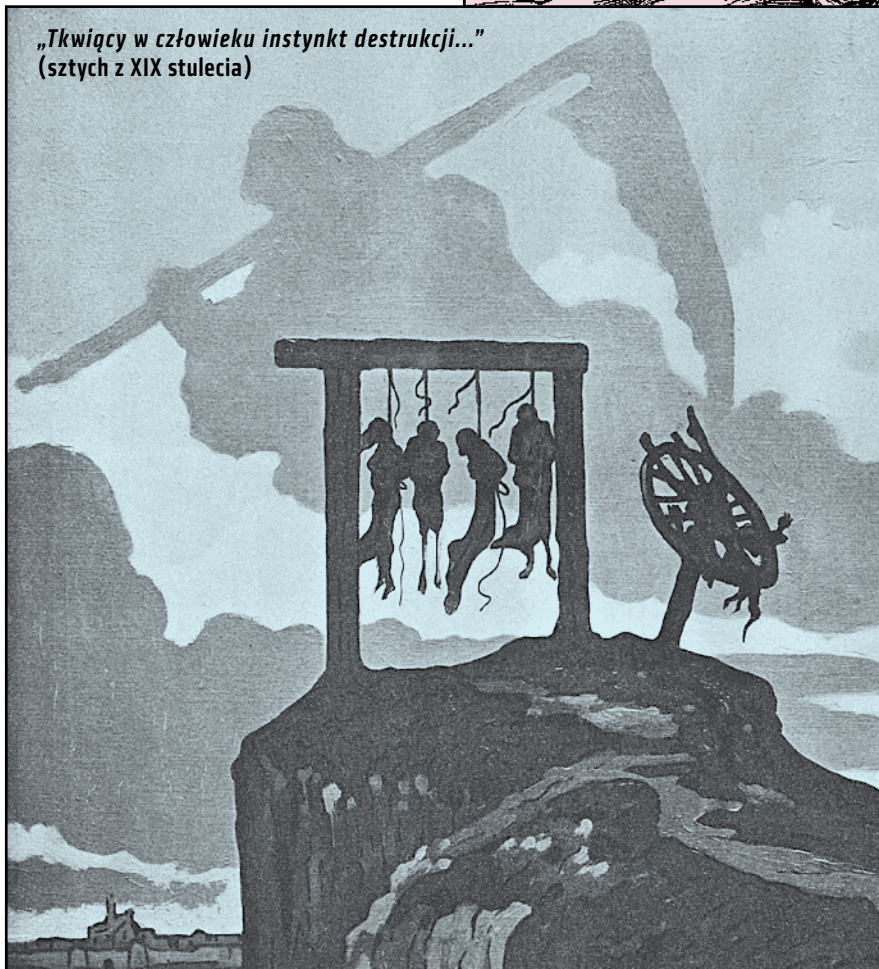
militaryzację ich ruchu (siatki spiskowej, kamaryli, partii) na kształt zbrojnych zakonów Średniowiecza, plus operowanie przez nich, przy porozumiewaniu się, językiem szyfrowym (systemem kodów), na kształt stowarzyszeń sekretnych epoki każdej. Co oczywiście musiało karmić wyobraźnię adeptów/fanów „spiskowej teorii dziejów” — o „Wielkiej Rewolucji Francuskiej” (termin ów wprowadził do obiegu jej uczestnik, Mirabeau) mówiono i pisano (także beletrystycznie, vide liczne tomy Aleksandra Dumasa Ojca), że była robotą masonerii, a o „Wielkiej Rewolucji Październikowej”, że uknuła ją szajka Żydów (prof. Andrzej Andrusiewicz nie zaprzeczył, gdy przeprowadzający z nim wywiad Krzysztof Różycki skonstatował: „ — Wśród przywódców Rewolucji Październikowej przeważali rewolucjoniści o żydowskich korzeniach — Lenin, Trocki, Bucharin, Kamieniew, Zinowiew, Swierdłow”, 2017).

Wzmiankowana wyżej elitowa spiskowość (grupa prowadzących) nie zmienia faktu, że każda rewolucja większa niż gabinetowy przewrót lub kanapowy pucz

Antykatolicka luterkańska furia
zabijania podczas rewolucji protestanckiej (sztachy A. Dürera)



„Tkwiący w człowieku instynkt destrukcji...”
(sztachy z XIX stulecia)



potrzebuje judzonych do buntu „mas”. Gadanie o spontaniczności zrywów plebsu to wodolejstwo „historiozofii marksistowskiej”. Ludzie się, owszem, masowo buntują, ale czy sami z powodu cierpianej niesprawiedliwości? Gdyby tak było — buntowali by się co roku w wielu krajach. Czy buntują się spontanicznie, bo system doprowadził ich do nędzy? Gdyby to robili — buntury rozsadałyby wiele państw. Czy buntują się, kiedy tak zwana kropla przepełnia czarę? Nie zliczylibyśmy buntów. Kiedy więc rewolucyjnie powstają? Jedynie wtedy, gdy ktoś potrafiący szczerze i mieć odwoła się umiejętnie do tkwiącego w człowieku instynktu destrukcji oraz do potrzeby mitu (kłaniają się owe „mity społeczne” Sorela). Nigdy ludzie nie czują się tak zjednoczeni jak wówczas, gdy ktoś wzniesie im wspólny ołtarz, na którym można się poświęcić lub szyći wszystkoobiecującą utopią. Bolszewizm wygrał, bo obiecywał raj, a lud pragnie, by go oszukiwano i dawano mu arenę wyżycia się emocjonalnego. Vulgo: masową rewolucję trzeba budować na emocji wyzwalanej w zwierzęciu przez

■ obudzenie/uruchomienie jego potrzeb destrukcyjnych plus instynktów autodestrukcyjnych, i nasycenie jego głodu obietnic tudzież mitów. Zbuntowanym gromadom nie jest potrzebny rozum/intelekt, tylko irracjonalizm, stąd magik/kuglarz jako hipnotyzer to fundamentalna recepta na „flecistę z Hameln” motywującego/wiodącego rewolucyjne tłumy. Pytanie: czym motywującego? Jest to pytanie o „background” wybuchu.

Analitycy procesów rewolucyjnych dzielą się na tych, którzy za główny przyczynowy motor rewolucji uważają problemy ekonomiczne, i na tych, dla których ważniejszą sprężynę stanowi sama ideologia. Czasami oba te detonatory towarzyszą sobie, jak choćby we współczesnej Wenezueli, gdzie antyChavezowski/antyMadurowski wybuch zdetonowała bieda spowodowana ideologią komunistyczną

(ONZ-owski raport z sierpnia 2018 mówił, że Wenezuela spauperyzowała „przewaga ideologów nad specjalistami od gospodarki”). Ideologie rzeczywiście bywają groźne. Rosyjski noblista literacki, Alieksandr Sołżenicyn (autor m.in. „Archipelagu Gułag”), wyrażał przekonanie, że nie ma nic gorszego od ideologii, te bowiem napędzają (motywują/stymulują) największe zbrodnie, każde ludobójstwo. Paweł Sosnowski: „Sołżenicyn uważał, że ideologia jest sprzeczna z naturą ludzką, a swoim zwolennikom daje ona przeświadczenie, że działają w słusznej sprawie, gdyż nie kierują się irracjonalnymi pragnieniami, lecz naukowo uzasadnionym światopoglądem” (2019). Nie od rzeczy będzie przypomnieć co pisał wieszcz Zygmunt Krasiński w liście (23-V-1843) do filozofa i polityka Augusta Cieszkowskiego o stosunku cesarza Napoleona

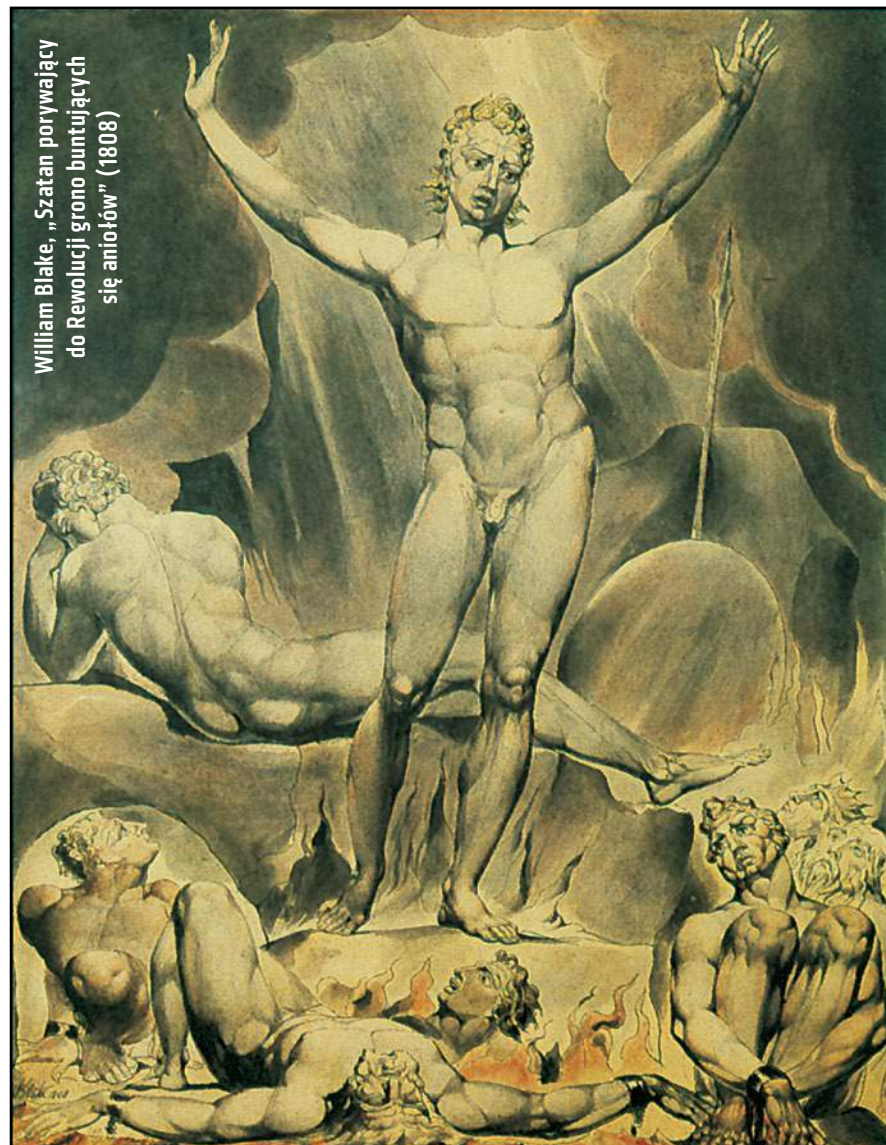
wobec ideologów: „Napoleon miał rację płuć w oczy ideologom, bo ideologi to ci, co gadają o idei, a jak przyjdzie ją wykonać, wykonują zupełnie innymi środkami niż te, których ona się domaga! Zatem ją przekrzywiają i koślawią tylko”.

LEWICOWA REWOLUCYJNOŚĆ

Które europejskie rewolucje miały największe znaczenie skutkowe dla świata nowożytnego? Trzy: luterkańska (protestancka) Reformacja XVI wieku, Rewolucja Francuska XVIII wieku i bolszewicki pucz XX-wieczny zwany przez lewaków „Rewolucją Październikową” (terminologia bolszewicka używała tytułu czterowyrazowego, perorując o „Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Październikowej”).

Francuski wybuch oświeceniowy został zapowiedziany i umotywowany przez francuskich tzw. „filozofów” (nadsekwanckich politologów „Wieku Światła” — Woltera i podobnych mu). Nawet jedyny religijny wśród nich, Gabriel Bonnot de Mably, uważał, że dławiona wolność musi sięgać po środki nadzwyczajne, rewolucji nie wykluczając, wszelako twierdził, iż jest to środek konieczny/ostateczny niby ratująca organizm amputacja. Amputacją faworyzowaną przez francuskich rewolucjonistów (jakobinów i in.) była gilotynowa dekapitacja — ścinałi ludzi tysiącami, bez umiaru. Co dzisiaj ma się im za złe, ale generalnie lewica hagiografuje Rewolucję Francuską jako maszynierię wszechstronnie egalitaryzującą, i nawet wśród prawicowców zdarzają się historycy wskazujący jej cechy pozytywne, exemplum Adam Danek przywołujący (2019) opinie ekonomisty Sismondiego (pierwsza połowa XIX wieku), który co prawda zwał tę rewolucję „barbarzyństwem i tragedią”, lecz chwalił jej „efekt dystrybucjonistyczny”, bo „dokonała parcelacji arystokratycznych majątków ziemskich, czym wzmocniła równowagę społeczną i stworzyła lepsze podstawy dla porządku”.

Identycznie funkcjonuje przed „sądem Historii” linia obrony rewolucji bolszewickiej, równie okrutnej jak francuska.





**Paryska gilotyniada jakobińska
(sztych z epoki)**

Apologeci bolszewizmu (wciąż nie brak takich na globie, choćby w krajach łacińskiej Ameryki) nie wstydzą się porównać do jakobinizmu, nie przejmują zarzutami, iż terroryści typu Robespierre'a, Marata, Lenina, Stalina to krwiożercze bestie, bo przecież wiadomo, iż dla wzniosłych celów krew musi się lać szeroką strugą. Istotnie taką się lała. Jakobińskie gilotyny pociły się ze zmęczenia (łącznie ścięty kilkadziesiąt tysięcy głów, w samym Paryżu 2278), zaś bolszewicy, gdy już rozpędzili zbrojnie parlament, rozstrzelali dziesiątki tysięcy ludzi bez zmruczenia oka. I tu, i tam, wyroki ferowały „trybunały rewolucyjne”, a zasadniczym celem była likwidacja całych grup społecznych — we Francji „stanów” („ci-devants”), w Rosji „klas” („kontrrewolucjonistów”, „burżuów”, „kułaków”). Nieodmiennie gwoili „sprawiedliwości społecznej” (vel „ludowej”) i „budowy nowego lepszego świata”. Ludobójcy (jak wychowanek paryskiej Sorbony, Pol Pot) zawsze pięknie mówią kiedy mordują. Bo każdy z nich należy do kasty „inteligentów”, a mieni się „ideologiem” (o ideologii patrz wyżej — w rozdziale „*Anatomia rewolucji*”).

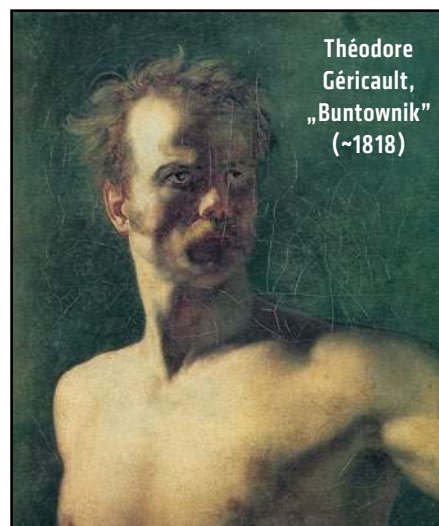
Że lewacka rewolucja to najpodlejsze konwulsje Dziejów, najohydniejsze wymioty Historii, pisało wielu prawicowych politologów. Dla przykładu cytuję cudzoziemca i rodaka. James H. Billington („*Płonące umysły — źródła wiary rewolucyjnej*” — „*Fire in the Minds of Men...*”, 1980): „Dyktatorski totalitaryzm XX wieku stworzył wcześniejsze (głównie XIX-wieczne) tradycje rewolucyjne, pełne mesjanizmu, «braterstwa» i «równości». Ta wcześniejsza wiara w rewolucję była rodzajem religii, której główna kompromitacja nastąpiła dzięki zbrodniom sowieckiego imperium”.

Rafał Ziemkiewicz: „*Prawdziwym celem rewolucji nie są żadne «prawa», żadna «równość», tylko budowa, po raz kolejny, «nowego wspaniałego świata», wedle odwiecznego lewackiego pomysłu*” (2019). Billington dodał jeszcze: „*Według mnie receptą na tę zwodniczą religię jest chrześcijańska odpowiedzialność wobec Boga i człowieka. Jestem skłonny sądzić, że zbliża się kres politycznej pseudoreligii rewolucjonistów mających o słowym budowaniu doskonałego społeczeństwa, przyszłością będzie rządzić ewolucja*”.

W nawiązaniu do cytatu z rozprawy Billingtona, a ściślej do fragmentu o „chrześcijańskiej recepcie”, warto przypomnieć, że „*grabarz Rewolucji Francuskiej*”, Napoleon Bonaparte, zdławiwszy ją, przywrócił Francuzom religię chrześcijańską, którą jakobini brutalnie skasowali. Gdy więc lewicowy radny Mole starał mu się głupio przypochlebić: „— *Wasza dostojność, w panu żyje duch Rewolucji!*”, Bonaparte pokręcił przecząco głową: „— *Nie, to nieprawda! Ja jestem zakładką w księdze Historii ukazującą, na której stronie kończy się rewolucja. Rewolucja wróci dopiero po moim zgonie*”. I tak właśnie się stało — po zgonie Napoleona (1821) lewactwo coraz silniej opanowywało Francję, i dzisiaj króluje tam jak za czasów „komunardów” XIX-wiecznych.

SPÓŁECZNA, COKOLWIEK TO ZNACZY

Porzekadłowa przestroga mówi: „*Uważaj na swoje marzenia, bo mogą się spełnić!*”. Rewolucja często przynosi rozczarowanie, nawet jeśli przyniosła wyzwolenie. Ogólnospołeczny bunt „Solidarności” zrzucił z rąk Polaków pęta komunizmu, lecz zaowocował lewacko-liberalną („rózową”), trwającą bardzo długo opresją ze strony Salonu, co prawicowcy wykrakali już przy Okrągłym Stole, a ci kasandrycznie wnikliwi dużo wcześniej. Wspo-



**Théodore
Géricault,
„Buntownik”
(~1818)**

minając późne lata 70-e tudzież 80-e PRL-u Piotr Zaremba przypomniał, iż ówcześni realni antykomuniści nie mieli wątpliwości, „że Kuroń czy Michnik po to podbijają bębenek radykalizmu, aby tym łatwiej dogadać się z tą władzą na końcu” (2019). Mogło być wszakże dużo gorzej, jak choćby w Nikaragui, gdzie po długiej krwawej walce „prawicowy reżim” został obalony przez Front Wyzwolenia Narodowego („*partyzantka sandinistów-ska*”), „wielkiego rewolucjonisty” Daniela Ortegi, a dzisiaj OPA (Organizacja Państw Amerykańskich) skarży prezydenta Ortegę o „*zbrodnie przeciwko ludzkości*” (mordy, gwałty, tortury, porwania, itp.) realizowane łapami policji, żandarmerii i paramilitarnych bojówek rządowych („*szwadrony śmierci*”) dla pacyfikowania kontrrządowych demonstracji i strajków. Perfekcyjną sentencją ujął to kilka dekad temu kolumbijski myśliciel Nicolás Gómez Dávila: „*Malowniczy strój rewolucjonisty niezauważalnie przybiera barwę surowego munduru policjanta*”.

Stroje rewolucjonistów bywały charakterystyczne (od „*frygijskiej*” czapki jakobina, przez czerwony beret komunarda, po szpiczastą uszatkę czekisty), dzisiaj jednak złagodniały wizerunkowo, nawet do eleganckiego garnituru i krawaty, współczesne rewolucje bowiem rzadko są zbrojne (vide francuska rebelia „*żółtych kamizelek*”), dużo częściej społeczne, reformujące innymi środkami niż fizyczna przemoc. „*Przemiany społeczne*” (nie zaś polityczne) jako główną rewolucyjną wartość pierwsiy lansował swymi tekstami XVII-wieczny angielski poeta Robert Heath („*Przez Rewolucję trzeba budować od nowa...*”). One też są pupilem hasła „*Rewolucja*” encyklopedii PWN-owskiej, które wyżej urwałem cy-

■ tutaj — nizej dokończenie cytatu: „*Mówi się wprawdzie o rewolucjach pałacowych, by uwydatnić gwałtowność zmiany rządu, ale na ogół przeważa dziś tendencja do utożsamiania rewolucji z r e w o l u c j ą s p o ł e c z n ą i odróżniania jej, z jednej strony, od przewrótów i zamachów stanu, które prowadzą do zmiany ekipy rządzącej bez naruszania całości systemu społecznego, z drugiej strony od buntów i rebelii, które wprawdzie dają ujście społecznemu niezadowoleniu, nie pociągają jednak za sobą istotnych zmian systemowych*”.

Jeśli tak — jeśli identyfikujemy dzisiaj rewolucję głównie z „rewolucją społeczną” — to mamy właśnie w Europie zachodniej (od Niemiec po Półwysep Pirenejski, i od Wysp Brytyjskich po Półwysep Apeniński) dwie gigantyczne rewolucje: rewolucję islamizującą oraz rewolucję pedalizującą



FOOT ARPIEST NEWS

Stary Kontynent. Paradoksalnie są one przeciwstawne sobie, gdyż dla muzulmanów LGBTQ jest „dziełem szatana”, wszelako na razie nie toczą się kursem kolizyjnym, gdyż każda stara się póki co zawładnąć możliwie dużą liczbą terytoriów/stref (islam) oraz zyskać możliwie dużą akceptację społeczną/prawną (pedryle). W przyszłości musi między nimi dojść do starcia/konfliktu, trudno bowiem zakładać, że czczące Allaha „dzieci Mahometa” dadzą sobie, wzorem gnijących „humanitarnie” starych europejskich społeczeństw, wlepić oficjalną tolerancję wobec homoseksualizmu i kult zbrodni pornosowych.

REWOLUCJI NIE STRASZNY MRÓŻ

Nie jestem wynalazcą określenia „rewolucja islamizująca Europę”, politolodzy od paru lat nazywają tak monstrualną muzulmańską ekspansję na Stary Kontynent; w Polsce bodajże pierwszy uczynił to śp. prof. Bogusław Wolniewicz, mówiąc: „ — Ten konsekwentnie islamizujący Europę najazd ma wszelkie cechy rewolucji etnicznej, politycznej i kulturowej. Nie bez przyczyny prezydent Putin powiedział,

że «dla zahamowania tego islamskiego tsunami, grożącego Europie tożsamościową rewolucją, należałoby stworzyć wielki sojusz euroazjatycki od Gibraltar do Władywostok»” (2015). Rosyjski pisarz Wasilij Aksionow o całą dekadę wyprzedził nie tylko Putina i Wolniewicza, lecz i francuskiego pisarza Houellebecqa, pisząc: „Obca cywilizacja wypowiedziała wojnę chrześcijańskiej cywilizacji, mamy więc światową rewolucję islamską, która będzie gwałtownie rosnąć, co Europa odczuje boleśniej niż inne kontynenty” (2005). Słowo stało się ciałem — Europa „odczuwa” (delikatnie mówiąc) — a najbardziej odczuwają katolicy europejscy. Znaleźli się w swojej pułapce doktrynalno-teologicznej, miłosierdzie chrześcijańskie bowiem każe „kochać bliźniego swego jak siebie samego” nawet jeśli ów bliźni nie darzy nas sympatią. Tymczasem miłosierdzie islamskie zawiera się w obietnicy: „Z woli miłosiernego Allaha, i miłosiernego Mahometa, który jest Jego prorokiem — wymordujemy wszystkich niewiernych”.

Politpoprawny terror lewactwa (Salonu) każe nam kochać również pęczniejące i rozpychające się coraz brutalniej/bezczelniej środowiska LGBTQ, które na naszych oczach dokonują w sposób udany/skuteczny rewolucji zwanej „tęczową rewolucją”, „rewolucją sodomicką”, itp. O postępującym sukcesie tego neomarksisistowsko-nihilistycznego przewrotu mówi instytucjonalizacja jego celów przez prawo coraz większej liczby państw. Prędzej czy później ta nie pączkująca, lecz już kwitnąca całą waginalną gębą rewolucja,

przyniesie ciężką karalność (więcej niż grzywnową — także penitencjarną) „homofobów”, „genderofobów” i podobnych „wsteczników”/„oszołomów” stojących na drodze „postępu”. Rządy sprawować będzie „androgynia” vel obojnactwo, królewskie „trzecia płeć”, czy raczej: nadpłeć. Wieszczem, który kilkadziesiąt lat temu przewidział tę megarewolucję, był Janusz Szpotański:

„A księżna wyszła z założenia, że stan nierównouprawnienia w pradawnych czasach miał przyczynę, gdy skasowano «androgynę».

Dawniej ród ludzki, obojnaczy, nie wiedział zgoła co płeć znaczy, i w precudownej żył harmonii, nie znając żadnej hegemonii.

Aby usunąć zła przyczynę, trzeba przywrócić «androgynę», skalpelem lub przez naświetlanie, lecz muszą mieć penis panie.

Księżę małżonek, bierny pedał, księżnej w tym związku szczęścia nie dał; choć wzięta go pod obcas buta, stale jej brakowało fiuta.

«Phallus» ogromny jej się marzył, jak u rosyjskich marynarzy, którzy nim ciągną parowozy, gdy transport utrudniają mrozy”.

Złośliwie metaforyzując można uznać, iż te parowozy ciągnięte przez matrosów to są właśnie rewolucyjne „lokomotywy Historii”, z których sztychł Danilo Kiś (vide motto eseju). ©©



Alfred Rethel, „Śmierć na barykadzie rewolucjonistów” (1849)



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Francuzi a Katyń

Przez ostatnich 76 lat na temat Katynia napisano tysiące książek i artykułów. Zbadano i opisano najdrobniejsze szczegóły tej potwornej zbrodni. Czy zatem można o Katyniu napisać jeszcze coś nowego? Thomas Urban – wieloletni korespondent niemieckiej prasy w Polsce – udowodnił, że tak.

Jego „Katyń” to pasjonująca opowieść nie tyle o samym mordzie, ile o kłamstwie na jego temat. O tym, jak Sowieci fałszywie oskarżyli o zgładzenie polskich oficerów Niemców. I jak w kłamstwo to uwierzyli niemal wszyscy. Gazety i agencje prasowe całego świata bezkrytycznie powtarzały sowiecką wersję wydarzeń. Wszystkich, którzy ośmielali się wskazać na NKWD jako prawdziwych sprawców zbrodni, oskarżały o szerzenie „faszystowskiej propagandy” i wysługiwanie się Hitlerowi.

W kłamstwach tych przodowali oczywiście pożyteczni idioci. Czyli zakochani w komunizmie zachodni (głównie amerykańscy) dziennikarze. Taki był zresztą interes wielkich mocarstw. Związek Sowiecki był kluczowym sojusznikiem w walce z Niemcami i nic nie mogło zepsuć zgodnej współpracy koalicji. A już szczególnie los polskich oficerów. Tak, wielka polityka

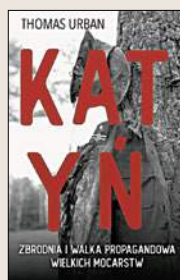
to brutalna gra. Słabi nie mają w niej głosu.

W książce Thomasa Urbana najbardziej zaskoczyły mnie fragmenty poświęcone reakcji na odkrycie grobów katyńskich gen. Charles’a de Gaulle’a i francuskiego rządu emigracyjnego. Okazuje się, że od samego początku „wolni Francuzi” stanęli murem po stronie Stalina. Dziennik „L’Echo d’Alger”, tuba propagandowa de Gaulle’a, ogłosił: „Polacy zostali zamordowani przez Niemców”. Bez komentarza przedrukowywał plugawo, kłamliwe komunikaty sowieckiej agencji TASS.

Bardzo przyzwoicie w tej sprawie zachował się z kolei reżim Vichy. Wydawana przez niego prasa pisała o Katyniu prawdę. Po wojnie rząd de Gaulle’a nie zmienił swojego stanowiska. Nadał tytuł doktora honoris causa sowieckiemu prof. Nikołajowi Burdence, który stał na czele katyńskiej łże-komisji stworzonej przez Moskwę. A Francuzów, którzy w trakcie wojny pisali o Katyniu prawdę, rząd de

Gaulle’a bestialsko prześladował. Jednego z nich, Roberta Brasillacha, skazał nawet na karę śmierci.

Zawsze uważałem, że stojący w Warszawie pomnik de Gaulle’a powinien zostać usunięty. Znakomita książka Thomasa Urbana potwierdziła tę opinię. ©©



★★★★★
THOMAS URBAN
„KATYŃ”
BELLONA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Warszawskie Towarzystwo Muzyczne

Z różnych względów (politycznych i finansowych) aż do 1901 r. stolica nie posiadała filharmonii i życie muzyczne miasta zależało od inicjatyw prywatnych i społecznych. Nie było też stałej orkiestry (nie licząc zespołu Teatru Wielkiego ani sali koncertowej z prawdziwego zdarzenia). Wynajęcie Sal Redutowych Teatru Wielkiego okazywało się często zbyt kosztowne, natomiast pomieszczenia Resursy Kupieckiej czy Obywatelskiej nie były przystosowane do koncertów. Wprawdzie istniała sala koncertowa w Dolinie Szwajcarskiej (teren pomiędzy dzisiejszymi: Piękną, al. Róż i Chopina), ale problemem była odległość od centrum miasta. Dla przeciętnego warszawiaka wyjazd do Doliny w sezonie jesienno-zimowym był poważną wyprawą, gdyż komunikacja miejska dopiero zaczynała funkcjonować. Z tego też powodu popularność Doliny ograniczała się niemal wyłącznie do sezonu letniego.

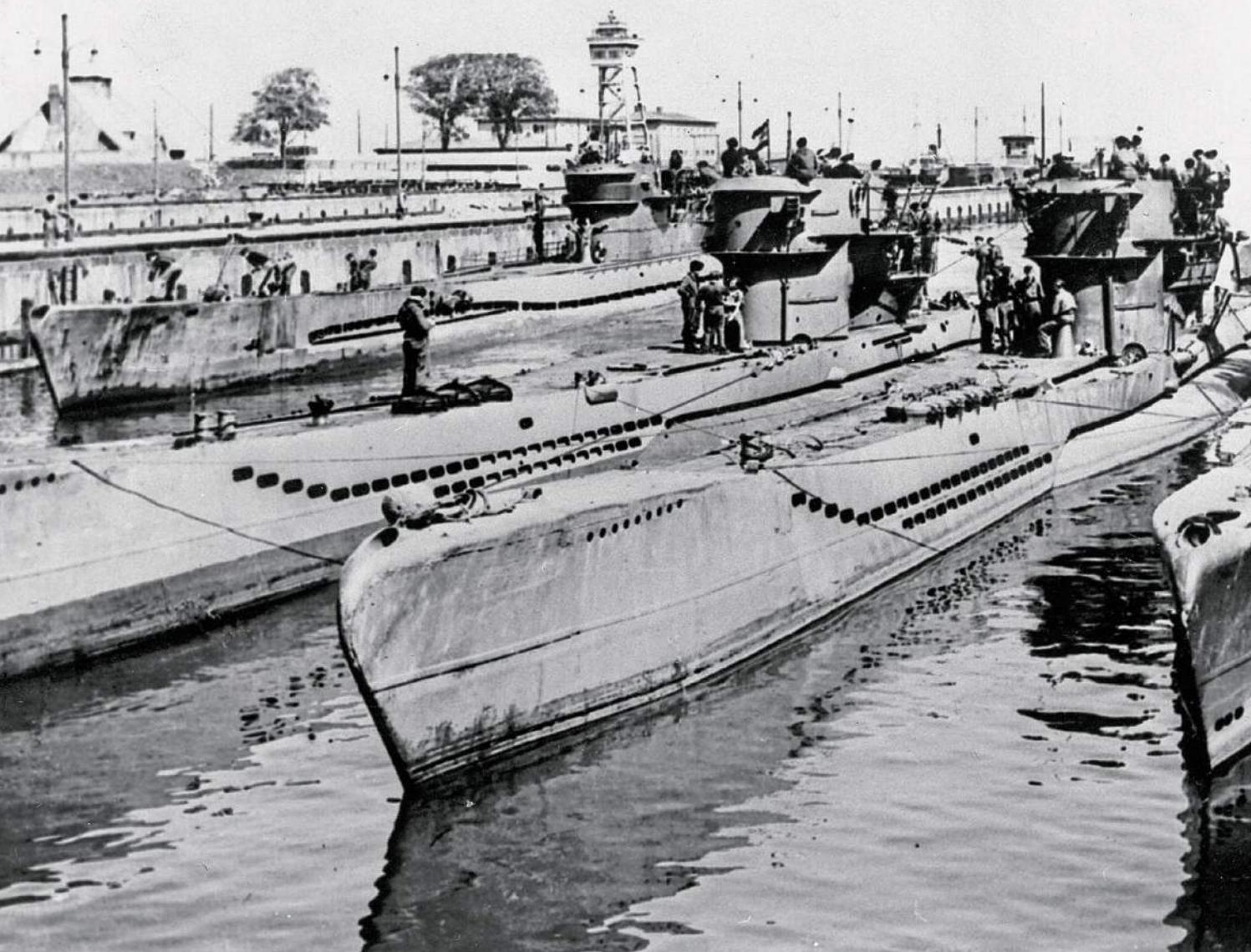
Jeszcze większym problemem był brak instytucji zajmującej się organizacją życia muzycznego. Z tego powodu 15 stycznia 1871 r. powołano do życia Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, którego celem miały być popularyzacja i edukacja miejscowych melomanów. Instytucja miała działać wśród znawców i amatorów, a cele statutowe planowano osiągnąć poprzez „klubowo-towarzyski charakter stowarzyszenia łączony

z działalnością artystyczną”. Statut narzucał konieczność organizacji ponad 30 koncertów rocznie, z czego dwa–trzy miały mieć charakter typowo symfoniczny z udziałem orkiestry Teatru Wielkiego. Zapraszano gości z zagranicy, występowali miejscowi wirtuozowie, ale zdarzały się też koncerty typowo amatorskie. Głównym miejscem koncertowym Towarzystwa były Sale Redutowe Teatru Wielkiego.

Warto też pamiętać o próbach popularyzacji muzyki przez działania osób prywatnych. W latach 60. niedzielne poranki muzyczne w swoim domu organizował wydawca „Gazety Muzycznej i Teatralnej” Tomasz Le Brun. Natomiast od 1875 r. odbywały się poniedziałki artystyczne w lokalu „składu fortepianów, pianin i melodyk firmy Gebethner i Wolff”. Uczestniczyła w nich czasem orkiestra Teatru Wielkiego, a liczba gości dochodziła do 200.

Znacznie mniej eksponowanym miejscem, ale prezentującym najwyższy poziom artystyczny, był dom dyrektora Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego – Aleksandra Zarzyckiego. Regularnie grywał w nim doskonały kwartet złożony z pedagogów Instytutu Muzycznego. Pomimo jednak wysiłków WTM i osób prywatnych życie muzyczne stolicy było dość ubogie i dopiero powołanie w 1901 r. Filharmonii Warszawskiej miało ten stan rzeczy zmienić... ©©

Koniec świata U-Bootów



Luksusowa willa z ogromnym basenem, gdzieś na wzgórzach nad Los Angeles. Bogata Amerykanka opala się w efektownym kapeluszu i skąpym bikini. W tle służba gotowa na każde skinienie. Nagle pośrodku basenu wynurza się wieżyczka niemieckiego U-Bootu. Nieogoleni oficerowie Kriegsmarine, z żelaznymi krzyżami



Piotr Semka

U-Booty były czarnymi charakterami zbiorowej wyobraźni aliantów. Trudno się dziwić legendom o łodziach pływających jeszcze długo po wojnie po morzach całej kuli ziemskiej. Ile w nich było prawdy?



Niemieckie okręty podwodne w porcie Wilhelmshaven przed oficjalnym przekazaniem Aliantom, maj 1945 r. FOT. GETTY IMAGES

protestów. Jednak jest w niej echo bardzo uporczywych legend o hitlerowskich U-Bootach błaskających się jeszcze długo po wojnie i widzianych w najdziwniejszych zakątkach świata. Ile było w nich prawdy?

ZMIERZCH WILCZYCH STAD

Wiosną 1945 r. niegdyś wielka flotylla U-Bootów była już tylko cieniem dawnej potęgi. Historycy szacują, że u schyłku wojny Kriegsmarine posiadała jeszcze 379 łodzi podwodnych.

Przełom na rzecz aliantów nastąpił w połowie 1943 r., gdy tonaż zatopionych statków zaczął spadać, a rosnąć zaczęła liczba upolowanych U-Bootów. Anglicy i Amerykanie szybko doskonalili techniki niszczenia łodzi podwodnych za pomocą coraz lepszych aldisów i coraz skuteczniejszych bomb głębiowych. Niemcy od lat skupiali się na ulepszaniu konstrukcji okrętów i torped, próbując dbać, by nie szkodziło to liczebności podwodnej floty. Najdoskonalszą generację U-Bootów, tzw. typ XXI, wprowadzono do produkcji w końcu wojny, tak że pierwsze egzemplarze tej serii podejmowały służby dopiero w marcu 1945 r. Najważniejszą nowinką były nowe typy akumulatorów i potężne silniki elektryczne umożliwiające długie podróże podmorskie bez potrzeby wynurzeń. U-Booty najnowszej generacji poruszały się znacznie szybciej pod wodą niż na jej powierzchni.

Cudami podwodnej techniki były pasywny system sonarowy oraz nowatorska „turbina Waltera”. Rozwiązania te kopiować będą alianci po wojnie w swoich konstrukcjach.

30 kwietnia 1945 r. adm. Karl Dönitz, który przejął władzę nad resztką III Rzeszy po samobójstwie Adolfa Hitlera, wydał rozkazy zaprzestania walki dowódcom pozostałych jeszcze w akcji U-Bootów. Okręty miały zostać zatopione przez załogi, aby żadna nie wpadła w ręce aliantów.

Jak pisał na łamach „Die Welt” historyk Berthold Seewald: „Cztery dni później Dönitz zmuszony był odwołać swój rozkaz, aby nie zagrozić trwającym negocjacjom w sprawie kapitulacji z zachodnimi aliantami. U-Booty miały wracać od swoich baz i poddawać się aliancom lub czynić to w miejscu swej ostatniej aktywności. Sygnałem kapitulacji uzgodnionym między dowództwem Kriegsmarine a aliantami miały być po wynurzeniu wyraźne czarne flagi”.

Brytyjski pisarz morski Nicholas Monsarrat tak opisał ten moment: „Pokonany

wróg wychodził na powierzchnię. Na całym rozległym Atlantyku niemieckie okręty podwodne, gdziekolwiek pełniły służbę lub tylko szukały kryjówek, teraz opuszczały głębiny, uznając koniec wojny. Niektóre powodowane zawziętością lub poczuciem winy ginęły z ręki załogi lub uciekały, szukając schronienia, którego nigdzie nie miały znaleźć. Najczęściej jednak robiły to, co kazano im robić, najczęściej wciągały czarne flagi na znak poddania, podawały swoje pozycje i czekały na rozkazy. [...] Czasami warczały z niepokoskromionej złości, a czasem przyjmowały z wdzięcznością rozejm, którego same nigdy nie chciały ofiarować innym okrętom i innym marynarzom”.

Seewald pisze: „Wielu kapitanów zignorowało odwołanie lub go nie otrzymało. Tak się złożyło, że ok. 220 okrętów podwodnych zostało zatopionych przez ich załogi. Choć sytuacja była bardzo dramatyczna, to załogi U-Bootów zwykle potrafiły się uratować”.

Zwycięzcom przekazano 156 okrętów podwodnych. Pod koniec października 1945 r. komisja złożona z Amerykanów, Brytyjczyków i Sowieców zdecydowała, że zdobyte jednostki powinny zostać zniszczone „jak najszybciej”.

Tak rozpoczął się proces niszczenia U-Bootów znany jako operacja „Deadlight”. Na podwodne cmentarzysko łodzi podwodnych wybrano miejsce na Atlantyku, ok. 100 mil morskich na północny zachód od Irlandii. Głębokość wody miała być mniejsza niż 100 m. Układ prądów i grzaskie podłoże tamtego rejonu oceanu gwarantowały, że U-Booty zalegną tam na stałe. Nikt oczywiście nie topił najnowocześniejszych łodzi typu XXI. Te skrupulatnie badano, aby skopiować ich nowatorskie rozwiązania na potrzeby własnych jednostek. Od 25 listopada 1945 r. resztki po flocie podwodnej Hitlera – łącznie 116 łodzi – były holowane grupami na pełne morze. Wiele jednostek zginęło już podczas podróży na wzburzonym morzu, ponieważ uległy uszkodzeniu. Trzeba je było zatopić na miejscu. Reszta stała się celem artylerii brytyjskich i polskich krążowników oraz niszczycieli 12 lutego 1946 r. Polską flotę reprezentowały ORP „Błyskawica”, „Garland”, „Krakowiak” i „Piorun”. Trzy dni przed terminem zakończenia operacji „Deadlight” zatonał ostatni okręt podwodny – był to U-3514.

WILKI Z NAJGORSZĄ SŁAWĄ

Legendom o hitlerowskich U-Bootach pływających jeszcze długo po wojnie

zawieszonymi na szyjach, rozglądają się ciekawie, gdzie trafili. Amerykanka, jak przystało na dobrą gospodynię, częstuje niespodziewanych gości koktajlem. Służący brnie przez wodę z tacą pełną oszronionych drinków...

Ta surrealistyczna reklama jednego z włoskich wermutów z początku lat 70. dziś pewnie wzbudziła by znacznie więcej

■ po morzach całej kuli ziemskiej trudno się dziwić. U-Booty były czarnymi charakterami zbiorowej wyobraźni oficerów i marynarzy brytyjskiej Royal Navy i US Navy. W czasie najgorszych lat bitwy o Atlantyk załogi konwojów widziały lub słyszały o dziesiątkach przykładów bestialstwa załóg U-Bootów. Ocaleni z katastrof marynarze brytyjscy dobrze pamiętali sytuację, gdy po storpedowaniu statków z pokładowych ckm-ów rozstrzelivano rozbitków. Jak salwą z działka topiono szalupy. W większości wypadków kapitanowie zmuszonych do wynurzenia się niemieckich łodzi podwodnych zachowywali się wobec Anglików i Amerykanów z wyzywającą pewnością siebie, zdradzającą nazistowski fanatyzm.

Ponadto, jak pamiętano z lat wojny, U-Booty potrafiły pojawiać się i atakować w tak egzotycznych rejonach jak Karaiby, wody Ameryki Północnej czy na Pacyfiku. Nic dziwnego, że zakładano, iż część załóg pod dowództwem najbardziej zajadłych nazistów może bądź walczyć do końca, bądź próbować uciec do Ameryki Południowej lub Azji.

Bardzo długo legendy głosiły, że specjalny U-Boot wywiózł Hitlera do Ameryki Południowej, podczas gdy w Kancelarii Rzeszy pozostawiono jedynie trupa jego dublera. W innych sensacyjnych tekstach angielskiej prasy bulwarowej po wojnie pisano o U-Boatach wywożących wysokich oficerów SS i gestapo do Argentyny, Chile i Brazylii.

Po prostu nikt nie mógł łatwo uwierzyć, że nazistowska elita mogła nie skorzystać z tak wygodnego środka komunikacji transatlantyckiej, jakim były U-Booty zdolne do przemierzania długich tras w zanurzeniu i nadające się idealnie do ucieczki z walącej się w gruzy III Rzeszy.

Według badaczy ucieczka z Niemiec do Ameryki Południowej udała się tylko dwóm łodziom podwodnym.

KIERUNEK LA PLATA

Pierwszy z nich to U-530, okręt szkolny dowodzony od stycznia 1945 r. przez Oberleutnanta Ottona Wermutha. Dowódca okrętu nie usłuchał wezwania adm. Karla Dönitza do poddania się aliantom, tylko postanowił płynąć z okolic Ameryki Północnej, gdzie zastał go koniec wojny, w kierunku Ameryki Południowej. U-Boot przez dwa miesiące niepostrzeżenie płynął na południe, by wynurzyć się i skapitulować wobec Argentyńczyków 10 lipca 1945 r. u ujścia rzeki La Plata do Atlantyku.

Cała ta śmiała epopeja ogarnięta jest do dziś mgłą tajemnicy.

Dowódca odmówił wyjaśnień, co działo się w czasie dwóch miesięcy, głównie podwodnej podróży, i nie wyjaśnił, co się stało z okrętowym działem. Milczał, gdy pytano, co się stało z dziennikiem pokładowym i dlaczego załoga pozbyła się identyfikatorów wojskowych.

Brazylijski admirał Jorge Dodsworth Martins wyraził po latach opinię, że jego zdaniem U-530 mógł zatopić krążownik „Bahia”, choć późniejsze śledztwo wykazało, że brazylijski okręt zatonął wskutek wybuchu amunicji.

Jeden z argentyńskich dziennikarzy ogłosił potem, że widział ściśle tajny raport policji z Buenos Aires, która sygnalizowała prezydentowi Edelmiro Farrellowi, że przed kapitulacją tajemniczy okręt podwodny miał wynurzyć się u wybrzeży południowej Argentyny i wysadzić na brzeg wysokiego stopniem oficera i kobietę. Szukające sensacji media skojarzyły to z parą: Adolf Hitler i Ewa Braun. U-Boota internowano, a sam okręt oddano Amerykanom. Wermutha wraz z całą załogą przewieziono do USA, gdzie jeszcze długo byli przesłuchiwanii. Po pewnym czasie poinformowano, że U-530 został zatopiony 18 listopada 1947 r., służąc jako cel ćwiczebny dla artylerii amerykańskiej. Otto Wermuth wrócił w końcu z amerykańskiej niewoli do Niemiec i zmarł w zapomnieniu w wieku 91 lat, w 2011 r.

17 sierpnia 1945 r. do argentyńskiego portu Mara del Plata wpłynął inny uciekinier z Europy – hitlerowski U-Boot U-977 pod dowództwem kpt. Heinza Schäffera. I w tym wypadku niewiele wiadomo o szczegółach 66-dniowej przeprawy z Europy do Argentyny.

I w tym wypadku zastanawiano się, czy łódź nie wywiozła czy to planów tajnych broni, czy dygnitarzy III Rzeszy. Służby argentyńskie bardzo długo przesłuchiwały dowódcę okrętu, a potem wydały go w ręce Amerykanów. Schäfer trafił do obozu w Waszyngtonie dla jeńców niemieckich o wyjątkowym znaczeniu. Jego okręt także przekazano Amerykanom. Zakończył swe istnienie 13 listopada 1946 r., służąc US Navy jako okręt-cel. W tym samym roku załogę U-977 zwolniono z niewoli i odesłano do domu.

WYMARZENI DO LEGEND

Motyw zagubionego, ale wcale przez to nie mniej groźnego U-Boota jeszcze długo zapładniał wyobraźnię pisarzy, dziennikarzy i filmowców.

W 1971 r. powstał amerykańsko-brytyjski dramat wojenny „Prywatna wojna Murphy’ego”, który wyświetlany był także w Polsce. Akcja filmu dzieje się na wybrzeżu Wenezueli w ostatnich dniach drugiej wojny światowej. Irlandczyk nazwiskiem Murphy jest jedynym ocalałym marynarzem z brytyjskiego okrętu „Mount Kyle” zatopionego mimo końca wojny przez niemiecką łódź podwodną. Cała reszta załogi statku poza Murphym została wymordowana z zimną krwią ogniem z broni pokładowej niemieckiej jednostki. Wyrzucony na brzeg marynarz trafił do niedużej chrześcijańskiej misji kwaków prowadzonej u ujścia rzeki Orinoko. Murphy zapamiętał, że U-Boot wpłynął do ujścia rzeki, i jest przekonany, że niemiecka jednostka wciąż się tam znajduje. Chcąc pomścić śmierć kolegów, zaczyna szukać U-Boota. Razem z francuskim nafciarzem remontują rozbity hydroplan i budują łódź torpedową, za pomocą której topią po wielu perypetiach obcego agresora. Jednak w odróżnieniu od wspomnianej na początku tego tekstu reklamówki Campari w filmie załoga U-Boota to fanatycy mordujący bez skrupułów wszystkich, którzy staną im na drodze.

I ten rys stylu bycia załóg U-Bootów uwieczniony w filmie nie był już legendą. Właśnie z tego powodu długo jeszcze nikt nie mógł uwierzyć, że okrutne wilki tak szybko porzucą walkę.

Jest jeszcze jedno możliwe wyjaśnienie powojennych gazetowych sensacji o zauważaniu niemieckich łodzi podwodnych na morzach i oceanach.

Amerykanie i Sowieci z ogromnym zainteresowaniem badali i testowali zdobyte U-Booty najnowszej XXI generacji. Dalekomorskie próby musiały odbywać się z zachowaniem najściślejszej tajemnicy, bez jakichkolwiek oznaczeń i przy unikaniu kontaktów z jednostkami z innych krajów. Nic dziwnego, że gdy ludzie morza, szczególnie ci znający hitlerowskie łodzie z lat wojny, mogli widzieć znajome kształty i kojarzyć je bardziej z nazistami niż ze zwycięzcami drugiej wojny światowej. A marynarskie legendy o podwodnych zjawach pełnych zajadłych nazistów czy ucieczce Hitlera i Ewy Braun U-Bootem do Ameryki Południowej doskonale pasowały do biesiad zakrapianych rumem w portowych tawernach. Pod tym względem ludzie morza nie zmieniają się od wieków.

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
Szokujące kulisy
katastrofy
w Czarnobylu!



Tomasz Stańczyk – Jak AK zdobyła plany V-1 i V-2
Władysław Bułhak – Polski wywiad kontra III Rzesza
Jacek Bartosiak – Tannenberg 1914
Piotr Zychowicz – Strażnicy GUŁAG-u mówią
Andrew Nagorski – Dlaczego Hitler przegrał wojnę?
Sławomir Koper – Największa strzelanina II RP
Marek Gałęzowski – Pucz przeciwko Dowborowi
Nikołaj Iwanow – Obcięte uszy Stalina
Leszek Lubicki – Zbrodnie Konrada Mazowieckiego

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Sabaudowie chcą wrócić

Oroszczeniu sobie praw do tronu oczywiście nie może być mowy, bo Sabaudowie oficjalnie się ich zrzekli. Jednak powrót rodziny w komplecie mógłby przydać Włochom splendoru w trudnych czasach. Tym bardziej że sentyment do monarchii, a co za tym idzie – także do rodziny królewskiej, wcale nie wygasł. Na pytanie, czy Włochy powinny być królestwem, twierdząco, według instytutu badawczego Istituto Piepoli, odpowiada 15 proc. Włochów. To niemało, zważywszy, że dynastię sabaudzką pozbawiono tronu ponad 70 lat temu.



Teresa Stylińska

Członkowie dynastii sabaudzkiej, przebywający na wygnaniu w Szwajcarii, postanowili na stałe wrócić do Włoch – te informacje zelektryzowały opinię publiczną

Asumpt do snucia rozważań o powrocie dała wypowiedź księcia Emanuela Filiberta, wnuka ostatniego króla Umberto II. Gdyby Sabaudowie nadal rządili, byłby następcą tronu u boku swego ojca,

który panowałby jako Wiktor Emanuel IV. „Mam obowiązek oficjalnie ogłosić powrót rodziny królewskiej. Nadszedł czas, by wrócić, by wnieść spokój, zaufanie i elegancję, potrzebne dzisiaj bardziej niż

Emanuel Filibert, książę Wenecji i Piemontu, podczas uroczystości z okazji 141. rocznicy powołania Gwardii Honorowej Grobu Królewskiego na Panteonie (Rzym, 10 lutego 2019 r.) FOT. GETTY IMAGES



syczny fake news, całkowicie zamierzony i dobrze zrealizowany, jeżeli miarą sukcesu są zainteresowanie i żywe reakcje.

Serial o Windsorach cieszy się ogromnym zainteresowaniem i bez pomocy włoskiego księcia, ale nie od rzeczy wydaje się pytanie, czy przedstawiciel dynastii sabaudzkiej nie powinien się raczej na niej skupić. Dziennik „Il Fatto Quotidiano” w rozmowie z Emanuelem Filibertem – jednej z wielu, które włoskie media przeprowadziły po owym wystąpieniu – pytał, czy nie warto byłoby nakręcić serialu opowiadającego o losach Sabaudów. Ze słów księcia wynika, że trwają już jakieś do tego przymiarki...

Istotnie, materiału jest pod dostatkiem. Sabaudowie mają się czym pochwalić, poczynając od tego, że są jedną z najstarszych dynastii świata. Jej protoplasta, Umberto Biancamano, czyli Hubert Białoręki, rządził Sabaudią na przełomie X i XI w. Na tronie zjednoczonych Włoch dynastia sabaudzka zasiadała wprawdzie tylko 85 lat – od 1961 do 1946 r. – ale to, że liczne włoskie państewka połączyły się w jedno duże państwo, jest jej zasługą. Nieprzypadkowo władca Królestwa Sardynii i Piemontu, Wiktor Emanuel II, który został pierwszym królem Włoch, zachował przy imionach liczbę „dwa”, choć przed nim w państwie włoskim nie było Wiktora Emanuela I. Numerację utrzymano celowo, w dowód uznania dla wkładu Sabaudów w Risorgimento (dosłownie: wynurzenie się), jak we Włoszech nazywa się zjednoczenie.

OSIEMNAŚCIE PAŁACÓW

Na ślady dynastii sabaudzkiej można się natknąć w wielu miastach świata, choć mało kto ma tego świadomość. Savoy – często spotykana nazwa hoteli – nie tylko znaczy „Sabaudia” po angielsku, ale ma ścisły związek z jednym z przedstawicieli rodu. Pierwszy superluksusowy Savoy w Londynie wybudowano bowiem na terenie, który w XIII w. król Henryk III podarował hrabiemu Pietro di Savoia, wujowi swej żony Eleonory, który wraz z nią przybył do Anglii. Pietro wrócił do Sabaudii, ale nazwa przetrwała.

W dziejach dynastii nie brakuje wydarzeń ważnych, ciekawych i dramatycznych. To dzięki Sabaudom we Włoszech znalazł się Całun Turyński – płótno, w które miało zostać owinięte ciało Chrystusa przed złożeniem do grobu. Gdy w 1562 r. książę Emanuel Filiberto przenosił stolicę Sa-

baudii z Chambery do Turynu, przetransportowano również Całun, umieszczony później w specjalnej kaplicy przy katedrze św. Jana. Godne odnotowania są więzy z Francją (małżeństwa Sabaudów z Burbonami były na porządku dziennym), a także wojny. Sabaudowie zainicjowali pierwszą na terenie Włoch konstytucję. Statut albertyński, przyjęty w 1848 r. i nazwany tak od imienia króla Carlo Alberto, stał się później konstytucją Włoch. Odnotujmy też śmierć króla Umberto I, który zginął z rąk zamachowca w 1900 r.

Sabaudowie są nierozłącznie związani z Turynem, którego rozbudowę zlecieli znakomitym architektom. W efekcie powstało piękne, starannie zaplanowane miasto, w którym tradycję sabaudzką widać na każdym kroku. O dawnych władcach przypominają nazwy ulic, placów i bulwarów: Vittorio Emanuele, Carlo Felice, Emanuele Filiberto, Carlo Emanuele, Vittorio Amedeo, Carlo Alberto, Principe Eugenio, Duca d'Aosta... Z Turynu Sabaudowie zarządzili Piemontem (a także, krótko, Sycylią, później zaś Sycylią, z którą Piemont w 1720 r. połączył się w jedno królestwo) przez ponad 300 lat, podczas gdy w Rzymie rezydowali zaledwie 75 lat; stolicą Włoch Rzym został – po Turynie i Florencji – dopiero w 1871 r.

No i pałace. W samym Turynie i okolicach jest aż 18 sabaudzkich pałaców, które znalazły się na liście UNESCO jako całość. Nie są to małe pałacyki, lecz okazałe czy wręcz potężne rezydencje, znane daleko w świecie. Któż nie słyszał o Rivoli? Ten leżący na obrzeżach Turynu zameczek nie przetrwał w nienaruszonym stanie, ale jego stare mury stanowią efektowne tło dla zbiorów sztuki współczesnej. Albo Stupinigi – pałacyk myśliwski, którego obraz, z górującą nad budowlą figurą jelenia, widnieje na wielu włoskich towarach.

MAKARON Z „PRINCE OF VENICE”

Emanuel Filibert di Savoia, książę Wenecji i Piemontu (ten ostatni tytuł zwyczajowo przysługuje następcy tronu), ma 47 lat, urodził się w Genewie, tu skończył szkołę i studia, a później pracował w jednym z banków, gdzie zajmował się funduszami hedgingowymi. To jednak przeszłość. Księcia – jeśli sądzić po tym, co robi – cechuje wysoko rozwinięty zmysł przedsiębiorczości. Emanuel Filibert prowadzi rozmaite interesy, ma firmy, takie jak biżuteryjna AristoCrazy, inwestuje i niekoniecznie zważa na swe królewskie pochodzenie.

kiedykolwiek” – ogłosił książę w nagrany wcześniej wystąpieniu telewizyjnym.

KRÓLEWSKI FAKE NEWS

Chociaż tę deklarację powszechnie odebrano jako początek nowego rozdziału w życiu Sabaudów, to nie brakowało sceptyków, którzy podejrzewali, że musi tu być jakieś drugie dno. I mieli rację. Wypowiedź księcia szybko okazała się zwykłą, choć – trzeba przyznać – dość wyrafinowaną reklamą. Chodziło o rozbudzenie zainteresowania trzecim sezonem serialu „The Crown”, który parę dni później miał się pojawić w ofercie Netflix. Był to kla-

■ Czy księciu z królewskiego rodu przystoi bowiem prowadzenie street foodu? Tymczasem Emanuel Filibert przed trzema laty założył w Los Angeles firmę, która serwuje prawdziwe włoskie dania – tylko makarony! Z przyczepą pod nazwą „Prince of Venice” oczywiście. Ważne są jakość i cena, twierdzi książę, wyjaśniając, że ofertę kieruje „do młodych ludzi, którzy mają ograniczony czas i środki i których nie stać na jedzenie w restauracji”.

Dawniej taki interes wzbudziłby pewnie w wielkim świecie zgorszenie. Dzisiaj nic takiego się nie dzieje. Co prawda, Włochy to jeden z tych krajów, w których jedzenie jest dobrem narodowym, poczynania przedstawiciela dynastii mogą więc być odbierane jako działanie patriotyczne. Emanuel Filibert dał zresztą wyraz szczeremu przywiązaniu do kuchni włoskiej już z chwilą, gdy po raz pierwszy postawiwszy stopę w ojczyźnie, ujął, co jest jego wielkim marzeniem: zjeść prawdziwą pizzę w Neapolu.

Książę nie ma też oporów przed show-biznesem ani udziałem w reklamach, np. oliwek, po których zjedzeniu – jak ogłaszał na ekranie – człowiek „czuje się jak król”. To skądinąd doskonały sposób, by opinii publicznej stale o sobie przypominać. I na tym polu Emanuel Filibert bezsprzecznie odnosi sukcesy. Największy w 2009 r., gdy zajął pierwsze miejsce w telewizyjnym programie „Ballando con le stelle”, czyli w „Tańcu z gwiazdami”. Rok później na festiwalu piosenki w San Remo był drugi. Od tego czasu niezmiennie udziela się w telewizji, prowadząc programy typu reality show.

Emanuel Filibert jest żonaty z francuską aktorką Clotilde Courau. Ślub odbył się w Rzymie jesienią 2003 r. Decyzja parlamentu, który rok wcześniej uchylił zakaz wjazdu na terytorium Włoch, przez 56 lat obowiązujący wszystkich męskich przedstawicieli dynastii, nie była zwykłym gestem dobrej woli. Wiktor Emanuel, książę Neapolu, po śmierci Umberto II głowa Casa Savoia, bardzo o to zabiegał, występując nawet w tej sprawie do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Trzy miesiące po ślubie Emanuel Filibert i Clotilde na świat przyszła pierwsza córka książęcej pary, Vittoria. Media odnotowały oczywiście, że panna młoda była w zaawansowanej ciąży, ale nie był to już czas, gdy coś takiego mogło skończyć się skandalem. O wiele większy szok wywołały zarzuty pod adresem Wiktora

Emanuela, podejrzanego o kontakty mafią i zapewnianie prostytutkom kasyn w Szwajcarii. Książę Neapolu trafił nawet do więzienia, z braku dowodów został jednak uniewinniony przez sąd.

NIE W BYLE GROBIE

Co roku 2 czerwca w całych Włoszech, od Lombardii do Sycylii, odbywają się imprezy, parady, koncerty i spotkania, składane są wieńce i wygłaszane przemówienia. W Rzymie otwarte zostają podwoje Kwirynału, siedziby prezydenta, a kulminacyjnym punktem uroczystości jest przelot myśliwców ciągnących za sobą smugi w barwach „tricolore” – włoskiej flagi. To Dzień Republiki Włoskiej – rocznica referendum z 1946 r., które położyło kres istnieniu monarchii. Ustanowienie republiki poparło 54 proc. głosujących.

Czy musiało tak być? Gdyby nie fatalne działania Wiktora Emanuela III, być może Włochy nadal byłyby królestwem. Referendum zapewne w ogóle by się nie odbyło, a jeśli nawet, to wynik mógłby być inny. Król, wnuk twórcy zjednoczonych Włoch, popełnił jednak błędy, których naród mu nie wybaczył.

Sabaudowie rzekli się roszczeń do tronu, ale to nie znaczy, że nie mogą uprawiać działalności politycznej

Główny zarzut dotyczył współpracy z Mussolinim: Wiktor Emanuel nie próbował powstrzymać faszystów i nie bronił demokracji. W 1922 r., po marszu „czarnych koszul” na Rzym, wbrew radom, by wprowadzić stan wyjątkowy, powierzył Mussolinimu stanowisko premiera, a w 1938 r. podpisał ustawy antyżydowskie. Opinia monarchii bardzo na tym ucierpiała i król, świadom tego, próbował ratować sytuację, pod koniec wojny oddając de facto rządy swemu synowi Umberto. W ostatniej niemal chwili, gdy trwały już przygotowania do referendum, zdecydował się na abdykację. Było jednak za późno.

Umberto II, zwany Majowym Królem, bo objął tron 9 maja, panował zaledwie 34 dni. Od 12 czerwca monarchia przestała istnieć. A powojenna konstytucja zamknęła przed Sabaudami drzwi do Włoch.

Jak żywe są dawne urazy, dowodzą kontrowersje wokół sprowadzenia ciała Wiktora Emanuela III, który zmarł w 1947 r. w Egipcie. Wielu uważało, że pochówek we Włoszech nie należy się władcy, który nie sprostął wyzwaniom czasów. Zarzut, że „zdradził konstytucję”, stanowił koronny argument przeciwko pochowaniu go w Panteonie, choć Emanuel Filibert, protestując, podkreślał, iż „król nie może być pochowany w byle grobie”. Ostatecznie Wiktor Emanuel spoczął w sanktuarium Vicoforte w Piemontie, obok swej żony Eleny, księżniczki czarnogórskiej. Umberto II zmarł w 1983 r. w Cascais w Portugalii. Nigdy nie wyrzekł się praw do tronu.

20 PROC. GŁOSÓW?

Tylko w polityce Emanuel Filibert nie może się pochwalić żadnym sukcesem, choć nie czeka nań z założonymi rękami. Dwukrotnie starał się o mandat do parlamentu – raz włoskiego, a raz europejskiego – ale bez powodzenia. Być może dlatego, że choć jest osobą znaną, to nie dysponuje solidnym zapleczem politycznym. Włoska Unia Monarchistyczna (UMI) popiera Amadeo, księcia Aosty, z innej linii Sabaudów. To jego, gdyby to w ogóle było możliwe, chciałaby widzieć na tronie Włoch.

Sabaudowie rzekli się roszczeń do tronu, ale to nie znaczy, że nie mogą uprawiać działalności politycznej. Mają przecież takie same prawa jak wszyscy obywatele. A czy potrafią? Emanuel Filibert, gdy ubiegał się o mandat w europarlamencie, podkreślał, że ma wszelkie kwalifikacje, by być w polityce. „Przez 31 lat żyłem na emigracji i dobrze znam Europę. Mówię pięcioma językami. Połowę głów państw znam osobiście, a z drugą połową jestem spokrewniony” – tłumaczył brytyjskiemu dziennikowi „Guardian”.

Teraz więc rozważa założenie własnego monarchistycznego ugrupowania, w którym miałby oparcie. Czy mogłoby się ono przełożyć na poparcie na większą skalę? Jest przekonany, że tak i że jako polityk nie byłby bez szans. Gdyby było inaczej, czy deklaracja o powrocie królewskiej rodziny zrobiłaby aż takie wrażenie? „Tego się nie spodziewałem – mówił w wywiadzie dla »Il Fatto Quotidiano« –. Moje nagranie obejrzano miliony razy. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkich, którzy odebrali je przychylnie, sądzę, że mógłbym liczyć na 20 proc. głosów. Nie byłyby to głosy za powrotem monarchii, lecz za czymś całkiem nowym”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



WŁOSKA „SZOPKOFOBIA”

Włosi są zdziwieni i przerażeni tym, co dzieje się w ich kraju. W tym roku doszło do kilkudziesięciu aktów wandalizmu wymierzonych w bożonarodzeniowe szopki. W Ivrei podpalono dwie szopki przy kościołach, w opactwie Polirone chuligani wyjęli figurkę Jezusa i powiesili ją głową w dół na słupie, w Ovada szopkę połamano i wrzucono do jeziora, a w Senigallii szopkę z piasku zniszczono utrwalając chuligański akt na Instagramie. Sami Włosi okrzyknęli to zjawisko mianem „szopkofopii”.

FOT. ADOBE STOCK

PROFANACJA ARTYSTYCZNA

W Niemczech, podobnie jak we Włoszech, doszło do rozmontowania szopek bożonarodzeniowych. Z co najmniej 15 kościołów zniknęły figury Trzech Króli. Okazało się, że to „akcja artystyczna”. Niemieccy artyści w działaniu „Wykluczeni – Trzej Królowie u bram Europy” po zabranii figurek wypisywali w Internecie, że jeden z królów utknął na wyspie Lesbos, a inny jest przetrzymywany w ośrodku detencyjnym w Deggendorfie. W ten sposób zamierzali zwrócić uwagę mieszkańców na trudną sytuację imigrantów w ośrodkach w Europie i na zewnętrznych granicach.

ROD STEWARD NIEPROSZONY

Znany brytyjski piosenkarz wraz ze swoim synem – Seanem – postanowili wejść na prywatną sylwestrową imprezę, na którą nikt ich nie zapraszał. Ponieważ ochroniarze nie zamierzali ich wpuścić, doszło do szamotaniny. Piosenkarz uderzył jednego z ochroniarzy, a jego syn go popchnął. Obaj staną teraz przed sądem. Postawiono im zarzut napaści.

PODPALACZE Z AUSTRALII

Australia płonie. Kraj boryka się z olbrzymią katastrofą, której przyczyną część osób dostrzega w globalnym ociepleniu. Tymczasem australijskie służby zatrzymały już 124 osoby, które nie przestrzegały całkowitego zakazu palenia ognia na terenie Nowej Południowej Walii. Okazało się, że 24 z nich ogień podkładały celowo. Był wśród nich np. mężczyzna, który postanowił w „kontrolowany sposób” zniszczyć ogniem swoją nielegalną plantację konopi indyjskich. Z kolei inny człowiek podłożył ogień w pewnym rejonie aż w siedmiu mieszkach.

ATOMOWE PRZEJĘCZENIE

Premier Izraela Benjamin Netanjahu podczas rządowego posiedzenia stwierdził, że zmieniają „Izrael w potęgę nuklearną”. Tymczasem oficjalnie broni nuklearnej ten kraj nie posiada. Premier Izraela zreflektował się szybko w przejściu i zaznaczył, że chodziło mu oczywiście o „potęgę energetyczną”. ©©

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA



ŁUKASZ WARZECHA

Martwa wiewiórka, pieczony kangur

Pamiętają państwo martwą wiewiórkę w pniu ściętego drzewa – rzekomo za sprawą „lex Szyszko”? Chodziło o jedną z niewielu liberalnych regulacji, uchwalonych przez PiS w poprzedniej kadencji, pozwalającą na wycinanie drzew na własnym terenie bez zgody urzędników. PiS, zgodnie ze swoim etatystycznym przechyłem, szybko się z niej wycofał.

Rychło okazało się, że sprawa jest dęta. Drzewo nie stało na

prywatnym terenie, ale w parku Szcześliwickim, należącym do miasta Warszawy, a zdjęcie wykadrowano tak, żeby nie było widać, że wycięto jedynie spróchniałą gałąź, a nie całe drzewo.

Mam déjà vu, patrząc teraz na zdjęcia rzekomo upieczonych w australijskich pożarach koal czy kangurków. Jak się okazuje – dzięki serwisom weryfikującym fakty – ogromna część z tych fotek powstała kiedy indziej, a nawet gdzie indziej. Oczywiście w po-

żarach zginęło wiele zwierząt – to się dzieje zawsze, gdy płonie australijski busz. Jednak metoda jest ta sama co z wiewiórką: zagrać na najprostszych emocjach, tak aby u widzów wyłączyć myślenie oraz wywołać fanatyczną nienawiść wobec wszystkich, którzy ośmielają się kwestionować święty dogmat o powiązaniu australijskich pożarów z domniemanymi zmianami klimatu.

Żyjemy w epoce śmierci rozumu. ©©

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Czy dla partii VOX skończył się w Hiszpanii czas nałożonego na was „kordonu sanitarnego” i możecie cieszyć się już pełnymi prawami w demokracji?

IVÁN ESPINOSA DE LOS MONTEROS: Wręcz przeciwnie. „Kordon sanitarny” się zacieśnia. Właśnie tego doświadczamy przy obsadzie miejsc w prezydium Kongresu, i to wbrew temu, co nam się słusznie należy z powodu liczby otrzymanych głosów. Nawet pozornie prawicowa Partia Ludowa, najbliższa ideologicznie, zamiast udzielić nam poparcia, wolała obsadzić neokomunistów ze skrajnie lewicowego Podemos w prezydium Kongresu.

Jeśli VOX, jak zwykł się określać, jest partią rozsądku i skrajnej konieczności, to dlaczego wciąż musi udowadniać, że nie jest skrajną prawicą, „faszystami”, co wam się ciągle przypisuje?

Hiszpania jest krajem, w którym od dekad niepodzielnie rządzi lewica, a ta wykonała swoją pracę w kulturze, edukacji, mediach i na uniwersytetach. Od 2004 r., czyli od czasów Zapatero, teoretyczna prawicowa opozycja przegrała wojnę kulturową, a właściwie oddała wszystkie pola, zostawiając sobie tylko zarządzanie ekonomią. Owszem, umiem zarządzać tą sferą, ale faktyczna potulna zgoda na wdrożenie wszystkich postępowych idei uniemożliwiła powrót dyskursu konserwatywnego. Po prostu przeprowadzono rewolucję w latach 2004–2011. Ktokolwiek nie zgadza się teraz z oficjalną doktryną, narzuconym sposobem myślenia, z miejsca staje się „faszystą”. Na nas skupia się furia, ponieważ zaczęliśmy mówić o tematach tabu, o których już nie wolno było rozmawiać – ideologia gender, masowy napływ nielegalnej imigracji. Wywołujemy strach, bo przecież wszystko miało być tak dobrze, jak to zaplanowała socjaldemokracja.

Czy to ma coś wspólnego z wynikami ostatnich sondaży, w których Hiszpanie deklarują się ludźmi lewicy w większym stopniu niż mieszkańcy innych krajów zachodnioeuropejskich, a w przypadku skrajnej lewicy osiągnęli wynik dwukrotnie większy od przeciętnej?

To też problem pamięci. Czasy frankizmu zostały zdeformowane w zbiorowej pamięci i opowiedziane przez lewicę. Epoka frankizmu to 40 lat i nie ma żadnego porównania z dyktaturami, które były w Europie. Kiedy umiera Franco, Hiszpania jest siódmą potęgą świata,



Iván Espinosa de los Monteros, rzecznik hiszpańskiej partii VOX
FOT. EUROPA PRESS NEWS/GETTY IMAGES



Z Ivánem Espinosą de los Monteros, hiszpańskim politykiem, rzecznikiem partii VOX rozmawia w Madrycie Małgorzata Wołczyk

Miliony Hiszpanów odzyskały głos

a naród podejmuje decyzję, aby nie tyle zapomnieć, ile skupić się na przyszłości. Cztery dekady pokoju to niebywały okres w historii Hiszpanii, targanej zwykle konfliktami. Transformacja była zjawiskowa, rządzący dobrowolnie oddali władzę na rzecz demokracji, można mówić, że sami siebie wyeliminowali. Tego nie było nigdy wcześniej, żeby ktoś dobrowolnie oddał władzę i odsunął się na rzecz dobra nowych pokoleń. Nawet w Polsce ta transformacja wygląda trochę inaczej.

Partia rządząca zrujnowała kraj i dopiero przyciśnięta przez opozycję oddawała władzę, ale też nie całą. U nas mówiło się wtedy wiele, aby wzorować się na naszej transformacji.

U nas prawica oddała władzę, otworzyła więzienia. Lewica podjęła inne zobowiązania: m.in. zaakceptowała monarchię parlamentarną, zrezygnowała ze swoich rewolucyjnych marksistowskich dążeń i przyjęła postawę charakterystyczną dla socjaldemokracji europejskiej. I ten układ wzajemnych zobowiązań został zerwany. Zapatero obejmuje władzę i znów dzieli naród na dwie Hiszpanie, podsyca animozje...

Widać nawet z perspektywy Polski kampanię oszczerstw wobec VOX. Czy liderzy są aż tak odporni na ataki, czy też sytuacja, w której znalazła się Hiszpania, jest tak poważna, że potrzeba jej wojowników, a nawet męczenników?

Pierwszych pięć lat istnienia VOX to przemilczanie albo kpiny z naszej partii. Upór i wytrzymałość to nasza charakterystyka. Jak mówi nasz lider Abascal: Cała naprzód Hiszpanie i bez obaw!

„Bez obaw”? Historia wojny domowej pokazała, że wasza lewica jest wyjątkowo agresywna. Te wszystkie „kordony sanitarne” w dzisiejszej demokracji to jednak niebywałe zjawisko.

Tak, lewica hiszpańska jest agresywna, prawica hiszpańska spod znaku Partii Ludowej zaś zwyczajnie tchórzliwa. Stąd zanim pojawił się VOX, wiele milionów Hiszpanów czuło się opuszczonych. Ta kobieta przed chwilą, która chciała mnie uściskać [podeszła w trakcie prowadzenia wywiadu – przyp. red.], jest przykładem ludzi, którzy odzyskali głos w instytucjach właśnie dzięki nam, stąd nasza nazwa VOX [„voz” po hiszpańsku to głos – przyp. red.]. Wreszcie czują się reprezentowani w przestrzeni publicznej i na scenie politycznej.

Jednak dlaczego w Hiszpanii, w której można wybrać spośród 30 płci, nie można wybrać innych poglądów niż te politycznie poprawne?

Świetne pytanie. Czy mogę je wrzucić na Twittera i zadać je moim followersom?

Cała przyjemność po mojej stronie. Nikt jakoś nie zdaje sobie sprawy, że muzeum Prado wydaje się ostoją reakcjonizmu i konserwatyzmu: oto setki płócien i tylko dwie płcie na obrazach.

(Śmiech Ivána. Dyktuje na Twittera pytanie).

„El Pais” wciąż jest najbardziej poczytnym dziennikiem i ostatnio opublikował artykuł: „Heteroseksualność jest groźna”. Nawet nie próbujmy sobie wyobrazić, co by było, gdyby tak ktośkolwiek odważył się napisać o homoseksualizmie. Ale to, co naprawdę groźne, to akurat „alert antyfaszystowski”, który ogłosił przed wyborami ten sam dziennik. Dlaczego nikt tego nie potępia? To praktyka antydemokratyczna i zachęca do przemocy.

Nie mam odpowiedzi, to niewytłumaczalne. To jest konsekwencja wielu lat hegemonii lewicy i wycofania się prawicy. Kiedyś „El Pais” miał renomę, od paru lat to najbardziej kłamliwe, skorumpowane medium.

To normalne, że wielu czuje się zagrożonych przez wprowadzony przez was dyskurs liberalno-konserwatywny. Na razie VOX stanowi jedyną partię dysydentów, którzy nie pozwalają się zakneblować,

nawet pomimo ataków personalnych. A wie pan, że zdarza mi się otrzymywać pytania od Hiszpanów o perspektywę życia i pracy w Polsce? Czują się zagrożeni przez komunistów w nowo powstającym rządzie...

Owszem, lewica jest radykalna i separatyzmy są tak radykalne, że może to niektórych przerażać. To, co proponują, jest destrukcyjne. Nie wierzą w ojczyznę, we wspólnotę, w wolność i w „demos”. Lewica chce wszystko kontrolować: banki, przemysł, edukację. No i ten rys charakterystyczny lewicy, czyli zemsta po latach.

Przyznam, że nawet w Polsce wiele osób nie miało pojęcia, o co dokładnie chodzi z ekshumacją gen. Franco, ale odczytało to jako akt barbarzyński, antycywilizacyjny.

No właśnie. Myślę, że PSOE się pomyliło i źle oszacowało emocje. Hiszpanom, niezależnie od poglądów, nie spodobał się ten akt wygrzebywania zmarłego, naruszania spokoju jego szczątków. Ja jestem wielkim antykomunistą, ale gdyby ktoś mi zaproponował naruszenie szczątków katów mojej rodziny, odrzuciłbym ten pomysł ze wstrętem. To jest jednak barbarzyńskie. Inna rzecz, że dziś nie ma frankistów! Aby pamiętać koniec frankizmu, trzeba mieć 70 lat, żeby pamiętać wojnę, trzeba mieć sto lat! To tak, jakbym ja był antychurchilowski. Co dzisiejsi młodzi, energiczni komuniści, owi antyfaszyści, wiedzą o okresie lat 1939–1978? Nic!

Pana małżonka – Rocío Monasterio – jest radną w Madrycie z ramienia partii VOX. Znałe są jej wystąpienia przeciwko dogmatom ideologii gender. Tak więc czas opowiedzieć czytelnikowi polskiemu, jak się płaci za posiadanie niesłusznych poglądów. Pana rodzina potrzebuje ochrony?

Oczywiście! Po ogłoszeniu alarmu antyfaszystowskiego przez „El Pais” potrzebujemy ochroniarzy. Owszem, ogromna większość ludzi, która nas zaczepia na ulicy, dziękuje nam i wspiera, ale zawsze może trafić się ten jeden, który został poinstruowany, że VOX jest skrajną prawicą, i te wszystkie fałszywe doniesienia na nasz temat sprawią, iż może zachować się w sposób nieprzewidywalny wobec mojej żony czy dzieci. Hiszpania jest spokojnym krajem z bardzo małym wskaźnikiem przestępczości, ale na wszelki wypadek poruszamy się z ochroną.

Swego czasu napisał pan na Twitterze, że dobrze pamięta słowa prezesa Kaczyńskiego z wa-

szego spotkania: „Najpierw was ignorują, potem was wyzywają, a na końcu wygrywacie z nimi”. Czy ta rada wam trochę pomogła?

Oczywiście! Wiem, że polski rząd też nie ma łatwo, a jednak przekonał do siebie ogromną większość Polaków. Dążymy do tego samego. Jestem przekonany, że Santiago Abascal będzie premierem już za parę lat. Jeszcze rok temu wszystkie media nas przemilczały, dziś jesteśmy trzecią siłą. Hiszpanie wreszcie uwierzyli, że można przeciwstawić się ideologicznym szaleństwom lewicy, dyktatorowi progresizmu. My jesteśmy przygotowani, jesteśmy partią o najszybciej rosnącej popularności. Nowy rząd, czyli koalicja lewicy ze skrajną lewicą, może oznaczać tylko zapaść dla Hiszpanii, a wtedy naród wreszcie zareaguje.

Nasz rząd ma większość, ale wciąż ma przeciwko sobie media, wielki biznes, a nawet celebrytów.

Dziś wielkim zagrożeniem jest nowa elita, potężna jak nigdy – elita cyfrowa, technologiczna: Amazon, FB, Google, Twitter, Instagram. Właściciele tych mediów są tymi, którzy rozdają karty, a na nasze nieszczęście mają poglądy mocno lewicowe. To są nowi globalni „właściciele” świata, którzy mają wpływ na ekonomię i nawet na suwerenność krajów. Dysponują kapitałem rocznym większym niż produkt krajowy wielu państw. Z tak potężną władzą nikt nie jest w stanie konkurować, nawet poszczególne rządy. To jest nowa dyktatura i VOX już doznał ograniczeń ze strony tych nowych panów świata.

No dobrze, a teraz szczerze o Polsce, w której bywał pan tak często i pracował na rynku nieruchomości. Tylko bez znieczulenia...

Ależ ja mam same dobre wspomnienia z tych lat 2005–2011! Polska to normalny europejski kraj, poważny i transparentny dla wielkiego biznesu. Jedyne, co mnie uderzało, to biurokracja, ale w Hiszpanii też jest rozbudowana. To kraj ludzi honorowych, uczciwych! Nigdy nie miałem żadnych problemów ani w relacjach zawodowych, ani prywatnych. Zawsze czułem się bardzo bezpiecznie o każdej porze dnia i nocy. A Polacy to przystojniowie już gościnni, serdeczni ludzie. No i ta wasza nieprawdopodobna znajomość języków! Cudowna kuchnia, zjadłbym teraz (Iván przechodzi na język polski) „polskie zupa i pierogi”.

Australia first



Piotr Włoczyk

Mimo olbrzymich pożarów Australia sprzeciwia się radykalnym receptom na ratowanie klimatu, nie chce odchodzić od wydobywania węgla, prowadzi zdecydowaną politykę migracyjną, a także zamierza objąć wyjątkową ochroną prawa osób wierzących. Australijski rząd zrobił ostatnio wiele, by znaleźć się na celowniku lewicowych mediów



Premier Australii Scott Morrison ogląda skutki pożarów na farmie w stanie Wiktoria FOT. JAMES ROSS/POOL/AFP/EAST NEWS

Zdjęcia przedstawiające martwe kangury, spalone domy, drzewa i apokaliptyczny widok pomarańczowoczerwonego nieba zasnutego dymem od kilku tygodni są najlepszym argumentem w dyskusji dla wszystkich, którzy postulują radykalne przejście do świata „zeroemisyjnego”. Od listopada zeszłego roku spłonęło już w Australii blisko 9 mln hektarów buszu, lasów oraz położonych przy nich terenów mieszkalnych. To mniej więcej tyle, ile wynosi łączna powierzchnia polskich lasów.

W pożarach zginęło ok. 30 osób, ale w mediach społecznościowych częściej pojawiały się informacje, że spłonęło ok. 500 mln zwierząt. Skala dramatu jest trudna do wyobrażenia, ale letnie pożary to dla Australijczyków nic nowego. Tym razem, jeżeli chodzi o najważniejszą kwestię – ofiary w ludziach – nie jest tak źle jak w poprzednich latach. Najgorszy był pod tym względem rok 2009, gdy

tylko jednego dnia (Czarna Sobota) w pożarach zginęło 173 mieszkańców stanu Wiktoria.

Do sprawy, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, odniosła się Greta Thunberg. „Nawet takie katastrofy jak ta nie pociągają za sobą działania polityków. Jak to możliwe?” – napisała szwedzka nastolatka na Twitterze. Przekaz, skierowany wprost do premiera Australii, szybko doczekał się odpowiedzi. Dla wielu mogła być ona mocno zaskakująca.

„Będziemy robili w Australii to, co uważamy za słuszne dla Australii. Nie jestem tu po to, żeby robić wrażenie na ludziach z zagranicy” – powiedział dzień później Scott Morrison, premier Australii, podczas wizyty w miejscu dotkniętym pożarami. Zapowiedział jednocześnie, że nie ma mowy, żeby jego kraj zmniejszył wydobywanie węgla. Morrison wypowiedział przy okazji słowa, które w większo-

ści krajów zachodnich (może poza USA) nie mają prawa paść z ust szefów rządów – Australia będzie prowadzić swoją politykę klimatyczną w oparciu o swój „interes narodowy”. A tak się składa, że – w oczach rządzącej tym krajem centro-prawicowej Liberalnej Partii Australii (LPA) – wydobywanie i eksport węgla to właśnie interes narodowy Canberrę. Australia to dziś największy na świecie eksporter tego surowca. Na długiej liście odbiorców australijskiego węgla (numer jeden to oczywiście Chiny) jest również Polska.

ŻADNYCH RADYKALNYCH RUCHÓW

Jak twierdzą znawcy australijskiej polityki, to właśnie postawienie na ochronę olbrzymiego sektora węglowego, dystans do radykalnych zmian w polityce klimatycznej i stanowcza ochrona granic były jedynymi z najważniejszych

czynników, które dały w maju zeszłego roku zwycięstwo partii Morrisona.

On sam nie zaprzecza jednak, że zmiany klimatu to fakt i że w głównej mierze odpowiada za to człowiek. Tyle tylko że Morrison przekonuje, iż odpowiedzią na bezprecedensową falę pożarów nie może być radykalny zwrot. „Panikowanie nie jest sposobem na zarządzanie czymkolwiek” – powiedział ostatnio australijski premier. I dodał: „Środowisko, w którym żyjemy, znajduje się na szczycie listy naszych priorytetów wraz z gospodarką, w której żyją ludzie. Nie zamierzam spisywać na straty miejsc pracy tysięcy Australijczyków, odchodząc od tradycyjnych sektorów przemysłowych”.

O ile znawcy australijskiej polityki nie odmawiają australijskiemu premierowi talentu do zakulisowych działań, o tyle gołym okiem widać, że bardzo słabo radzi sobie w bezpośrednich kontaktach ze „zwykłymi” Australijczykami. Ta nieporadność wychodzi zwłaszcza w sytuacji, gdy Morrison, wizytując kolejne miejscowości dotknięte żywiołem, natrafia na bardzo różne reakcje mieszkańców, ale z każdym chce ucisnąć dłoń. Doprowadza to do kuriozalnych sytuacji, gdy premier na siłę chwytając dłonie niechętnych mu ludzi – niektórzy z nich właśnie stracili domy – co potem fatalnie wygląda w telewizji.

Morrison premierem jest od sierpnia 2018 r., ale niezwykle dochodowej branży węglowej broni od dawna. Jeszcze jako minister skarbu, w 2017 r., przyniósł do parlamentu bryłę węgla i zwrócił się do posłów opozycyjnej Australijskiej Partii Pracy (APP): „To jest węgiel. Nie bójcie się go”.

Obecny premier Australii prawdziwą karierę zaczął w 2013 r., gdy LPA odebrała po sześciu latach władzę lewicy. Australia zmagała się w tamtym okresie ze wzrastającą falą nielegalnej imigracji. O ile na początku rządów lewicy, w 2008 r., do jej brzegów dobiło ok. 200 nielegalnych imigrantów, o tyle odpuszczenie tego tematu skończyło się na 20 tys. nieproszonych przybyszów w 2013 r. „Zatrzymamy łodzie” – przekonywał w kampanii wyborczej w 2013 r. Tony Abbot, kandydat centroprawicy na premiera. Nawet najwięksi przeciwnicy LPA muszą przyznać, że partia dotrzymała słowa.

Już rok później, według danych australijskiego rządu, do brzegów tego kontynentu w nielegalny sposób przybyła tylko jedna łódź, na której pokładzie

znalazło się 157 imigrantów. Od tego czasu nielegalna imigracja przestała być problemem. Człowiekiem odpowiedzialnym za przeprowadzenie Operacji Suwerenne Granice (Operation Sovereign Borders – OSB) był właśnie Scott Morrison, który pełnił wówczas funkcję ministra imigracji i ochrony granic.

Australijczycy zatrzymują łodzie z nielegalnymi imigrantami zazwyczaj jeszcze na pełnym morzu i odsyłają ich pasażerów do dwóch prowadzonych przez siebie ośrodków w Papui-Nowej Gwinei i Nauru. Operacja ta – kontynuowana do dziś – krytykowana jest przez dużą część australijskiej lewicy jako „nie-ludzka”, a swoje zastrzeżenia odnośnie do traktowania nielegalnych imigrantów wyraża również m.in. ONZ. To jednak nie robi wrażenia na australijskim rządzie, a premier Morrison jest wręcz dumny z efektów OSB. Jak donosił „Financial Times”, w swoim gabinecie ma nawet mały model azjatyckiej łodzi rybackiej, z napisem: „Zatrzymałem je”.

CÓRKI OD BOGA

Morrison nie ukrywa, że jest człowiekiem wierzącym. Kiedy w 2007 r. wygłaszał swoje pierwsze przemówienie jako poseł do parlamentu federalnego, opowiedział, jak przez wiele lat czekali

wierzący będzie też mógł bez obaw powiedzieć, że akty homoseksualne to grzech, który grozi potępieniem – właśnie takie przykłady podał australijski „Guardian”, przekonując, że nowe prawo cofa Australię do średniowiecza. Ogromne protesty w tej sprawie zapowiadają przedstawiciele australijskiego środowiska LGBT.

„Ta ustawa jest dla wszystkich Australijczyków” – powiedział premier, prezentując na początku grudnia jej ostateczny projekt. „Australia to kraj szacunku i tolerancji. Australijczycy mają różnorodne przekonania, a to kluczowa część naszej narodowej tożsamości”.

Pojawienie się projektu ustawy nie trudno wiązać ze sprawą Israela Fola, gwiazdy australijskiego rugby, którego kariera załamała się w jednej chwili, w maju zeszłego roku. Tuż przed Wielkanocą Fola wrzucił na swoje konto na Instagramie grafikę, na której napisane było: „UWAGA, pijacy, homoseksualiści, cudzołóżnicy, kłamcy, rozpustnicy, złodzieje, ateści, bałwochwalcy. PIEKŁO NA WAS CZEKA. ODPOKUTUJJCIE! TYLKO JEZUS WAS ZBAWI”. Grafika, nawiązująca do słów z Listu św. Pawła do Koryntian, kosztowała Fola utratę kontraktu z klubem NSW Waratahs i wykluczenie

Scott Morrison jeszcze jako minister skarbu, w 2017 r., przyniósł do parlamentu bryłę węgla i zwrócił się do posłów opozycyjnej Australijskiej Partii Pracy: „To jest węgiel. Nie bójcie się go”

z żoną na dziecko. Stwierdził wówczas, że „Bóg pamiętał o jej wierności” (mówił o swojej żonie) i „pobłogosławił” ich w końcu dwojgiem dzieci. Nie powinno więc dziwić, że pod jego rządami konserwatywna frakcja LPA ma dużo do powiedzenia i wykorzystuje swoją pozycję do forsowania postulatów, które w większości zachodnich państw są nie do pomyślenia.

Ostatnio LPA szokowała tamtejszą lewicę, przygotowując projekt ustawy, która w bardzo mocny sposób zagwarantuje wierzącym Australijczykom bardzo szerokie prawa. Tak zwana ustawa antydyskryminacyjna pozwala przykładowo lekarzom odmawiać stosowania terapii hormonalnej osobom, które twierdzą, że są innej płci, farmaceuci nie będą musieli sprzedawać pigułek „dzień po”, a każdy

z reprezentacji Australii. Retorsje wobec rugbyistów wzburzyły środowisko australijskich chrześcijan, którzy zapowiedzieli walkę o zagwarantowanie praw osób wierzących.

Projekt „ustawy antydyskryminacyjnej” wzbudza jednak spore kontrowersje w szeregach samej LPA. Jej liberalne skrzydło ma wobec niej olbrzymie zastrzeżenia. Były premier i były szef tej partii Malcolm Turnbull (bezpośredni poprzednik Morrisona, reprezentujący lewe skrzydło LPA) najostrzej zaatakował projekt, nazywając ten pomysł „szaleństwem”. Najbliższe miesiące pokażą, czy Australia zdecyduje się na tak duże poszerzenie praw ludzi wierzących – do końca stycznia projekt ustawy podlega konsultacjom społecznym.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

ASF pokonał
PO, PSL i PiS

Jest już najpewniej tylko kwestią czasu, gdy ASF – afrykański pomór świń – ogarnie całą Polskę. Zmierzając ze wschodu na zachód, miesiące temu przekroczył Wisłę i niedawno pojawił się w Wielkopolsce, zbliżając się do granicy z Niemcami.

Pierwszego dzika padłego na ASF znaleziono w Polsce – 900 m od granicy z Białorusią – w lutym 2014 r. Potem znajdowano kolejne, aż w lipcu 2014 r. w gospodarstwie na Podlasiu pojawiło się pierwsze w Polsce ognisko świń zarażonych ASF – wszystkie zostały zabite i zutylizowane. A później przez pięć lat byliśmy świadkami systematycznego, właściwie niczym niepowstrzymanego rozprzestrzeniania się epidemii ze wschodu na zachód Polski. I wszystkie po kolei rządy – zarówno z Platformy i PSL, jak i z PiS – oddawały afrykańskiemu pomorowi świń kawałek Polski po kawałku. Nie potrafiły bądź nie miały odwagi, a raczej nie potrafiły i nie miały odwagi, postępować na tyle skutecznie, by powstrzymać zarazę.

Kunktorstwo polityków, w tym zwłaszcza ministrów rolnictwa, sprawiło, że ze strachu przed rolnikami nie odważono się zmusić ich do podjęcia radykalnych i kosztownych działań bioasekuracyjnych, nie narzucono im niezbędnych drakońskich przepisów sanitarnych, ba – nie odważono się nałożyć egzekwować nawet tych obowiązujących.

Podobnie rzecz się miała z budową płotu na granicy między Polską a Białorusią;

płotu, który mógł przeszkodzić – gdyby w porę powstał – przechodzeniu do nas zarażonych dzików. Pomysł jego postawienia pojawił się jednak na dobre dopiero na początku 2018 r., gdy zarażone zwierzęta były już niemal w całej Polsce, by naszym zwyczajem po kilku miesiącach namiętnych dyskusji zostać oficjalnie i ostatecznie – przez ministra rolnictwa – zarzucony.

Nie inaczej wygląda sprawa odstrzału dzików – najpierw latami spierano się o to, czy byłby on skuteczny, a więc potrzebny, czy nieskuteczny i niepotrzebny, a w dodatku – jako „masakra dzików” – wręcz niedopuszczalny. A dziś to właśnie na myśliwych rząd próbuje przerzucić niemal całą odpowiedzialność za walkę z zarazą. W tej sytuacji zajęcie przez ASF już niemal całej Polski jest – w gruncie rzeczy – prostą konsekwencją sposobu prowadzenia przez władze państwa walki z epidemią. A raczej nieprowadzenia, czyli poddania się.

Teraz więc, zając się być może jednym z ostatnich kotletów schabowych z polskiej wieprzowiny, ostatnich przed wybiciem reszty świń zarażonych ASF, będziemy obserwowali, czy lepiej z atakiem zarazy poradzą sobie Niemcy. W każdym razie płot na granicy z Polską już stawiają, a odstrzał dzików idzie im znakomicie – z obawy przed ASF już w sezonie łowieckim 2017/2018 zastrzelili ich ponad 800 tys. – prawie dwa razy więcej niż w sezonie 2016/2017 i trzy razy więcej niż w sezonie 2015/2016. ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Złe czasy
na oszczędzanie

Wpaździerniku 2019 r. średnie oprocentowanie lokat w bankach pierwszy raz w historii spadło poniżej 1,5 proc. w skali roku. Oczywiście to i tak lepiej niż w strefie euro, gdzie oprocentowanie depozytów wynosi 0,3 proc. Sytuacja zmienia się jednak na niekorzyść oszczędzających Polaków. Przez minionych kilka lat inflacja w Polsce była niższa niż w strefie euro, a nawet mieliśmy deflację. Ostatnio inflacja w strefie euro spada, a w Polsce rośnie.

Według prognoz NBP inflacja w latach 2020–2021 ma kształtować się w okolicach 2,5–3 proc. Zatem będziemy mieli do czynienia ze zjawiskiem, gdy oszczędzający na lokatach zamiast zarabiać, będą na nich tracić, bo oprocentowanie nie będzie pokrywało wyższej inflacji. Pomijamy w tej analizie podatek Belki, który dodatkowo obniża oprocentowanie lokat.

Można przewidywać, że znaczące ujemne realne oprocentowanie lokat w bankach spowoduje, iż część Polaków zacznie szukać alternatywnych metod oszczędzania, które zabezpieczą ich oszczędności przed realną utratą wartości. Alternatywą mogą być obligacje przedsiębiorstw, ale to wiąże się z akceptacją większego ryzyka, ponieważ gwarantem lokat bankowych jest polskie państwo za pośrednictwem Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, prywatna firma może zaś zbankrutować. Chociaż w przypadku wielkich państwowych firm też można zakładać, że

polskie państwo do tego nie dopuści, z wyjątkiem zdarzeń nadzwyczajnych, takich jak wojna. W obecnej sytuacji na atrakcyjności zyskują obligacje rządowe, które oferują wyższe procentowanie od większości lokat bankowych i są jednocześnie obciążone mniejszym ryzykiem. Na przykład oprocentowanie dwuletnich obligacji wynosi 2,1 proc. w skali roku, ale prawdziwym hitem są obligacje indeksowane do inflacji, które w pierwszym roku dają oprocentowanie 2,7 proc., a w kolejnych latach 1,5 proc. powyżej inflacji. Zatem jeżeli sprawdzą się prognozy NBP, to oprocentowanie tych obligacji wyniesie ponad 4 proc. rocznie. Można zatem oczekiwać bardzo wysokiego popytu na te obligacje. Oczywiście Ministerstwo Finansów też kombinuje, jak zmniejszyć koszty refinansowania długu publicznego i pewnie za jakiś czas obniży marżę powyżej inflacji z 1,5 do 1 proc. Nawet wtedy te obligacje będą jednak o wiele lepsze niż większość lokat bankowych.

Oprocentowanie obligacji rządowych powyżej 2 proc. to jedyna dobra wiadomość dla oszczędzających w Polsce, ale trzeba się z tego cieszyć, bo w strefie euro oprocentowanie tych obligacji jest ujemne. Na przykład na Słowacji wynosi –0,5 proc. w skali roku przy inflacji bliskiej 3 proc.

Mamy złe czasy dla oszczędzających. W Polsce, na razie, osoby, które znają się nieco na finansach, mogą jednak temu zaradzić. ©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: NAWILŻACZ POWIETRZA STADLER FORM EMMA

Niewielkie rozmiary, nowoczesny design, intuicyjna obsługa i bardzo cicha praca – to największe zalety nawilżacza powietrza Emma szwajcarskiej firmy Stadler Form.

Zimą suche powietrze w domu czy biurze stanowi nie tylko dyskomfort, lecz także jest niebezpieczne dla zdrowia. Najprostszym i najtańszym sposobem na nawilżenie powietrza jest wieszanie na grzejniku mokrych ręczników. Takie rozwiązanie wielu się jednak nie spodoba, a w przypadku biura jest kompletnie niemożliwe do wcielenia w życie. Pomocne są wówczas nawilżacze powietrza. Niektóre są ogromne. Testowana Emma to jednak wyjątkowo mały model (jej wymiary wynoszą 125 x 215 x 80 mm, a waga to zaledwie 0,4 kg), który sprawdzi się jednak, jeśli chcemy poprawić jakość powietrza w sypialni czy przy swoim biurku w korporacji.

Urządzenie zostało tak zaprojektowane, aby łatwo je można było przenosić z domu do pracy lub zabrać w służbową podróż. W zestawie znajduje się również poręczny woreczek podróżny. Niewielki nawilżacz powietrza może pracować podłączony za pomocą kabla USB do komputera lub do powerbanku (bank energii o pojemności 10 tys. mAh pozwala na używanie nawilżacza przez osiem godzin).

Zaletą tego urządzenia jest też niemalże bezgłośnie praca. Dzięki temu nawilżacz ten możemy zostawić włączony nawet nocą i nie



powinien dawać się zbyt łatwo we znaki. Niewielkie niebieskie kontrolki LED – sygnalizujące moc, z jaką aktualnie pracuje nawilżacz (maksymalna to 10 W) – można łatwo przyciemnić lub zupełnie wyłączyć.

Niewielkie rozmiary urządzenia stanowią też jego wadę, gdy chcemy korzystać z niego regularnie. Zbiornik na wodę jest bowiem na tyle

mały, że przy intensywnym nawilżaniu trzeba go uzupełniać nawet dwa–trzy razy dziennie. Szkoda również, że producent w zestawie załącza do ładowania jedynie kabel USB. Aby na stałe podłączyć nawilżacz do prądu, trzeba więc wykorzystać którąś z własnych wtyczek.

Cena: 249 zł. ©©

Jacek Przybylski

SMARTFON JAK KAMERA PODWODNA

Tak, tak wiem, większość producentów smartfonów szczydzi się już pewnym stopniem kurzo- i wodoodporności. Ale żeby zaraz używać smartfona do zdjęć podwodnych? Okazuje się, że jest to możliwe, a pomocne w tym będzie urządzenie zwane Diveroid. Wygląda ono jak pudełko na kanapkę wyposażone w dodatkową zewnętrzną kamerę (tak jakby kanapka chciała porobić zdjęcia) i masę przycisków. Działa tak, że do środka włożymy niemal każdy – niezależnie od wielkości – smartfon, dopasujemy, a dotykowe przyciski w opakowaniu będą pozwalały na korzystanie z jego funkcji. Oczywiście pudełko jest wodoodporne.

Sęk w tym, że taki opis Diveroid byłby zbyt uproszczeniem. Urządzenie dzięki specjalnemu algorytmowi pozwala bowiem na mocno intensywne wykorzystanie czerwonego filtra obiektywu w aparacie smartfona, co z kolei pozwala na robienie dobrej jakości zdjęć na sporych głębokościach, gdzie dostęp światła jest znacznie mniejszy. Dedykowana

urządzeniu specjalna aplikacja nagrywa nurkowanie od początku do końca, synchronizuje i pozwala na dzielenie się nagraniem bądź fotkami na portalach społecznościowych.

Oczywiście, aby to było możliwe, należy najpierw wypłynąć na powierzchnię, toteż nie zalecam testowania możliwości aparatu w Wiśle, na wysokości warszawskiej Czajki.

Cena urządzenia to ok. 800 zł, zamawiać można na portalu Kickstarter, a dostawa w lutym.

SŁUCHAWKI CIENKIE JAK PAPIER

Gdyby ktoś spytał: „A po co?”, to odpowiadam, że choćby dlatego, by nie wypychały kieszonki marynarki, gdy chcemy je odłożyć, albo aby doskonale mieściły się w portfelu. Doskonale, przynajmniej według podanych przez producenta parametrów technicznych, mają dźwięk odtwarzania muzyki ze smartfona i rozmów telefonicznych. Card20, bo tak się słuchawki nazywają, mają ok. 1,25 cm grubości, i to wliczając w to obudowę, w której wpychamy je do ucha, wyposażone są oczywiście w łączność Bluetooth i niezły głośnik 13 mm klasy premium.

Cena to ok. 260 zł, dostawa w marcu, a zamawiać można na portalu Kickstarter. ©©

Wojciech Wybranowski



FOT. MATERIAŁY PROSTOWE

Aż do 191 państw świata mogą bez wizy wjeżdżać obywatele Japonii. Paszport tego kraju już trzeci rok z rzędu jest więc uznany za najlepszy na świecie. W opublikowanym w ubiegłym tygodniu corocznym rankingu paszportów przygotowanym przez firmę Henley & Partners na drugim miejscu znalazł się paszport singapurski, który upoważnia do bezwizowego wjazdu do 190 krajów. Najniższe miejsce na podium zajęły zaś ex aequo Niemcy oraz Korea Południowa (z paszportem tych państw bez wizy można podróżować do 189 państw). Polska w najnowszym rankingu awansowała o jedno oczko i znalazła się na 14. miejscu. Dzięki paszportowi RP w kieszeni możemy wjechać do 176 krajów.

Ostatnie miejsca tradycyjnie przypadły posiadaczom dokumentów wystawionych przez takie kraje, jak Afganistan, Irak, Syria, Pakistan, Jemen, Libia, Nepal, Sudan czy też Liban. I chociaż przeciętny Afgańczyk musi pogodzić się z faktem, że może wyruszyć bez wizy zaledwie do 26 krajów, to już bogaci mieszkańcy wymienionych państw mogą szybko i łatwo odmienić swój los. Wystarczy, że mają kilkaset tysięcy euro, a większa część świata stanie przed nimi otworem.

CYPR DAJE I ODBIERA

Prowadzenie programu obywatelstwo za inwestycję (CBI, czyli Citizenship by Investment) to od 2013 r. ważna część kulejącej cypryjskiej gospodarki. Początkowo inwestorzy spoza Unii Europejskiej marzący o obywatelstwie w tym unijnym kraju musieli zainwestować w nieruchomości, firmy lub obligacje rządowe co najmniej 5 mln euro. W 2016 r. próg wejścia do społeczeństwa cypryjskiego znacząco jednak obniżono. Obecnie ten wyspiarski kraj oferuje dwa rodzaje programów dla bogaczy spoza Unii Europejskiej. W pierwszym – dla nieco uboższych – w zamian za inwestycję w nieruchomości w wysokości 300 tys. euro można uzyskać praktycznie dożywotnie prawo pobytu na terenie Cypru dla siebie i całej rodziny (w tym nie tylko dla żony inwestora, lecz także jego dzieci oraz rodziców jego i małżonki). Nie trzeba nawet od razu urządzać wielkiej przeprowadzki: wystarczy, że członkowie rodziny raz na dwa lata choć na krótko pojawią się na wyspie.

W przypadku drugiego programu nagrodą jest już wymarzony przez



FOT. ADDBE/STOCK

Jak kupić lepszy los



Jacek Przybylski

Tysiące osób spoza UE nie muszą forsować granicy ani żebrać o azyl. Mimo oburzenia urzędników w Brukseli władze Malty i Cypru nadal sprzedają swoje obywatelstwo, a wiele innych za hojne inwestycje odwdzięcza się prawem pobytu i pracy na terenie Unii, zarabiając na tym miliardy euro



bezwrotna darowizna na narodowy fundusz rozwoju Malty) i uzbroić się w cierpliwość: na paszport tego kraju trzeba poczekać od 12 do 18 miesięcy. Oczywiście naprawdę bogaci mogą liczyć na dużo szybsze przyjęcie do grona obywateli Malty. Zaletą jest możliwość bezwizowego podróżowania nie tylko do Unii Europejskiej, lecz także do Stanów Zjednoczonych. I właśnie te przywileje przyciągają większość nowych Maltańczyków, z których mało kto jest rzeczywiście zainteresowany zamieszkaniem na tej wyspie.

GROMY Z BRUKSELI

W drugiej dekadzie XXI w. obywatelstwo w którymś z państw Unii Europejskiej „kupiło” ponad 6 tys. osób. Kłopot w tym, że w wielu przypadkach prawo do swobodnego poruszania się po Unii Europejskiej i legalnego robienia interesów dostają obcokrajowcy z kryminalną przeszłością, skorumpowani urzędnicy oraz członkowie międzynarodowych gangów, którzy inwestują miliony w zdobycie nowego paszportu, aby przy okazji wyprać grube pieniądze.

W styczniu 2019 r. Unia Europejska zaapelowała więc do rządów państw członkowskich o to, aby baczniej kontrolowały osoby, którym w zamian za pieniądze nadają obywatelstwa. Komisja Europejska wszczęła także własne śledztwo w sprawie programów przyznawania obywatelstwa w zamian za inwestycje. Na celowniku urzędników znalazły się zwłaszcza Cypr oraz Malta.

W listopadzie 2019 r. w wyniku międzynarodowych nacisków Cypr odebrał obywatelstwo niektórym osobom, które „wkupiły się” do tego dzielnego wyspiarskiego narodu.

Cypryjski paszport stracił m.in. Malezyjczyk podejrzany o udział w sprzeniewierzeniu 2,7 mld dol. (sic!) z państwowego funduszu inwestycyjnego 1Malaysia Development Berhad. Na Cyprze miał on kupić nieruchomości w kurorcie Ayia Napa za 5 mln euro. Na jaw wyszło jednak, że Cypr przyznał mu obywatelstwo, choć kilka miesięcy wcześniej „inwestorowi” w jego rodzinnym kraju postawiono poważne zarzuty. Wśród pozostałych nieszczęśników, którzy musieli pożegnać się z kupionym niedawno cypryjskim paszportem, znalazło się też dziewięciu byłych obywateli Rosji, ośmiu z Kambodży, pięciu z Chin, dwóch z Kenii i jeden z Iranu.

I chociaż władze nie podały żadnych nazwisk, to według dziennika „Rossijskaja Gazieta” cypryjskie obywatelstwo w listopadzie zeszłego roku stracił również rosyjski miliarder Oleg Deripaska. Oligarcha nazywany do niedawna królem aluminium otrzymał cypryjski paszport w marcu 2018 r., zachowując jednocześnie rosyjskie obywatelstwo. Unijne paszporty stracili też syn oraz córka miliardera.

Większość świeżo upieczonych bogatych Cypryjczyków może jednak spać spokojnie – kraj ten w ramach Cyprus Investment Programme wydał już ponad 4 tys. paszportów, dzięki czemu gospodarka wyspy zyskała ponad 6 mld euro. Cypryjskie władze dopiero w zeszłym roku wprowadziły też 11 kategorii „osób wysokiego ryzyka”, które nie mogą ubiegać się o złote wizy. Wśród nich znalazły się m.in. osoby piastujące wysokie stanowiska państwowe (ze względu na ryzyko korupcji), członkowie nielegalnych grup przestępczych, a także „inwestorzy”, przeciwko którym w ich rodzinnych stronach toczą się postępowania karne.

Pod naciskiem urzędników z Brukseli rząd Bułgarii ogłosił w styczniu 2019 r. plan zawieszenia sprzedaży obywatelstwa. Rok wcześniej prokuratura w Sofii wszczęła śledztwo przeciwko pracownikom urzędu ds. Bułgarów na obczyźnie, którzy za wysokie łapówki mieli fałszować dokumenty i wystawiać tysiącom mieszkańców Ukrainy, Mołdawii, Macedonii, a także innych państw spoza UE bułgarskie paszporty, co w praktyce było jednoznaczne z nadaniem im bułgarskiego obywatelstwa. W marcu 2019 r. Bułgarzy przedstawili jednak plan nie zakończenia, lecz zreformowania funkcjonującego od 2009 r. programu przyznawania obywatelstwa w zamian za inwestycje.

Nadal aktywne na tym nietypowym rynku są władze w Wiedniu. Kandydat na Austriaka musi w tym kraju zainwestować ok. 10 mln euro, czyli równowartość ponad 43 mln zł. Sam proces sprzedaży obywatelstwa trwa mniej więcej dwa lata, ale same przepisy nie są zbyt przejrzyste, co utrudnia uzyskanie austriackiego paszportu nawet za pomocą wyspecjalizowanych kancelarii prawnych.

DROGA DO EUROPY

Może nie tak śmiało jak Cypr czy Malta, ale jednak bardzo chętnie na

wielu paszport unijnego kraju. Aby go otrzymać, trzeba jednak zainwestować w lokalne nieruchomości 2 mln euro oraz przekazać dwie darowizny w wysokości 75 tys. euro każda (pierwszą na Governments Research and Development, a drugą na Land Development Organisation). Za tak hojne dotacje na rozwój wyspiarskiej społeczności lokalny rząd odwdzięcza się przyznaniem obywatelstwa w ciągu sześciu miesięcy od daty dokonania inwestycji. Aby zostać obywatelem, trzeba minimum dwa razy pojawić się na Cyprze: raz, aby zostawić swoje dane biometryczne, i drugi raz, aby złożyć przysięgę wierności nowej ojczyźnie. Tak zdobyty cypryjski paszport daje oczywiście możliwość nie tylko mieszkania na wyspie, ale wszystkie przywileje, którymi cieszą się obywatele Unii Europejskiej, czyli swobodę pracy, studiowania i życia w którymkolwiek z krajów Wspólnoty.

Sporo bogatszym trzeba być, aby zostać obywatelem Malty. Trzeba zainwestować w sumie co najmniej 880 tys. euro (trzy czwarte tej kwoty stanowi

■ sprzedaży biletów do europejskiego raję zarabia ponad połowa z 28 krajów Unii Europejskiej. Co prawda nie sprzedają one wprost obywatelstwa, ale w zamian za odpowiednio wysokie inwestycje pozwalają na otrzymanie w swoim kraju prawa stałego pobytu.

Według szacunków takich organizacji jak Global Witness tzw. złote wizy w ciągu ostatnich 10 lat dostało ok. 100 tys. osób spoza UE. Najwięcej w Hiszpanii, Portugalii, na Węgrzech, Łotwie czy w Wielkiej Brytanii. Prawo pobytu dla bogaczy rozdają też w zamian za inwestycje Grecja, Szwajcaria czy Niderlandy (po pięciu latach od przyznania prawa pobytu – wymagana jest inwestycja o wartości 1,250 mln euro w niderlandzki start-up lub w fundusz rozwoju – inwestor może starać się o obywatelstwo).

Część krajów w ostatnich latach deklarowała ograniczenie tego proceduru (zrobili to np. Węgry), ale państwa mocno doświadczone kryzysem finansowym na przełomie pierwszej i drugiej dekady XXI w. wcale nie zamierzają pozbyć się dodatkowych wpływów do gospodarki.

Dużym zainteresowaniem inwestorów cieszy się Portugalia, która sprzedaje tzw. złote wizy od końca roku 2012. Aby je otrzymać, wystarczy kupić nieruchomość co najmniej za 500 tys. euro, zainwestować w Portugalii 1 mln euro lub stworzyć 30 miejsc pracy. Od 2016 r. można je też zdobyć, kupując w miastach co najmniej 30-letnią nieruchomość i przeprowadzając jej remont. W zamian dostaje się teoretycznie „tylko” prawo pobytu, ale po sześciu latach od przeprowadzki można starać się w tym kraju o obywatelstwo (wymagana jest jednak znajomość języka portugalskiego). Portugalski paszport otwiera zaś drzwi aż do 185 krajów świata (jest pod tym względem lepszy od amerykańskiego czy brytyjskiego).

Dzięki programowi od 2012 r. do 2019 r. Portugalia przyciągnęła inwestycje warte już ponad 4,8 mld euro, w tym 553 mln euro tylko w pierwszej połowie 2019 r. Zaledwie 17 z 8 tys. inwestorów zdecydowało się na założenie w tym kraju firmy. 90 proc. zainwestowanych pieniędzy trafiło zaś na rynek nieruchomości, windując ich ceny zwłaszcza w Lizbonie oraz Porto. Rdzenni Portugalczycy skarżą się więc nie tylko na moralny wymiar tego proceduru, lecz także na to, że zainteresowani złotą wizą inwestorzy

tak bardzo wyśrubowali krajowy rynek nieruchomości, że stały się one praktycznie niedostępne dla większości lokalnych mieszkańców. Socjalistyczny rząd ogłosił więc, że wprowadzi zmiany w programie, tak aby pieniądze trafiały też do słabo zaludnionych regionów i przyczyniały się do wzrostu liczby miejsc pracy. Rząd w Lizbonie ani myśli jednak ograniczać sprzedaż złotych wiz pod dyktando Brukseli.

PASZPORTY Z KARAIBÓW

Kto najczęściej przyjeżdża do Europy? Władze w Lizbonie od 2012 do 2019 r. wydały około 8 tys. złotych wiz dla obcokrajowców spoza Unii Europejskiej, którzy na teren Europy przeprowadzili się wraz z rodzinami. Najczęściej wizy kupowali „inwestorzy” z Chińskiej Republiki Ludowej, a zwłaszcza mieszkańcy Hongkongu i Makau.

4,8 mld euro

TYLE NA PROGRAMIE SPRZEDAŻY TZW. ZŁOTYCH WIZ W CIĄGU KILKU LAT ZARABIŁA PORTUGALIA

Również na Cyprze wśród bogaczy płacących za prawo do nowej ojczyzny dominują głównie „inwestorzy” z Chin, krajów byłego Związku Sowieckiego, Iranu i Arabii Saudyjskiej. Z kolei na Maltę przed bombami uciekli m.in. bogacze z Jemenu. Według raportu Amnesty International z końca 2018 r. maltańskie paszporty otrzymało jednak również co najmniej trzech rosyjskich „inwestorów”, których rząd USA podejrzewa o korupcję na wielką skalę.

Rządowy handel paszportami nie jest europejskim wymysłem. Już w 1983 r., tuż po uzyskaniu niepodległości, swoim obywatelstwem zaczęło handlować jedno z najmniejszych wyspiarskich państw na świecie: Saint Kitts i Nevis. Program nadal obowiązuje. Chętni do zyskania obywatelstwa w tym karaibskim kraju mają dwie możliwości. Zainwestować co najmniej 350 tys. dol. na terenie wyspy lub dokonać darowizny w wysokości 150 tys. dol. na rzecz lokalnej Fundacji ds. Dywersyfikacji Przemysłu Cukrowego (darowizna musi wzrosnąć do 195 tys. dol., jeśli nowymi paszportami ma się cieszyć rodzina licząca do czterech osób).

Aby obie strony były zadowolone, inwestorom nie zadaje się pytań o legalność pochodzenia ich majątku, a oni sami nie interesują się, na co zostanie wydana ich „darowizna”.

Obecnie na świecie podobnych programów jest tak wiele, że „Financial Times” publikuje specjalny indeks CBI, który jest sporządzany na podstawie takich kryteriów, jak swoboda poruszania się, standard życia, minimalna wymagana kwota inwestycji, brak konieczności przeprowadzki do „nowej ojczyzny”, łatwość procedury etc.

W najnowszej edycji rankingu program Saint Kitts i Nevis znalazł się na drugim miejscu. Pierwszą lokatę na 13 analizowanych państw już trzeci rok z rzędu zajęła licząca zaledwie 71 tys. mieszkańców Wspólnota Dominiki. Wyróżnia się ona szybkością obsługi wniosków (90 dni), brakiem konieczności stałego pobytu oraz przystępnością cenową (aby zyskać drugi paszport, otwierający drzwi do 140 krajów świata, wystarczy darowizna warta 100 tys. dol., czyli równowartość 380 tys. zł, lub inwestycja w zaaprobowane przez rząd nieruchomości o wartości 200 tys. dol.). Na najniższym miejscu podium znalazła się Grenada, której obywatelem można zostać za 150 tys. dol. I która nie wymaga przeprowadzki, nie przeprowadza żadnych rozmów ani testów językowych czy kulturowych.

Wśród krajów Unii Europejskiej w rankingu „Financial Timesa” najwyżej – bo na siódmym miejscu – znalazł się Cypr. Jako ósma została sklasyfikowana Malta. Dziesiąta w rankingu jest Bułgaria, a jedenasta Austria (sklasyfikowana przed Kambodżą i Jordanią).

Za pieniądze można też zostać obywatelem Turcji (trzeba mieć na koncie zbędne co najmniej 250 tys. dol.) oraz pięknych wysp Vanuatu (za 130 tys. dol.).

Czy jednak Polak może mieć dwa paszporty? Tak. Polskie prawo nie przewiduje bowiem sankcji karnych za posiadanie obcego obywatelstwa. Istnieją nawet kancelarie prawne wyspecjalizowane w pośrednictwie w uzyskiwaniu dodatkowych paszportów. Ich zadanie nie jest bardzo trudne. Dla wielu rządów krajów handlujących obywatelstwem lub samym prawem pobytu nie liczą się wiara, wykształcenie, znajomość języka czy nieposzlakowana opinia kandydata na obywatela. Liczy się tylko gotówka.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



AUTO PRZYSZŁOŚCI?

Niemiecki koncern we współpracy z producentami filmu „Avatar” opracował koncept samochodu przyszłości o nazwie Vision AVTR (to skrót od „Advanced Vehicle Transformation”).

We wnętrzu auta zaprezentowanego na targach w Los Angeles nie ma już takich starożytnych elementów jak kierownica czy deska rozdzielcza.

Przypominające liście fotele obite są skórą Dinamica, produkowaną z przetworzonych plastikowych butelek, starych ubrań etc. Podłoga wyłożona jest zaś specjalnym drewnem, zwanym Karuun.

Ekologiczne auto przyszłości napędzane jest czterema silnikami elektrycznymi o łącznej mocy 470 KM. Pojemne akumulatory (110 kWh) z ogniwami na bazie grafenu mają pozwolić na pokonanie na jednym ładowaniu nawet 700 km. Czas ich ładowania ma zaś wynosić zaledwie 15 minut. Same akumulatory w stu procentach mają zaś nadawać się do recyklingu.



NAJMOCNIEJSZY MCLAREN W HISTORII

Brytyjski producent samochodów rusza z produkcją modelu Speedtail. Ponad pięciometrowy pojazd ma potężny hybrydowy napęd, na który składają się podwójnie turbodoładowany silnik benzynowy V8 oraz silnik elektryczny. Łączna moc auta wynosi 1070 KM, a maksymalny moment obrotowy to 1150 Nm. Jest to więc najmocniejszy McLaren, który został dopuszczony do jazdy po publicznych drogach. Pierwszy ze 106 egzemplarzy tego modelu ma trafić do właściciela już w lutym.



OD KONSOLI DO SAMOCHODU

Limuzyna Vision-S. Tak nazywa się pierwszy elektryczny samochód japońskiej firmy Sony, znanej dotąd głównie z produkcji konsoli PlayStation, telewizorów etc. Zaprezentowany podczas targów w Los Angeles czterodrzwiowy pojazd koncepcyjny wyposażony jest w 33 czujniki, radary i kamery, dzięki czemu jest w pełni gotowy do autonomicznej jazdy.

Głównym elementem wnętrza – w którym panuje elegancki minimalizm – jest olbrzymi ekran z możliwością personalizacji. Dwa mniejsze ekrany pokazują obraz z kamer, które zastąpiły boczne lusterka. Mimo nowoczesnego charakteru auta projektanci zachowali jednak klasyczną okrągłą kierownicę.

Dzięki dwóm silnikom elektrycznym o łącznej mocy 200 kW auto z napędem na obie osie od zera do pierwszej setki rozpędza się w 4,9 s. Prędkość maksymalna wynosi z kolei 239 km/godz.

Niestety, nie wiadomo, czy i kiedy Sony zdecyduje się na wprowadzenie auta do produkcji i jakiej kwoty japoński producent może żądać za swój debiut w branży motoryzacyjnej. ©©



TOMASZ CUKIERNIK: Bardzo ostro wypowiadał się pan przeciwko „500+”. Czy jego likwidacja, czego chce Konfederacja, nie spowodowałaby zejścia ugrupowania poniżej progu wyborczego?

DOBROMIR SOŚNIERZ: Nie sądzę. Myślę, że w Polsce jest znacznie więcej przeciwników „500+” niż te 7 proc., które dostaliśmy. Poza tym nie mówimy tylko o likwidacji „500+”, lecz o zastąpieniu go ulgą podatkową, co jest rozwiązaniem tańszym, bardziej wolnorynkowym, bardziej motywującym, pod każdym względem lepszym. Krytykuję „500+” nie tylko dlatego, że nas na to nie stać i w przyszłości będzie ono kulą u nogi, którą trudno będzie zerwać (z socjału zawsze trudno się wycofać), lecz także ze względów zasadniczych. Jest czymś niewłaściwym, żeby rząd uzależniał od siebie obywateli, najpierw zabierając im pieniądze, a później dając im je w formie jakiejś dotacji. To tworzy złudzenie, że to rząd generuje bogactwo, a nie obywatele swoją pracą. Ludzie przestają dostrzegać związek między swoją pracą a swoim dobrobytem, bo dochody kojarzą im się ze stanem w kolejkach, wypełnianiem papierków, głosowaniem na polityków, którzy im obiecują większe transfery – a nie z pracą. To wyznacza fatalny kierunek, tworzy mentalność roszczeniową. Nawet gdyby nas było na to stać, to nie należałoby tego robić. Dla mnie to argumenty zasadnicze, które odnoszą się do zmian w mentalności, są istotniejsze niż te czysto ekonomiczne. Nie jesteśmy w stanie wszystkim wytłumaczyć, że program „500+” nie spełnił pokładanych w nim nadziei i jest wyłącznie programem socjalnym, ale nie walczymy o 50 proc. poparcia, więc nie musimy się martwić, że nie wszyscy się z nami zgodzą. Przyjdzie taki moment, że kryzys gospodarczy da o sobie znać i ludzie zaczną inaczej podchodzić do tej polityki rozdawnictwa. Przypomną sobie, kto jako pierwszy mówił o tym, że to jest fatalny kierunek.

Kiedy twoim zdaniem ten kryzys może nastąpić?

Jeśli miałbym prorokować, to już w tej kadencji. Wydaje mi się, że punktem zwrotnym będzie to, kiedy Ukraińcy zaczną wyjeżdżać na Zachód. Bo cały nasz obecny wzrost gospodarczy trzyma się na tym, że do Polski przyjeżdżają pracować ludzie ze Wschodu, bo Polacy – niestety – powyjeżdżali na Zachód. Gdyby nie Ukraińcy, to nie miałby u nas



Z posłem Konfederacji Dobromirem Sośnierzem, wiceprezesem partii KORWiN, byłym europosłem rozmawia Tomasz Cukiernik

Wyzwolić przedsiębiorczość

kto pracować. Bogactwo bierze się z pracy, a nie z dosypywania pieniędzy, nie z regulacji, nie z redystrybucji. Pracują ludzie. Kiedy ich zabraknie, to nie będzie czego dzielić. Teraz to rozdawnictwo się utrzymuje, ponieważ Ukraińcy są w dużej mierze płatnikami netto do budżetu, niewiele korzystają z tych transferów socjalnych, a płacą podatki i składki. Tak więc sądzę, że kryzys się zaczyna, kiedy ich zabraknie. Być może jednak potoczy się to szybciej. Ruchy PiS dotyczące nowych podatków świadczą o tym, że musi się im palić grunt pod nogami. Dotarli chyba do dna worka z pieniędzmi i na

szybko szukają jakichkolwiek pomysłów na nowe wpływy, nawet takich, przez które może się rozpaść koalicja rządowa. Byle tylko wycisnąć trochę pieniędzy dla budżetu.

Posel Artur Dziambor powiedział, że jeśli chodzi o gospodarkę, to Konfederacja na pewno nie zgodzi się z PiS...

Rzeczywiście, nic na to nie wskazuje. Oczywiście nikt PiS nie zabrania nawrócić się na wolny rynek. Wtedy się zgodzimy z PiS – albo raczej PiS z nami – ale na razie widać, że kierunek Zjednoczonej tzw. Prawicy jest dokładnie przeciwny. Tam są

FOT. ADAM CHERSTOWSKI / FORUM

oczywiście osoby, z którymi można porozmawiać trzeźwo o gospodarce, ale są one w zdecydowanej mniejszości. Cały kurs PiS jest dokładnie przeciwny. Polega na rozroście państwa, na wierze w to, że problemy najlepiej rozwiązuje państwo, a nie sami obywatele. Wiara w regulacje, wiara w moc sprawczą ustaw – to wszystko jest kompletnie różna filozofia od filozofii Konfederacji, a zwłaszcza partii KORWiN. My wychodzimy z całkowicie odmiennych założeń – że państwo, regulacje, podatki są złem koniecznym i możemy się na nie zgodzić tylko wtedy, gdy nie ma innego wyjścia, gdy bez tego nie dałoby się społeczeństwa ułożyć.

To co Konfederacja zrobiłaby z gospodarką, gdyby miała na to wpływ?

Przede wszystkim należałoby ograniczyć liczbę regulacji. Wiele z nich wcale nie musiałyby być kosztownych z punktu widzenia budżetu, bo wiele regulacji nie przynosi państwu dochodów albo przynosi bardzo niewielkie (np. zakaz handlu w niedzielę) i usunięcie tych barier będzie korzystne dla wszystkich. Zniesienie koncesji, ograniczeń nakładanych na przedsiębiorców często nie wiąże się z jakimś obciążeniem budżetu, a jednocześnie mogłoby wyzwolić przedsiębiorczość z tych ram biurokratycznych, w których obecnie jest ona gnieciona. W drugim kroku należy zredukować wydatki i równocześnie zmniejszać podatki. Dwie sprawy muszą bowiem iść w parze. Nie można tylko jednej strony równania zmieniać. Jeśli chcemy zmniejszać podatki, to musimy wycofywać państwo z dziedzin, w których ono nie jest niezbędne. Jak najszybciej należy rozwiązać problem ZUS, bo to jest sprawa, która już jest spóźniona o kilkadziesiąt lat. Zliberalizowanie prawa w ten sposób, że składki stałyby się dobrowolne i kolejne osoby nie byłyby już wciągane pod przymusem do tej piramidy finansowej, jest zadaniem bardzo pilnym. Zniesienie przymusu płacenia na ZUS byłoby jedną z pierwszych decyzji Konfederacji.

Poza dobrowolnością ZUS Konfederacja jest za likwidacją PIT i CIT, za obniżką VAT i akcyzy od paliw. Czy to nie za dużo? Państwo nie upadnie z powodu zbyt niskich wpływów składowo-podatkowych?

Tak jak mówiłem, należy jednocześnie ograniczać wydatki. Nie da się zrobić tego wszystkiego, utrzymując jednocześnie te wszystkie rozdęte

wydatki państwa. Bez większych cięć w wydatkach można liczyć jedynie na to, że przy zmniejszonej stopie opodatkowania zwiększy się baza podatkowa i ostatecznie do budżetu wpłynie więcej, ale obniżki na szeroką skalę muszą być skorelowane z wycofywaniem państwa z pewnych dziedzin życia. Dlatego to jest plan raczej nie na tę kadencję.

Doktor Sławomir Mentzen, wiceprezes partii KORWiN, przygotował pakiet ustaw, które miałyby wprowadzić m.in. swobodę prowadzenia działalności gospodarczej. Czy Konfederacja będzie próbowała szukać poparcia dla tych projektów wśród innych posłów, by je procedować, czy takie działania z przyczyn układu politycznego w ogóle nie mają sensu?

Myślę, że projekty dotyczące dużych reform, które powodują daleko idące konsekwencje budżetowe, którym przyświeca zupełnie inna filozofia niż ta, którą mają rządzący, czyli wolnorynkowa, antyregulacyjistyczna, nie mają szans na przejście przez machinę legislacyjną obecnego Sejmu. Być może w czasie kadencji pojawi się kryzys gospodarczy, który zmusi rządzących do tego, żeby zmienili swoje nastawienie, koniunktura na takie reformy może się poprawić, może wtedy zapotrzebowanie na zdroworozsądkowe reformy większego kalibru też się pojawi. I wtedy będziemy mogli się wykaazać ze swoimi pomysłami albo poprzeć inne, podobne. Natomiast w takiej sytuacji, która jest obecnie, można taki daleko idący projekt zgłosić jedynie w celu demonstracji politycznej, ale wiadomo, co się z nim stanie. Być może takie gesty też zrobimy, jeśli znajdziemy osoby, które poprą taki wniosek (przypominam, że potrzebujemy czterech dodatkowych podpisów od posłów innych klubów).

To co realnie można zrobić w aktualnym układzie politycznym?

Zacniemy od rzeczy drobnych. Będziemy próbowali przepchnąć kilka projektów, które są raczej racjonalizacjami, korektami systemu niż głębokimi reformami, np. reforma systemu OC, która ma szansę być potraktowana jako projekt ponad podziałami politycznymi, zmiana limitów prędkości na bardziej realistyczne, ponowne przeanalizowanie kwestii jazdy na światłach w dzień – tu sprawa jest zupełnie oczywista, że nie przyniosło to żadnych efektów, kilka państw się z tego wycofało, inne tego nie

wprowadzają. Jest też projekt ustawy dotyczący ograniczenia wpływów ideologii LGBT w Polsce. Ten projekt może liczyć na poparcie – przynajmniej teoretycznie – części posłów PiS, którzy takie poglądy też wyrażali. Być może kilka naszych inicjatyw będzie szło w kierunku przyciskania PiS w związku z ich własnymi deklaracjami, np. w kwestii wypowiedzenia konwencji stambulskiej. Chodzi o inicjatywy, które mają szansę się przebić.

Wypowiedział pan dość kontrowersyjny pogląd, że pobierający świadczenia socjalne nie powinni brać udziału w wyborach...

Najbardziej patologiczną formą demokracji jest demokracja przedstawicielska. W takim systemie ludzie niby powinni głosować na tych, którzy rozwiążą jakieś ich problemy, ale wyborcy skupiają się nie na problemie, który ma być rozwiązany, tylko na osobach, które do tego wybierają, często w zupełnie irracjonalny sposób – głosują na tego, kto jest bardziej sympatyczny, kto jest lepiej ubrany, kto ma więcej plakatów wyborczych. Merytoryka zupełnie odrywa się od decyzji wyborczych. Może należałoby głosować wyłącznie na partie, które prezentują swoje programy, a nie na osoby. Trzeba by jakoś pohamować tę masową demokrację. Mówiłem o odpłatnym prawie głosu. To zniechęciłoby część osób, które idą na wybory tylko dlatego, że widziały czyjś plakat i kandydat fajnie na nim wyglądał albo widziały go w telewizji, bo często występuje. Być może rozwiązaniem byłoby, gdyby głosujący w wyborach musieli zrezygnować na najbliższą kadencję ze świadczeń socjalnych, tak żeby nie popadać w oczywisty konflikt interesów.

Z pana inicjatywy powołano w Sejmie zespół ds. obrony praw kierowców? W poprzedniej kadencji poseł Piotr Liroy-Marzec próbował ułatwić kierowcom życie i nie wyszedł na tym za dobrze... Już go w Sejmie nie ma... Czy nie obawia się pan, że ten problem ludzi za bardzo nie interesuje?

Nie sądzę, żeby niepowodzenia wyborcze Liroya-Marcza były karą za zajmowanie się problemami kierowców. To jest raczej skutek złej decyzji dotyczącej opuszczenia Konfederacji. Poza tym nie po to poszedłem do polityki, żeby rezygnować ze swoich postulatów, byle tylko utrzymać się w Sejmie. Poszedłem po to, żeby je realizować. Jeśli by się to miało nie spodobać – to trudno.



Z ekonomistą dr. Jakubem Sawulskim
rozmawia *Stefan Sękowski*

Transformacja zawiodła młodych

STEFAN SĘKOWSKI: Statystyki, które przytacza pan na początku książki „Pokolenie '89. Młodzi o polskiej transformacji”, wskazują, że była ona sukcesem. Jednak ludzie młodzi (w wieku 25–34 lat) się z tym nie zgadzają. Dlaczego?

DR JAKUB SAWULSKI: Zwłaszcza ekonomiści mówią o polskiej transformacji jako o historii sukcesu, niezwykłym wzroście i polskim cudzie. Rzeczywiście Polska rozwijała się szybko w ostatnich 30 latach – w porównaniu z innymi krajami. Jednak nasze pokolenie nie pamięta już PRL i bardzo słabo pamięta początki lat 90. Dlatego trudno nam zidentyfikować ten postęp. Całe dorosłe życie przeżyliśmy, gdy Polska była już w Unii Europejskiej, przy otwartych granicach. Wyjeżdżaliśmy na Erasmusy, do pracy, mamy znajomych za granicą. Naszym punktem odniesienia są państwa zachodnie, chcielibyśmy, żeby u nas było tak jak na Zachodzie.

Tak się nie da.

Dystans w 1989 r. był zbyt duży, by to się tak szybko dokonało. Z tego mogłoby wynikać, że my nie potrafimy docenić owoców transformacji, i tyle.

Ale?

Książkę zdecydowałem się napisać z dwóch powodów. Jednym były pełne złości i rozczarowania rozmowy z ludźmi z mojego pokolenia. Stwierdziłem, że coś jest nie tak, skoro aspiracje większości młodych ludzi nie są w naszej gospodarce zaspokajane. Drugim była emigracja. To największy objaw niechęci naszego pokolenia do owoców polskiej transformacji. Emigracji doświadczały wszystkie „nowe” państwa UE, ale to w Polsce skala

była prawie największa, nie licząc państw bałtyckich, które są specyficzne, bo są małe, a także Rumunii i Bułgarii, których dystans do „starej” UE był jeszcze większy. Jeśli porównamy się z innymi państwami Grupy Wyszehradzkiej, to skala emigracji była procentowo największa.

Mogło być inaczej? Węgry czy Czechy były w lepszej sytuacji gospodarczej w 1989 r. niż Polska.

Największa część emigracji nastąpiła po 2004 r., gdy Polska poziomem rozwoju była już całkiem blisko Czech czy Węgier. Zarzut, który stawiam w książce, to to, że polska gospodarka mimo stosunkowo szybkiego rozwoju nie zaspokoiła młodym ludziom jednej z fundamentalnych potrzeb człowieka, czyli bezpieczeństwa. W wymiarze ekonomicznym chodzi

Skala tej zmiany jest nieproporcjonalna do problemu, który w Polsce mamy. Mieszkań jest za mało. Mamy za Słowacją drugą najmniejszą liczbę mieszkań w przeliczeniu na 1000 osób w całej UE. Prawie co druga młoda osoba w Polsce (25–34 lata) mieszka z rodzicami, pozostali albo wynajmują drogie mieszkania, albo mają kilkudziesięcioletnie kredyty. Ostatnią rozsądną politykę mieszkaniową, czyli stworzenie TBS-ów, mieliśmy w 1995 r. Potem jedynym pomysłem było dopłacanie do kredytów hipotecznych lub wkładu własnego. Pozostawiliśmy sprawę wolnemu rynkowi, który zawiodł w tej kwestii. Mieszkanie można kupić, wynająć na rynku prywatnym lub wynająć mieszkanie od państwa. W Polsce jedyna dostępna opcja dla młodego człowieka to ta najgorsza, czyli kupno mieszkania.

Mamy za Słowacją drugą najmniejszą liczbę mieszkań w przeliczeniu na 1000 osób w całej UE. Prawie co druga młoda osoba w Polsce (25–34 lata) mieszka z rodzicami

głównie o mieszkania i stabilną pracę. To są dwa obszary, które w dużej mierze dotyczą ludzi młodych i w których transformacja zawiodła.

W ostatnich 30 latach powstało 3,5 mln mieszkań, rośnie ich metraż, także w przeliczeniu na osobę.

Najgorsza? Jeśli ktoś kupi mieszkanie, to nawet gdy przez kilkadziesiąt lat spłaca kredyt, w końcu mieszkanie będzie jego.

W pewnym momencie życia tak, ale gdy jesteśmy młodzi, kupno mieszkania zmniejsza naszą chęć do ryzyka – a kto ma ryzykować, jeśli nie młodzi? Zmniejsza także naszą pozycję przetargową wobec pracodawcy, bo mając kredyt, boimy się, że pracodawca nas zwolni, jeśli będziemy się czegoś od niego domagać. Jesteśmy też mniej skłonni się przenosić za pracę. Rynek najmu jest w Polsce bardzo mały i bardzo drogi.

Skoro jest popyt, to powinna się pojawić podaż.

Mieszkań jest coraz więcej, ale tempo przyrostu ich liczby jest zbyt wolne. Brakuje przede wszystkim tanich mieszkań



JAKUB SAWULSKI
„POKOLENIE
’89. MŁODZI
O POLSKIEJ
TRANSFORMACJI”
WYDAWNICTWO
KRYTYKI
POLITYCZNEJ 2019

czynszowych. Gdyby państwo zadziałało tu mocniej, poprawiłoby to sytuację na pozostałych obszarach, bo konkurencja spowodowałaby, że staniałyby zarówno mieszkania na zakup, jak i wynajem.

A „Mieszkanie Plus”?

Ten program był dużą nadzieją, ale przez ponad dwa lata nie działał się praktycznie nic. Rząd nie wykazywał w nim minimum tej determinacji, którą wykazywał przy okazji „500+” czy obniżaniu wieku emerytalnego. Polityka mieszkaniowa znów okazała się mało ważna.

Co najbardziej uwiera młodych ludzi w rynku pracy?

Mamy drugi najwyższy w UE odsetek pracujących w niestabilnych formach zatrudnienia – co czwarty Polak, a co drugi młody pracuje na umowę cywilnoprawną albo umowę o pracę na czas określony. Pracodawcy nadużywają umów terminowych, a to z punktu widzenia młodych ma bardzo negatywne skutki.

Jakie?

Po pierwsze, gdy ktoś pracuje na taką umowę, pracodawcy mniej w niego inwestują. To pokazuje badania. Po drugie, umowa terminowa wyklucza z możliwości wzięcia kredytu na mieszkanie, a więc utrudnia zaspokojenie potrzeby mieszkaniowej. Po trzecie, bardzo często spotykałem się z sytuacją, że pary odkładały decyzję o dziecku, aż kobieta dostanie umowę na czas nieokreślony, bo tylko taka umowa daje gwarancję, że gdy urodzisz dziecko, pójdziesz na urlop macierzyński i wrócisz z niego do pracy.

Ułatwienia w zatrudnianiu ludzi w takich formach pojawiły się, gdy bez pracy pozostawał co piąty Polak, by zmniejszyć bezrobocie. Tego dało się uniknąć?

To pomogło pewnej części bezrobotnych, tylko że skala uelastycznienia rynku pracy poszła za daleko. W tym swój udział miały instytucje publiczne. Eksplozja niestabilnego zatrudnienia nastąpiła po 2000 r., a wiele takich umów pojawiało się przed 2012 r., kiedy przygotowywaliśmy się do Euro. Firmy budowlane były zmuszone do zatrudniania ludzi na umowach cywilnoprawnych, bo takie były warunki przetargów.

Robiły to też ministerstwa, a Państwowa Inspekcja Pracy wręcz się wycofywała z kontrolowania takich sytuacji.

Problemy mieszkaniowe i na rynku pracy powodują, że młodzi ludzie nie chcą mieć dzieci lub odsuwają decyzję na później?

To są dwa istotne czynniki. Trzeci to niedobór żłobków i przedszkoli. To paradoks, że po wprowadzeniu „500+” jesteśmy w czołówce państw UE, jeśli chodzi o wydatki na politykę prorodzinną, a jednocześnie mamy jedną z najgorszych dostępności zwłaszcza żłobków.

Nasze pokolenie jest zbyt wygodne? Pisze pan, że „posiadanie dzieci ma w naszym społeczeństwie negatywny PR”.

Gdy moja żona zaszła w ciążę, ogarnęło mnie przerażenie, bo znajomi zaczęli mi wróżyć czarną przyszłość: „O, bracie, teraz już nie umówimy się na piwo, będziesz siedział w pieluchach, kończy się twoje prywatne życie i zapomnij o karierze zawodowej”. A to zupełnie nieuzasadnione – posiadanie dzieci jest fantastyczne, dodaje dużo dobrego do życia, a jednocześnie nie trzeba rezygnować z przyjaciół ani uciech. Zmiana tego PR mogłaby sytuację nieco poprawić, ale to nie wystarczy. W polskim społeczeństwie następują bardzo silne zmiany kulturowe. Według Pew Research Center mamy największą międzypokoleniową różnicę w religijności ze 108 badanych krajów. Bardzo otwieramy się na zachodni styl życia. Nie oceniam, czy to dobrze, ale ma to wpływ na dzietność. Nie mam wątpliwości, że spadek dzietności był nieunikniony, ale to nie znaczy, że musiała ona spaść do tak dramatycznie niskiego poziomu, jednego z najniższych na świecie. To już skutek braku różnych polityk państwa, o których mówiłem wcześniej.

Ostatnio PiS postanowił pomóc młodym, wprowadzając zerowy PIT dla osób poniżej 26. roku życia. To dobry pomysł?

Ta propozycja może pomóc części młodych w lepszym wejściu na rynek pracy, szczególnie tym, którzy kończą szkołę zawodową lub technikum, nie mają doświadczenia i mają słabą pozycję przetargową w relacjach z pracodawcą. Zerowy PIT obniży koszty ich zatrudnienia o kilka punktów procentowych. Skala tego programu jest jednak mała.

Jego koszt to 2,5 mld zł. Obniżenie wieku emerytalnego to 10 mld zł rocznie i to tylko teraz, bo długoterminowo to będzie więcej. Trzynasta emerytura to kolejne 10 mld. 20 mld zł kierowane jest do osób powyżej 60. roku życia – osiem razy więcej niż do młodych.

Dla młodych jest „500+”.

To program przede wszystkim dla osób w wieku 30–50 lat. Osób w wieku 18–29 jest tyle samo co osób powyżej 65. roku życia, a skala wsparcia jest zdecydowanie mniejsza.

Bo głosują rzadziej. Sam pan pisze, iż „to my, młodzi, pokazaliśmy, że nie umiemy walczyć o swoje”.

Zaangażowanie polityczne nie ma aprobaty społecznej. A jednym z najważniejszych bodźców naszych działań jest poczucie, że to, co robimy, jest pochwalane. Dopóki nie będzie aprobaty, dopóty młodzi nie będą się angażować, dlatego musimy zmienić sposób mówienia o polityce. Co więcej, jeśli nie mamy zaspokojonej podstawowej potrzeby bezpieczeństwa, to nie będziemy zajmowali się innymi sprawami. W piramidzie potrzeb człowieka bezpieczeństwo jest na drugim miejscu, tuż za potrzebami fizjologicznymi.

Może nie jest tak źle, skoro młodzi nie chcą walczyć politycznie o swoje interesy? I być może to jest ostateczna, pozytywna opinia pokolenia '89 na temat ostatnich 30 lat?

Ta opinia nie jest pozytywna, a to, że my się wycofujemy, nie znaczy, że jest dobrze. Po prostu nie czujemy sprawczości. Jeśli nam się nie podoba w Polsce, to z niej wyjeżdżamy, zamiast ją zmieniać, a jeśli nie podoba nam się system emerytalny, to uciekamy w niestabilne formy zatrudnienia, zamiast protestować przeciwko obniżce wieku emerytalnego. Politycy reagują na bodźce, a tym bodźcem są głosy w wyborach. Jeśli młodzi dwa razy rzadziej głosują, to oczywiste jest, że oferta będzie kierowana do starszych. To my, młodzi, musimy to przerwać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jakub Sawulski – doktor ekonomii, adiunkt w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie oraz szef zespołu makroekonomii Polskiego Instytutu Ekonomicznego, autor książki: „Pokolenie '89. Młodzi o polskiej transformacji”.

WSPÓLNOTA STOŁU



Joanna Bojańczyk

Młodsze roczniki nie pamiętają, że gdzieś w latach 60. Polacy na trzy dziesięciolecia zostali skazani na mękę jedzenia przy stoliku jamniku. Dzisiaj stół odzyskał straconą wtedy pozycję

Na Targach Rzeczy Ładnych, które w grudniu odbyły się w warszawskim Koneserze, można było (nomen omen) naprawdę obejrzeć – i kupić – dużo ładnych przedmiotów. Ceramika, szkło, tkaniny, ubrania, biżuteria. Moją uwagę przykuły meble, a szczególną – stoły. Było ich w Koneserze naprawdę sporo. Nasi projektanci – stolarze nowego pokolenia: Swallow Tail, Un’common, Steil, Raw, Boformi, Conceptdesign (rodzimi wbrew obcym nazwom) – pokazali cały repertuar stołów. Do obiadu, do kawy, do nocnej lampki, klasycznych, nowoczesnych, odlotowych i zwyczajnych. Większość wykonana z naturalnych rodzajów drewna, ale też w łączeniu z metalem, plastikiem, ze szkłem. Potwierdziło się to, że polskie meblarstwo ma się doskonale.

– Polskie meble to nasz eksportowy przebój – mówi Katarzyna Rzehak, dyrektor kreatywna w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. – Pozycję czwartego eksportera mebli na świecie załatwiły nam nie tylko dobry design, wysoka jakość, lecz także niska cena. Polskie meble na rynkach zagranicznych są po prostu bardzo tanie w stosunku do tego, jak dobrze wyglądają i jak solidnie są zrobione. Na przykład konserwatywni Anglicy wysoko cenią polskie meble tapicerowane, bo przy produkcji kanapy niezbędny jest element rzemiosła, ręcznego wykonania, do którego Anglicy – jako tradycjona-

ści – są przywiązani. Cały świat siedzi na polskich krzesłach i fotelach, bo meble do siedzenia to 50 proc. naszego wielkiego eksportu. Jeśli tylko uda się nam wzmocnić polskie marki i nauczymy się sprawnie personalizować meble, czyli dopasowywać je do indywidualnych potrzeb odbiorców, to możemy być spokojni o światowy sukces.

Przy okazji prezentacji w Koneserze nasza mnie myśl o odrodzeniu stołu. O tym, że szczęśliwie odzyskał on w naszej świadomości i w naszych mieszkaniach prestiż utracony w PRL. Stół znowu jest ważny. Młodsze roczniki nie pamiętają, że gdzieś w latach 60. Polacy na trzy dziesięciolecia zostali skazani na mękę jedzenia przy stoliku jamniku.

SIEDEM METRÓW NA OSOBĘ

Gdy Le Corbusier wprowadził swoją ideę mieszkania maszyny, większość czynności życiowych miała być przekierowana na zewnątrz (ktoś powiedział o Corbusierze, że swoimi pomysłami wyprzedził więcej zła niż Hitler – to jednak przesada, ale że z Hitlerem i Mussolinim sympatyzował, to fakt). W mieszkaniu maszynie i bloku maszynie stół przestał

być potrzebny. Pranie miało odbywać się we wspólnej pralni, jedzenie w zakładowej stołówce. Uchowała się jedynie indywidualna łazienka. Ze sprzętów pozwolono na stolik jamnik, na którym można było najwyżej położyć nogi, oglądając telewizję przed pójściem spać.





Mebel to polski eksportowy przebój. Na zdjęciu: stolik rodzimego projektanta Konceptdesign, z lewej i poniżej: stoły firmy Raw

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X3)

I ten model socjalistyczna Polska przyjęła z entuzjazmem; wychodził naprzeciw powojennej biedzie oraz założeniom ustroju – mało, ale po równo dla każdego. Polska zarosła blokami, których wtedy jeszcze nie nazywano blokowiskami. Wtedy były szansą na małe, ale własne mieszkanie. Jednak bieda i gomułkowski normatyw – 7 mkw. na osobę – dokonały swego.

W serialu „Wojna domowa” (lata 60.) u nowoczesnych rodziców Anuli widać mikrokuchnię, w salonie regał i niski stolik. Stołu brak. U trochę starszych i bardziej konserwatywnych rodziców Pawła przetrwał przedwojenny okrągły stół. Państwa Karwowskich z „Czter-

dziestolatka” – to już lata 70. i mieszkanko w blokach – też nie widzimy przy wspólnym posiłku. Gdzie i jak jadają, nie wiadomo. Widocznie

stołówka szkolna i zakładowa spełniają ich niewygórowaną potrzebę smaku. Za Gierka tylko kawę, której zresztą permanentnie brakowało, można było wypić w domu, przysiadając na wersalce i kuląc nogi przy jamniku.

Po 1989 r. powraca marzenie o prawdziwej jadalni i prawdziwym stole nakrytym prawdziwą zastawą. Takim, przy którym rodzina może zasiąść do wspólnego posiłku. W apartamentowcu, który zastępuje blok, chociaż niewiele się od niego różni, ma być konieczne miejsce na stół. Kuchnie łączą się z saloniem i znowu można jadać w normalnych warunkach. Teoretycznie i paradoksalnie. Bo im większe ma się mieszkanie, tym więcej trzeba pracować na spłatę kredytu. Tym mniej czasu przebywa się

w domu. W telewizji co rusz pojawia się nowy program kulinarny, ale w domu po powrocie z pracy na szybko odgrzewa się słoik przywieziony od mamy z prowincji, pizzę albo pierogi. O skomplikowanym i wyrafinowanym jedzeniu prościej poczytać, a najlepiej obejrzeć to w telewizorze. Uśmiechnięta rodzina jada radosne wspólnie śniadanie (pyszny twarożek) albo obiad (pyszny rosółek) wyłącznie na reklamach. W realu są pośpiech i permanentny deficyt czasu. Wspólny obiad tylko w niedzielę – dobre i to. Pozostaje wspólny stół u cioci na imieninach z menu, którego bynajmniej nie zaczerpnięto z restauracji Atelier Amaro. Raczej sałatka jarzynowa, pasztet i bigos.

W STARYM WIEJSKIM DOMU

Jednak przecież człowiek jada nie tylko z głodu, lecz także dla towarzysztwa. I po to przychodzi się do knajpy. Zjeść, spotkać znajomych, pogadać, polansować się.

Stół w Charlotte, bistro uchodzącym za najbardziej hipsterski lokal w Warszawie, zyskał już miano „kultowego”. Rano i przed południem, kiedy goście wpadają na kanapkę i kawę, ma regulaminową wysokość „do jedzenia”, a siedzi się na zwykłych krzesłach. Ku wieczorowi, gdy zbliża się pora wina, blat wędruje do góry, stając się rodzajem wspólnego baru, a biesiadnicy zamieniają zwykłe krzesła na barowe stołki. Autorzy mebla – Małgorzata i Tomasz Rygalikowie ze studia Rygalik – wykonali go z drewna pozyskanego ze starej stodoły. Ma stwarzać wrażenie wysłużonego, wytartego. I stwarza. Jest miły, swojski, przyjazny, tak jak stół w starym wiejskim domu.

Takie stoły jak w Charlotte stają się coraz powszechniejsze w przestrzeni knajpianej.

Gdy jednak przyjrzeć się biesiadnikom, łatwo dostrzec, że większość z nich zatopionych jest nie we wspólnej rozmowie, do czego wspólny stół zdaje się usposabiać, ale w ekranach własnych laptopów lub smartfonów. Przychodzą tu głównie bywalcy. Kontakty nawiązują się raczej tam, gdzie już wcześniej zostały nawiązane. Bliskość fizyczna nie wydaje się przesadzać w znajomości.

Czy wspólny stół jest lekarstwem na samotność współczesnej miejskiej cywilizacji?

Common table – tak jak większość designerskich pomysłów – przyszedł do nas z Zachodu. Teoretykiem i pio-

nierem ruchu była Holenderka Marije Vogelzang. Absolwentka Akademii Designu w Eindhoven stała się prawdziwym guru „stylu jedzenia”, „food designerką”. Zajmuje się smakiem, zapachem, kolorem, dźwiękiem, wszystkim, co jedzeniu towarzyszy.

Poproszona o zaprojektowanie kolacji bożonarodzeniowej Vogelzang doszła do wniosku, że funkcjonują tu same stereotypy. Zaczęła szukać nowych pomysłów. Swoją projekt nazwała „Sharing Dinner”. Przy wspólnych stołach posadziła nieznanymi, nad nimi powiesiła przesłony z ciasta, zwisające z góry w ten sposób, że biesiadnicy nie widzieli się wzajemnie. Szukanie się, wspólne żarty oraz menu, na tyle banalne, że trzeba było składnikami się wymieniać – to wszystko miało sprawić, że uczestnicy tego osobliwego bankietu zaczęli nawiązywać więzi. Na dodatek wyposażono ich w nożyczki, mogli nimi wycinać dziury w zasłonach. Ta cokolwiek przedszkolna rozrywka połączyła ich...

Od 2004 do 2011 r. Vogelzang prowadziła w Rotterdamie i Amsterdamie dwie eksperymentalne restauracje o nazwie Proef. Tam właśnie postawiła wspólne stoły. Chciała sprawdzić, jak ludzie będą się przy nich zachowywać. Rozmawiać, zaczepiać się, poznawać? Pomysł – prosty i stosunkowo tani do zrealizowania – chwycił. Początek popularności knajp ze wspólnym stołem dała międzynarodowa sieć Le Pain Quotidien, gdzie oczywiście poza wspólnym stołem są także te mniejsze, indywidualne.

Wspólnota stołu może jednoczyć, choć nie wszystkich i nie na równych prawach. Na uroczystych kolacjach wydziałów na Uniwersytecie Oksfordzkim ciała profesorskie zasiada przy High Table, stole umieszczonym na specjalnym wywyższeniu. Studenci zajmują miejsca poniżej, przy ustawionych wzdłuż ścian Low Tables. Zwyczaj, praktykowany w Oksfordzie od stuleci, wywodzi się ze średniowiecza, gdy w zamkach państwo jadali w osobnej sali i mieli osobne menu niż służba. Po kolacji goście przechodzą na deser do innej Sali, zabierając ze sobą serwetkę. Kto serwetki nie zabierze, ten daje dowód, że jest nowy i nie zna uświęconych reguł... W drugiej sali goście przekazują sobie z rąk do rąk pudełko czekoladek i tabakierkę. Ta ostatnia na wszelki wypadek ma wygrawerowaną nazwę uniwersytetu, bo poprzednią ktoś ukradł...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. INSTYTUT FIZJOLOGII I PATOLOGII SŁUCHU

Ciszę można przerwać



Z prof. Henrykiem Skarżyńskim
rozmawia
Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Od 17 lat Kajetany są sercem leczenia wad słuchu na świecie. Jak udało się panu do tego doprowadzić?

PROF. HENRYK SKARŻYŃSKI: Od otwarcia pierwszej części Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach w 2003 r. jesteśmy liderem światowej otologii, otocirurgii i audiologii. Wykonujemy najwięcej w świecie operacji poprawiających słuch: 15–18 tys. rocznie. Dla porównania w czołowych ośrodkach światowych ten wynik nie przekracza 2 tys. Podczas międzynarodowych warsztatów klinicznych pokazujemy na żywo kilkadziesiąt operacji otocirurgicznych dziennie, dotyczących głównie wszczepiania implantów słuchowych. W ramach globalnej światowej sieci telemedycznej LION pokazujemy „na żywo” również inne operacje poprawiające słuch, oglądane na różnych kontynentach. Nie są to łatwe pokazy, trafiają się nietypowe przypadki chorób wrodzonych, nabytych; rozwiązuję problemy, mając świadomość, że na moje ręce patrzy kilka tysięcy osób. W ciągu kilkunastu lat wykonałem wiele pionierskich operacji

poprawiających słuch z zastosowaniem najnowszych technologii, do których dzięki naszej pracy Polacy mają dostęp jako pierwsi lub jedni z pierwszych w świecie.

Na określenie „lider światowy” składa się nie tylko liczba operacji, lecz także ich jakość. Pokazałem wiele nowych zastosowań urządzeń wszczepialnych, stworzyłem nowe wskazania do leczenia chirurgicznego wrodzonych lub nabytych wad słuchu, nową metodę chirurgiczną „6 kroków według Skarżyńskiego”. Na określenie „światowy lider” składają się również nasze inicjatywy międzynarodowe. Od 2007 r. rozwija się prężnie pierwsza w świecie Krajowa Sieć Teleaudiologii, a od kilku lat pierwsza w świecie Międzynarodowa Sieć Teleaudiologii. Łączymy się z pacjentami w Polsce, Europie, Azji, Afryce i Ameryce Południowej, by przeprowadzać badania przesiewowe i diagnozować wady słuchu, ustawiać pracę wszczepionych urządzeń, nadzorować proces rehabilitacji. Przeprowadzaliśmy pokazowe operacje nie tylko w Kajetanach, lecz także w Azji, Europie i Ameryce Południowej.

Jak to się udało? Ciężką pracą, wykonywaną niezwykle systematycznie na wielu płaszczyznach – naukowej, klinicznej, dydaktycznej i organizacyjnej.

Efekty są niewyobrażalne. Mamy prawo być z nich dumni.

Film „Dzieci gorszego Boga” pokazywał, jak brak słuchu izoluje i wyklucza. Czy obecnie zawsze jest możliwe, by osoba niesłysząca od urodzenia odzyskała słuch?

Brak rozwiniętego narządu słuchu ma ogromny wpływ na rozwój naszej inteligencji. Ucho odbiera dźwięki już od ok. 21. tygodnia życia płodowego. Wtedy to właśnie droga słuchowa jest największym stymulatorem mózgu płodu i ma decydujący wpływ na rozwój inteligencji i sieci neuronalnych w ośrodkowym układzie nerwowym. Brak prawidłowo rozwiniętego słuchu po urodzeniu można nadrabiać, rozwijając pozostałe zmysły, jednak zawsze będzie to przeszkoda w rozwoju i rozumieniu współczesnego świata. Wady słuchu, zarówno wrodzone, jak i nabyte, wykluczają i izolują.

Na szczęście mamy wspaniałe osiągnięcia nauki i medycyny. Możemy pomóc prawie każdemu. „Prawie”, ponieważ trzeba zgłosić się na badania diagnostyczne, szanować ciszę i dbać o słuch od najmłodszych lat. Pomocne są nowe technologie. Implanty ślimakowe można wszczepić do ucha wewnętrznego po wykryciu wady wrodzonej już w pierwszych miesiącach życia (w przypadku

wad nabytych – w każdym okresie życia). Implanty ucha środkowego znakomicie wspomagają słyszenie w przypadku różnych jednostek chorobowych. Implan-ty wszczepiane do pnia mózgu pomogą w przypadkach niewykształconych lub uszkodzonych bezpowrotnie nerwów słuchowych.

Z nowych technologii może nie skorzystać osoba całkowicie głucha od urodzenia, która przez kilkadziesiąt lat nie stosowała żadnego wsparcia słuchowego i nie rozwinęła nawet podstaw języka mówionego. Taka osoba będzie miała pewne korzyści z operacji, ale nie tak spektakularne jak kilkumiesięczne dziecko, które urodziło się głuche; po roku korzystania z implantu jego rozwój trudno odróżnić od słyszących rówieśników.

Od pięciu lat organizuje pan Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Ślimakowe Rytm”, podczas którego grają i śpiewają osoby urodzone z poważnym deficytem słuchu. Skąd pomysł, że te osoby mogą nie tylko nauczyć się mówić, lecz także grać, śpiewać?

Już od 1993 r. obserwuję pacjentów, którzy muzykowali. Ogromne zainteresowanie zawsze wzbudzało, gdy osoba głucha od urodzenia lub ogłuchła zaczyna grać lub śpiewać. To pokazuje, jak doskonały może być słuch po wszczepieniu implantu. Dla rodziców, opiekunów i członków rodzin to ogromny impuls do pracy z własnym dzieckiem.

Dzieci implantowane mogą mieć nie tylko bardzo dobrze rozwinięty słuch, opanować język mówiony (lub nawet kilka), lecz także rozwijać swoje zdolności artystyczne. Od 1994 r. przy różnych okazjach starałem się to pokazywać. Przed sześciu laty postanowiłem zaprosić na festiwal muzyczny zdolnych ludzi w różnym wieku z całego świata. Tak narodziły się Ślimakowe Rytm.

To niezwykle, że profesor medycyny pisze też wiersze o swoich pacjentach i libretto musicalu. „Przerwana cisza” pokazuje nie tylko cud medycyny, czyli przywrócenie słuchu, lecz także pasje, które mają osoby wyrwane ze świata ciszy. Niestety, także problemy...

W tym musicalu obok zawodowych aktorów występują też moi pacjenci. Akcja rozpoczyna się od historii dzieci, które urodziły się głuche lub z głębokim niedosłuchem. Ich dalsze losy życiowe to wzloty i trudności, nie jest to scenariusz abstrakcyjny. To prawdziwe życiorysy, które głęboko zapadły mi w pamięć,

z którymi się utożsamiam jako naukowiec, lekarz, nauczyciel akademicki, organizator. „Przerwana cisza” pokazuje pasje życiowe i problemy, blaski i cienie, zachwyt i brak zrozumienia otoczenia. To też piękne kariery artystyczne, które mogą zachwycić nawet bardzo wybrednych krytyków. Musical, z doskonałą muzyką prof. Krzesimira Dębskiego i fantastyczną reżyserią Michała Znanieckiego, pokazuje, jak szczęśliwy może być człowiek, któremu przywrócimy słuch.

Możliwości nauki i medycyny pozwalają pomóc prawie każdemu. Osoba, która urodziła się głucha, po wszczepieniu implantu ślimakowego otrzymuje słuch, który jest dla niej tak naturalny jak nasz dla nas. Najbardziej cieszy mnie, gdy niesłyszący rodzice przyprowadzają do instytutu nowo narodzone niesłyszące dzieci, by je operować. Pamiętam, jak wielu z nich przed ćwierć wiekiem broń-ono się przed przeprowadzeniem operacji. Dzisiaj rozumiem, że ich słyszące dzieci po wszczepieniu implantu mogą znać ich język migowy i różne języki mówione, ale też mieć dobre możliwości powszechnej komunikacji.

Coraz więcej mówi się o telemedycynie, którą pan wykorzystuje od lat. W jaki sposób pomaga ona w diagnozowaniu i leczeniu wad słuchu?

Pierwsze telekonsultacje z wykorzystaniem Internetu przeprowadziłem w Polsce 20 lat temu. Następnie tworzyliśmy kolejne narzędzia do badań diagnostycznych wspólnie z prof. Andrzejem Czyżewskim i jego zespołem z Politechniki Gdańskiej. Za kolejne produkty telemedyczne „Słyszę”, „Widzę” i „Mówię” jako najlepsze innowacyjne wynalazki europejskie otrzymaliśmy liczne nagrody od kolejnych prezydentów w Radzie UE oraz kilkadziesiąt medali i innych wyróżnień na najważniejszych salonach wynalazczości i postępu technologicznego w świecie. Potem przyszedł czas realizacji pierwszej w świecie Krajowej Sieci Teleaudiologii, za którą otrzymaliśmy Nagrodę XXI Wieku w Waszyngtonie w 2010 r. oraz Złoty Medal i Prix Galien w światowym konkursie w Monte Carlo w 2014 r. Dzięki naszym kolejnym programom telemedycznym i nowym urządzeniom udało się przebadac słuch całej polskiej populacji wiejskiej pierwszoklasistów (z pomocą KRUS). Badaliśmy słuch dzieci warszawskich, a od dwóch lat badamy pierwszoklasistów na całym Mazowszu

(wspólnie z samorządem marszałkowskim województwa). Łącznie przebadaliśmy ponad 1,5 mln dzieci. Jednym z głównych koordynatorów był prof. Krzysztof Kochanek.

Od 2011 r. nasze działania rozszerzyły się na kraje Europy Południowej i Europy Wschodniej, Azji Środkowej, Afryki i Ameryki Południowej; koordynuje je mój syn prof. Piotr H. Skarżyński, wiceprezydent Światowego Towarzystwa Telemedycyny i ekspert WHO. Kolejne działania telemedyczne to Domowa Klinika Rehabilitacji. Chcemy, by większość zajęć rehabilitacyjnych można było prowadzić z dzieckiem w domu. Te usługi w zasadzie nie są finansowane obecnie przez NFZ, jednak technologicznie i organizacyjnie jesteśmy na nie gotowi.

W 2016 r. w Toronto międzynarodowe grono ekspertów uznało pana za jednego z czterech naukowców, którzy mają największy wkład w opracowanie wdrożeń służących rozwojowi współczesnych społeczeństw. A co dla pana jest największym zawodowym osiągnięciem?

W sensie naukowym – pokazanie, że możliwe jest połączenie zachowanego sprawnego słuchu w zakresie niskich i średnich częstotliwości ze słuchem elektrycznym uzyskanym po wszczepieniu implantu ślimakowego. Słuch elektryczno-naturalny, pozwalający na swobodne rozumienie mowy, jest szansą dla dziesiątek milionów osób. W sensie klinicznym sukcesem jest ponad 200 tys. operacji poprawiających lub przywracających słuch. Jestem też dumny z unikalnych międzynarodowych warsztatów szkoleniowych i ponad tysiąca operacji pokazowych „na żywo” w Europie, Azji, Ameryce Południowej. Główne osiągnięcie organizacyjne to wybudowanie Światowego Centrum Słuchu – największego na świecie ośrodka tej specjalności. Moim marzeniem jest pokazać, jak leczenie zmienia jakość życia osoby z wadą słuchu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Henryk Skarżyński
– otolaryngolog, audiolog i foniatra, twórca i dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu oraz Światowego Centrum Słuchu, w Kajetanach, konsultant krajowy w dziedzinie otorynolaryngologii.

RYCERZE I WARCHOŁY

Pijackie pojedynki króla Augusta



JACEK KOMUDA

Król August II Mocny nie zapisał się w historii Rzeczypospolitej najlepiej, doprowadzając do jej kompletnej ruiny, upadku i powolnego uzależnienia się od Moskwy i sąsiadów. Za jego czasów mocarstwa zaczęły otwarcie wtrącać się do polityki wewnętrznej Korony i Litwy, uniemożliwiając wszelkie reformy wzmacniające państwo.

W zamian za to szeroko zasłynął jako miłośnik kobiet i alkoholu, przez niego upowszechniła się moda na ogromne, przerażające pijaństwo – saskie ostatki przed stanisławowskim upodleniem Rzeczypospolitej. August II za życia wziął udział w niezliczonych biesiadach, z których do legendy przeszły dwa pijackie pojedynki z carem Piotrem I. Książę Kito-wicz, pisząc o najsławniejszych pijakach, podawał, że było ich trzech największych w Koronie, a jeden na Litwie. Można by śmiało uzupełnić ten poczet o koronowane głowy: dwóch było na początku XVIII w. pijackich władców w Europie Wschodniej – August II w Polsce i car Piotr I w Moskwie.

Do pierwszego pojedynku doszło w sierpniu 1698 r., kiedy świeżo koronowany król Polski podejmował w Rawie Ruskiej wracającego z podróży do Holandii cara. Piotr I występował incognito, przybył, by rozmawiać o sojuszu przeciwko Szwecji, który wiele lat później okazał się zabójczy dla państwa polsko-litewskiego. 10 sierpnia August II powitał gościa strzałem z armaty, potem zasiedli do stołu. „Piotr mówił po holendersku, August po niemiecku, czym odcięli się od większości obecnych, nieznaną tych języków” – pisał Jacek Staszewski, biograf Mocnego. Władcy siedzieli we dwóch przy stole w osobnej izbie, pili przez trzy dni i dwie noce. Wypili ponoć 12 beczek wina węgierskiego,



FOT. WIKIPEDIA

nie licząc butelek szampana i podniejszych trunków, które przeznaczone były dla czeladzi. Od razu w pijackim afekcie zawarli przyjaźń. Wcześniej zresztą przez swego ambasadora Piotr proponował Augustowi wsparcie wojskami rosyjskimi na wypadek buntu, król jednak tego nie przyjął.

Król Polski, jak podaje Staszewski, wygrał pijackie zawody, za co car darował mu sygnet wart 80 tys. talarów. W zamian za to August przydzielił gościowi eskortę 50 konnych, aby mógł bezpiecznie wrócić do Moskwy. Zapewne poczyniono także wówczas ustalenia w sprawie przyszłego sojuszu przeciwko Szwecji i postanowiono wspierać się wzajemnie, w razie gdyby Piotrowi zagroził bunt w Moskwie, a Augustowi – wrogie działania zwolenników księcia Franciszka Ludwika de Bourbon, księcia de Conti. Wybranego oficjalnie przez większość szlachty w elekcji 1697 r., ale niedopuszczonego do objęcia tronu przez Mocnego.

Drugi pijacki pojedynek miał miejsce w Birzach, pod koniec lutego 1701 r., po klęsce wojsk rosyjskich pod Narwą w listopadzie poprzedniego roku. Piotr I nie chciał dopuścić do wycofania się Augusta z wojny i w tym celu osobiście spotkał się z nim na Litwie. Tym razem oprócz pijackich

zawodów obaj monarchowie popisywali się siłą i nie na próżno król Polski nosił przydomek Mocny. W trakcie uczty, pod pretekstem, że jego talerz jest brudny, zwinął go w rulon i wyrzucił za siebie. Tak samo uczynił pijany Piotr I. Następnie August uchwycił kielich z winem i cisnął go w górę, oblewając sufit. Pijatykę zakończyły zawody artyleryjskie – obaj władcy zaczęli strzelać z armat stojących na wałach – zarówno pierwszy, jak i drugi pojedynek zdecydowanie wygrał August II Mocny.

Niestety, były to jedyne zwycięstwa, jakie odniósł król. Piotr I przegrał starcie na kielichy, ale wygrał w polityce, najpierw namawiając sojusznika do przyjęcia na siebie szwedzkiego uderzenia, potem zagarniając Inflanty, które miały przypaść Rzeczypospolitej. Według niektórych przekazów do spotkania władców miało dojść jeszcze raz, 8 października 1709 r. w Toruniu, gdzie urządzono ponoć walki byków na ulicach miasta. Podobno August II Mocny, popisując się siłą, uchwycił jednego z nich za rogi, obalił go i ściął mu łeb szabłą. Z kolei Piotr I kazał wyrzucić w górę sztukę sukna, po czym przeciął je w locie na pół. August próbował tego samego, jednak chociaż zmarnował kilka postawów, nie udało mu się powtórzyć wyczynu cara. Ponoć po tych popisach król Polski miał nisko ukłonić się Piotrowi, uznając jego wyższość w zręczności i sile. Faktycznie był to gest proroczy, pokazujący rzeczywistego zwycięzcę. Po zakończeniu wojny północnej car stał się bowiem wrogiem Augusta II Mocnego i aż do końca jego panowania uniemożliwiał mu prowadzenie polityki i jakiegokolwiek reformy Rzeczypospolitej, popierając opozycję i przekupując wrogich magnatów. ©

ALEKSANDRA KOSTKA WSPOMINA SURÓWKĘ BABCI TERESKI

U mnie w rodzinie ogromną wagę przywiązujemy do przepisów kulinarnych przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Dla moich dzieci ulubionym dodatkiem do obiadu jest surówka funkowska Prababci Tereski. Z racji tego, iż Pra-

babcia z Funki odeszła od nas niedawno, na Jej cześć przekazuję najgenialniejszy przepis na szybką surówkę – bombę witaminową – dla czterech osób (moja córka nie lubi zbyt dużo warzyw, ale tę surówkę wcina, aż miło patrzeć!).

A oto składniki (słownictwem naszej Prababci):

- żdziebło kapusty włoskiej świeżej (czyli ćwiartkę główki)
- żdziebło marchewek surowych (4 marchewki)
- żdziebło natki pietruszki (czyli cały pęczek)
- 1 cytryna
- cukier, sól, pieprz – według uznania
- ocet jabłkowy do smaku
- 2 łyżki oliwy

Wykonanie:

Kapustę zetrzeć na tarce na grubych oczkach, marchewki zetrzeć na małych oczkach, pietruszkę drobno pokroić, wszystko pomieszać z sokiem z cytryny, oliwą, z octem jabłkowym i doprawić przyprawami. Smacznego! ©© **oprac. raw**

Aleksandra Kostka – prezenterka pogody, prowadząca różne programy telewizyjne, konferansjerka, z wykształcenia aktorka musicalowa. Nominowana do nagrody Telekamery 2020. Do 16 stycznia można głosować, wysyłając SMS o treści TK.F2 pod nr tel. 7365 (3,69 zł z VAT – całkowity dochód wesprze dom artystów weteranów w Skolimowie) lub wchodząc na stronę: bit.ly/2swACKm.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Myśli przy choince

U nas wigilia jest duża – 25 osób, w tym ośmioro dzieci. Więc choinka też musi być duża. Ale drzewko czterometrowe nie jest łatwo zdobyć w Warszawie, więc w tym roku nasz najstarszy syn przedsięwziął pomysł pojechania na plantację i w tym celu umówił się z leśnikiem w Lasach Chojnowskich. Szumiący bór, szmaragdowe jodełki, wśród nich wielkooka sarenka – tak wyobrażaliśmy sobie ekspedycję w grudniowy poranek. Rzeczywistość okazała się dużo bardziej prozaiczna. Zamiast szmaragdowych jodeł wyłysiały drapaki, zamiast boru i sarenki – droga krajowa z pędzącymi po niej tirami. Ale po tym rozczarowaniu jodłowe drzewko zostało kupione, jak należy – trzymetrowe. Tyle że nie na plantacji, a w punkcie sprzedaży na Mokotowie. Z Danii, kraju, jak wiadomo, o dużym zalesieniu...

Z całych świąt Bożego Narodzenia moment ubierania choinki, w przededniu Wigilii należy do moich ulubionych. Ubiera ją od lat nasz najmłodszy syn, w tym roku w towarzystwie żony. Wyciąganie z koszyka ozdób, które u nas od lat są takie same, odpłatynie światła. Każda ozdoba ma własny pedigree: anioł wieńczący czubek

przyjechał z nami z Meksyku lata temu, czerwone jabłuszka pochodzą z pobytu w Puerto Rico, nowojorskie bombki są od Ani G., naszej przyjaciółki, srebrne gruszki i gwiazdki od Magdy. Wełniane bombki kupiłam na kiermaszu w Szkole Przymierza Rodzin... A chwila, kiedy zapala się lampki i z grudnia mroku wyłania się rozświetlone drzewko, ma naprawdę wiele magii.

Ale święta mijają i choinkę należy rozebrać. Robimy to jak najszybciej po Świącie Trzech Króli. W tym roku choinka szybko zwiędła, gałęzie jej opadły. Wygląda to smętnie. Znajomi mówią to samo o swoich drzewkach – ciekawe, czy to ma związek z suszą, która dotknęła całą północną Europę. Mówi się, że świerk w ogóle zginie w naszym obszarze z powodu obniżenia poziomu wód gruntowych.

Równie smętne jak choinka są myśli przy jej rozbieraniu. Przemijanie. Co będzie za rok? Dzieci urosną. Ale czy będziemy w tym samym gronie co teraz? Oby nikt nie ubył, a może by przybył...

Ach, gdybyśmy tak, jeśli katastroficzne prognozy się nie spełnią, mieli choć raz Wigilię ze śniegiem...

Na razie trzeba odkurzyć, powyjmować igły z dywanu i pozbyć się kikuta. I znowu czekać rok. ©©



FOT. ADRIAN STOK

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Koniec świata da się przeżyć

Ja to, proszę państwa, przećwiczylem wielokrotnie razem ze swoim organizmem, który nie miał leko, o nie! Otóż konsekwencją końców świata bywają zgony. Wiążą się one z przedkońcowym nadmiernym spożyciem napoi akcyzowanych, po których dopiero w okolicach południa następuje względne ożywienie. Przeżyłem co najmniej kilkanaście końców świata. Nadmienię tu w telegraficznym skrócie, że najpewniejszym końcem świata był koniec kalendarza Majów, ale najczęstszym były uderzenia asteroidów, które całkowicie niszczyły kulę ziemską. Nostradamus też często kończył już ten świat, ponieważ on podawał dokładne daty, to było wiadomo, którego dnia. Solidny prorok, a nie jakies tam pytie...

Kiedyś podejrzewałem, że za końcami świata stoją banki (wiadomo, że bankierzy stoją za wszystkim, co wartościowe), ponieważ zbliżający się koniec świata zawsze prowokuje do aktywności kredytowej oraz gwałtownej swawoli, bo „a co mi tam i tak trup spłacać nie będzie”. Koło południa po końcu świata do kredytobiorców dociera jednak, że trzeba będzie, co prowadzi zazwyczaj do kolejnej utraty świadomości. Czas się wówczas nieco zatrzymuje. Tak nadmieniam o tej drobnej i częstej dolegliwości, którą jest koniec świata, z powodu odkrycia nowych przepowiedni, m.in. Nostradamusa, że teraz to już na pewno The End. Wszystkie znaki się zgadzają, tu wybucha, tam stalowe ptaki

szybują, tu się trzęsie, a ludzie są teraz źli, jak jeszcze nigdy nie byli. Dla mnie osobiście omenem końca świata jest także orzeczenie angielskiego sądu, który stwierdził, że niemieszcy będą się mogli domagać odszkodowań, bo w nowych banknotach pięćfuntowych jest szczypta zwierzęcego tłuszczu, żeby te banknoty były trwalsze. Ten fakt podobno robi w głowach tych szlachetnych ludzi koniec świata. To może przynieść pewne korzyści. Fakt, że szlachetni ekolodzy deklarują, że nie będą się rozmnażać, bo to może zniszczyć planetę, też jest końcem świata, ale dla pewnego garnituru genów. Swoją drogą zastanawiam się – nie chcę nikogo urazić – czy z powodu ekologii postępowe środowiska zabronią nam wkrótce mycia się, a osobnik, od którego nie będzie zalatywać zapaszkiem, nie stanie się wrogiem planety, czyli wrogiem publicznym, czyli łotrem zużywającym wodę na fanaberie. Ale to inny temat.

Ponieważ prowadzę tu kącik trochę doradczy, pragnę państwa uspokoić, że ten najbliższy koniec świata też da się przetrwać. Nie odradzam tak całkowitego niebrania kredytów na tę okazję (bo każda okazja jest dobra, aby do tyłu przechylić głowę, a co już człowiek przechylił, to nikt mu nie odchyli), zalecam jednak pewien umiar w kwotach kredytu, żeby do następnego końca świata spłacić, bo przecież ponad życie cenimy honor. „Innego końca świata nie będzie. Innego końca świata nie będzie” – jak śpiewał Czesław. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Pożar w świecie fejków

Choć „postprawda” została okrzyknięta słowem roku 2016, od tego czasu mogłaby równie dobrze zajmować zaszczytne pierwsze miejsce w każdym kolejnym rankingu. Zwłaszcza w kwestiach klimatycznych, działanie na emocje, epatowanie poruszającymi zdjęciami czy dramatycznymi filmikami, osiągnęło ostatnio apogeum. Właściwie niczemu nie można już wierzyć nie tylko na słowo, lecz przede wszystkim – na obraz. Podczas pożarów lasów amazońskich celebryci i politycy masowo publikowali nieaktualne albo celowo zmodyfikowane materiały, mające działać na wyobraźnię i ukazywać skalę zjawiska. Niczego się jednak od tego czasu nie nauczyli, wpadając w te same sidła podczas pożarów w Australii.

Widzieli państwo łamiące serce zdjęcie kangura, który rzuca się w objęcia kobiety, „dziękując za uratowanie z pożaru”? Ma trzy lata i zrobiła je jedna z turystek, odwiedzając podczas wakacji schronisko dla ssaków w miejscowości Alice Springs. Natknęli się państwo może na mapy pokazujące skalę kataklizmu, sugerując, że to tak, jakby niemal cała Europa stanęła w płomieniach? W rzeczywistości płonie lub płonęło 80 tys. km kw. – oczywiście nadal dużo – ale to skala Austrii, a nie kontynentu. Dodatkowo znacznie niższa niż spustoszenia, które wyrządził kataklizm z lat 1974–1975 czy z roku 2009, kiedy zginęły 173 osoby. Stosunkowo często w polskich i zagranicznych mediach mówi się również

o tym, że w płomieniach udusiło się bądź spłonęło pół miliarda zwierząt, a populacja koali zmniejszyła się o połowę. Tymczasem, na co wskazuje Chris Dickman z Uniwersytetu Sydney, autor badań, są to dane szacunkowe, nieprecyzyjne i trudne do zweryfikowania. Podobnie odnośnie do koali, o których wiemy tyle, że populacja istotnie się skurczyła, ale nie globalnie, a w regionie Nowej Południowej Walii. I nie o 50, ale o ok. 30 proc.

Podobnych przykładów jest bez liku – od zdjęcia „płonącej Australii wykonanego z samolotu” (w rzeczywistości zachodu słońca nad Hawajami z 2018 r.), do „zdjęcia satelitarne NASA, pokazującego kontynent w ogniu”. To ostatnie udostępniano masowo – u nas zrobili to bez kontekstu Donald Tusk czy Krystyna Janda. Tymczasem, jak zaznacza autor, artysta Anthony Hearsey, to jedynie grafika komputerowa. Zbierając miesięczne dane z satelity FIRMS, która rejestruje obszary z podwyższoną temperaturą, „Skala jest trochę przesadzona z uwagi na efekt blasku” – napisał na swoim Instagramie artysta. Dlaczego o tym piszę? Przecież nie po to, aby bagatelizować dramat Australijczyków, uspokajając, twierdzić, że skala zjawiska nie ma niczego wspólnego z ocieplaniem się klimatu, rozmięknąć cierpienie ludzi i zwierząt na drobne. Piszę o tym właśnie dlatego, że ich walka i tragedia zasługuje na prawdę, a nie powielane masowo postprawdy. ©©

SOBOTA 20:35



OCALENIE OJCZYZNY

Cykl historyczny dotyczący Bitwy Warszawskiej

NOWOŚCI
w Telewizji Republika

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

epasa.pl dbd2f5d36f

SŁAWOMIR
CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Patroni ich ulic

No i nadszedł rok 2020! Rok wielkich rocznic: Bitwy Warszawskiej 1920 r. i Sierpnia '80. Dwie symboliczne klamry antykomunizmu polskiego XX w. Pierwsza z nich nie ma sobie równych, bo my tę wojnę z Sowietami w 1920 r. wygraliśmy. Jednak zwycięstw obchodzić nie potrafimy. Wchodzimy więc w rok 2020 bez muzeum wojny 1920 r., bez łuku triumfalnego, bez pomnika w godnym miejscu. Tak jak pomnik czynu zbrojnego Polonii Amerykańskiej ukryliśmy gdzieś w pasie zieleni na Żoliborzu, choć siłą zwycięskiej Armii Polskiej dowodzonej przez gen. Józefa Hallera kilkakrotnie przewyższała cały wysiłek legionów, tak teraz prezydent Warszawy chciałby podobno umieścić pomnik Bitwy Warszawskiej w okolicy placu Na Rozdrożu, i to w dodatku jakby poniżej ronda, mniej więcej na poziomie zbiegu Alei Ujazdowskich i... Armii Ludowej.

Polityka symboliczna wolnej Polski jest polityką pustych rąk z mieszaniną chaosu różnych pamięci, w których kat spotyka się z ofiarą, a zdrajca z bohaterem. To wszystko w obliczu zainicjowanej przez Putina wojny informacyjnej przeciw Polsce z historią w roli głównej powinno budzić przerażenie, a na pewno pobudzić nas do zmiany postępowania. Nic z tych rzeczy.

Wciąż prześcigamy się w obelgach i epitetach, kto jest większą „ruską onucą” i „pożytecznym idiotą Putina”. Szczególnie dziwne, jeśli w tych zawodach tak czynnie uczestniczą reprezentanci Platformy Obywatelskiej – partii, której kierownictwo w ramach niedawnego resetu z Rosją wysyłało dziatwę na cmentarze Armii Czerwonej ze środkami czystości i zniczami, stawiało pomnik pamięci sowieckim najeźdźcom z 1920 r. w Ossowie, blokowało niektóre książki w IPN ze względu na ich nazbyt antysowiecki wydźwięk, uczestniczyło w obchodach dnia zwycięstwa w Moskwie (razem z Jaruzelskim) i Petersburgu... Wreszcie kiedy nadarzyła się okazja, by z naszej przestrzeni publicznej usunąć sowieckie relikty i pomniki sowieciarzy, Platforma stanęła w ich obronie.

To jest ich symboliczno-merytoryczny wkład w nową wojnę z Rosją o historię! Mówią w mediach o prowokacjach Putina i tropią prorosyjskość PiS, czego symbolem ma być import rosyjskiego węgla, sami zaś na każdym kroku konserwują sowieckie wpływy w przestrzeni publicznej. Ale przecież nie tylko... jeśli popatrzymy na konsekwentną obronę przywilejów emerytalnych ludzi i funkcjonariuszy partyjnych we własnych szeregach.

Symbolem postkomunizmu PO i całkowitej fałszywości jej medialnego przekazu pozostaje dla mnie jedno nazwisko – Oskar Lange, któremu poświęciłem kilka lat poszukiwań archiwalnych i wiele tekstów. Przywrócenie jego ulicy na Mokotowie zamiast ulicy bohaterskiego socjalisty Tomasza Arciszewskiego pozostaje skandalem. Prawdopodobnie na przełomie lat 1941–1942 czołowy aktywista Komunistycznej Partii USA – Bolesław Gebert (agent sowiecki o ps. Ataman)

– pozyskał do współpracy z Sowietami profesora ekonomii związanego z czołowymi uczelniami amerykańskimi w Chicago, Stanfordzie, Michigan, Berkeley i Nowym Jorku – Oskara Langego (ps. agenturalny Friend). „Gebert pozyskał Langego do współpracy z wywiadem sowieckim – pisał wybitny analityk CIA i historyk Herbert Romerstein – Był to bardzo ważny werbunek dla NKWD. W jednej z depezy do Moskwy Gebert przekazał, że Lange jest »czołową postacią w sferze relacji sowiecko-polskich«. Chociaż Lange, będąc obywatelem amerykańskim, przez długi czas trzymał się z dala od spraw polskich, miał on dużo wartościowych kontaktów w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w kręgach amerykańskich, rosyjskich i polskich socjalistów oraz wśród dziennikarzy”.

5 lipca 1945 r. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania uznały komunistyczny Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, a tym samym wycofały swoje poparcie dla legalnych władz RP w Londynie. Dwa dni wcześniej Oskar Lange otrzymał z ambasady Związku Sowieckiego w Waszyngtonie depezę z Moskwy od Zygmunta Modzelewskiego: „W związku z rychłym uznaniem przez Aliantów rząd upoważnia Was do podjęcia już teraz kroków wstępnych w celu zabezpieczenia mienia państwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Z chwilą ogłoszenia uznania zwróćcie się formalnie do Białego Domu w celu przejęcia mienia. Zawiadamiamy o Waszej misji za pośrednictwem Moskwy”. 17 lipca 1945 r., także za pośrednictwem ambasady sowieckiej w Waszyngtonie, Lange dowiedział się, że został ambasadorem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w Stanach Zjednoczonych.

I wciąż jest patronem ulicy w Warszawie! ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





Józef Piłsudski — Wyzwoliciel (1918) i Wybawiciel (1920) Polski, największy spośród rodzimych narodowych bohaterów — urodził się 5 grudnia 1867. W ostatnią rocznicę tych urodzin, 5 grudnia 2019, endeck Rafał A. Ziemkiewicz nazwał Komendanta publicznym „bandytą”, przypisując mu (nie pierwszy raz) skrytobójstwo popełnione na Włodzimierzu Zagórskim, jednym z największych aferzystów/kryminalistów II RP, który prawdopodobnie zginął wskutek wewnętrzmafijnych porachunków. Dla ustosunkowania się do tych Ziemkiewiczowskich kalumni człowiek ma ochotę użyć słowa dłuższego niż najdłuższe polskie słowo (konstantynopolitańczykowiec), też na literę k. Dłuższego, czyli całego felietonu.

Robienie Marszałka Piłsudskiego priwiślińskim Pablo Escobarem, co rozkazywał swoim legionowym „sicarios” mordować politycznych przeciwników, to jedna tylko z historyograficznych bredni Ziemkiewicza, wytykanych mu nawet przez jego sojuszników, jak Piotr Semka i Bronisław Wildstein. Dziesiątki komentatorów (ze wszystkich opcji dzisiejszej sceny politycznej) brały jego pozowanie na historiozofa za pseudoscjentyficzne pajacowanie. Piotr Skwieciński artykułem „Pańszwinizm Rafała Ziemkiewicza” wytknął mu „nieuczciwość intelektualną”, „mijanie się z prawdą”, „mylenie się co do faktów” i „stawianie też ryzykownych, naciąganych, opartych na faktach wątpliwych”. Krzysztof M. Mazur uznał Ziemkiewicza bawiącego się w historyka za specja od „śczenia głupot” i „balamucenia narodu”, sugerując expressis verbis iż propos jego „stanu psychicznego”, że „dalece odpłynął”. W innym tekście Mazur dowodzi, że rozmaite kolejne pseudofaktograficzne wywody Ziemkiewicza znamionują „chęć potwierdzenia za wszelką cenę głupot, które się przez wiele miesięcy wypisywało”. Nawet pokrewny mu mentalnie neoendecki tygodnik „NCz!” przezwiał Ziemkiewicza kilka lat temu „pożytecznym idiotą”.

Mija właśnie sto lat odkąd endecka dmowszczyzna wszczęła publiczną ofensywę przeciwko Piłsudskiemu. On sam tak charakteryzował jej paszkwilanckie wysiłki: „Idzie tylko o plucie, o jadowitą ślinę, której pełna musi być dusza, jeżeli się zdobywa na to. Czyniące to karły wyległy się z rodzimych bagien. Bite po pysku przez każdego z zaborców, sprzedawane z rąk do rąk, płatne — chcą to, co zostało wysoko wzniesione, obniżyć do swego poziomu”. Wtedy prowadził tych karłów patologiczny rusofil Roman Dmowski, któremu nie tak dawno poświęciłem egzekucyjny felieton „Romanów

Bzdurozofia

Dmowski”. Gdy dzisiaj świetny prawnikowy żurnalista Witold Gadowski zżyma się pisząc o ludziach „genetycznie nasiąkniętych wylbrzymioną aż do granic absurdu dmowszczyzną” — ja czytając to widzę różnych Giertychów, Korwinów i ich komilitonów, lecz przede wszystkim Ziemkiewicza. Ludzie ci, wzorem klinicznych demagogów, mają bardzo prostą wizję Polski: wszystko, od Mieszka I do Ignacego Mościckiego, co nie było dziełem Dmowskiego, jest mało warte. Tymczasem w istocie dziełem Dmowskiego był głównie antysemityzm. Sprawując we Francji zwierzchnictwo nad „Armią Błękitną” gen. Hallera (1918), Dmowski kategorycznie żądał wyrzucenia z niej wszystkich oficerów i żołnierzy pochodzenia żydowskiego, co rozeźliło zwłaszcza Amerykanów, bo większość tych żołnierzy patriotów przyjechała z USA, by walczyć o Polskę. Nieskazitelnego patriotę, genialnego historyka Szymona Askenazego, Dmowski obrażał, szydząc: „ — To nie żaden historyk, tylko Żyd! ”. Itd., itp.

Problem endeckiego antysemityzmu stanowi najlepszy „papierek lakmusowy” obnażający hipokryzję Ziemkiewicza. Ziemkiewicz wmawia tu publice wbrew oczywistym faktom: „Antysemityzm nie jest częś-



Stanisław Trembecki („Opuchły”):
„Będzie wam źle bzdurzył...”



cią endeckiej tradycji, czarny stereotyp endecji jako ideologii antysemickiej jest fałszywy”. Piotr Zaremba w artykule „Poczet hejterów polskich” uznał Ziemkiewicza za prawnikowy odpowiednik salonowca Wojciecha Sadurskiego, argumentując: „Próbuje on, żeby być jeszcze twardszym hejterem, lansować poglądy spadkobierców endecji, co ma konsekwencje również językowe (...) Kiedy zdecydował się nazwać żydowskich przeciwników „parchami” — działał chyba z rozmysłem (...) Histeria i egzaltacja niszczą psychiki...”. Dowodem na to, równie mocno obnażającym mentalność Ziemkiewicza, była afera wywołana przezeń roku 2014 stwierdzeniem internetowym (Twitter), że każdy Polak wykorzystał kiedyś w podstępny sposób seksualnie kobietę pijaną („No cóż, kto nigdy nie wykorzystał nietrzeźwej, niech rzuci pierwszy kamień”). Nawet sympatyk Ziemkiewicza, Mariusz Cieślak, uznał to za „mało smaczne”, inni za raczej plugawie. Prawdziwy problem jednak to fakt, że książki Ziemkiewicza — tak te beletrystyczne, w których struga powieściopisarza (np. „Ciała obce” — Wojciech Chmielewski: „Książka mało zabawna, pełna perwersyjnego seksu”), jak i te publicystyczne, gdzie struga historyka — są równie mało smaczne co jego dowcipy.

Padła wyżej data 2014, weźmy tedy dla przykładu Ziemkiewiczowski produkt parahistoriograficzny pt. „Jakie piękne samobójstwo”, z tego samego roku (notabene roku, w którym Ziemkiewicz poinformował czytelników „Rzeczypolitej” o katedrze historii na uniwersytecie „Princeton” — sic!!). Książka ta jest kolejnym Ziemkiewiczowskim ujadaniem przeciwko Piłsudczyźnie, Sanacji, AK etc., czyli propagowaniem endecji. Komentatorzy (wszelakich odcieni) byli bezlitośni. Historycy Marcin Furdyna i Marek Rodzik wyrzucali autorowi, że dla jego tez „podstawy są wątpliwe”. Wojciech Dudkiewicz swej recenzji za tytułowanej „Ziemkiewicz fiction” dał taką konkluzję: „Książka dowodzi, iż dojrzewanie to proces, który nie musi zakończyć się dojrzałością”. Piotr Skwieciński tekstem „Nie chodzi o prawdę” wskazał, że „twórczemu hipotezę kontrfaktyczną” Ziemkiewiczowi chodzi o coś zupełnie innego (o „silną chęć zepsucia Polakom ich historii, zabrania im poczucia dumy”), piętnując „wszystkie absurdy takiego myślenia” i „ahistoryczny sposób postrzegania tamtych czasów”, wreszcie resumując: „Te pomysły wydają mi się kompletnie sztuczne i świadczące o kompletnym oderwaniu ich twórcy od rzeczywistości”.

Moje (trwające już ponad ćwierć wieku) kłótnie z kompletnie oderwanym od rzeczywistości Ziemkiewiczem tycząły figur nie tylko historycznych, współczesnych też. Swą bojową endeckość (czyli antypiłsudskość) Ziemkiewicz ogłosił publicznie dopiero w bieżącym tysiącleciu (po roku 2000), pluając na Marszałka stekiem inwektyw, co musiało zdetonować mój publiczny gniew, natomiast w tysiącleciu minionym (ostatnia dekada ubiegłego wieku, lata 90–e) ścierał się my publicystycznie o Leszka Balcerowicza. Dziś już wiadomo, że wbrew salonowej propagandzie polityka gospodarcza Balcerowicza przyniosła Polsce duże szkody, krzywdząc miliony prostych ludzi i uwłaszczając złodziejsko kilka tysięcy członków nomenklatury partyjnej oraz bezpieczeństwa. To był ekonomiczny i socjalny Armagedon. Straty państwo musiało odrabiać przez ćwierć wieku i jeszcze nie odrobiło wszystkich. Ja zaś nie usłyszałem słowa „przepraszam” z ust Ziemkiewicza, który wtedy zawzięcie polemizował ze mną na temat strategii Sachsa/Balcerowicza jako jej poplecznik, zwalczając moje tezy krytyczne.

Dzisiaj zwalczą „bandytę Piłsudskiego”, zwać go „oszałym megalomanem, samozwańczym wodzem narodu”. Do jakich ławowiernych te nonsensy kieruje? Abraham Lincoln słusznie mówił: „Przez jakiś czas można nabierać kilka osób czy nawet cały świat, lecz nie można nabierać wszystkich w nieskończoność”. ©©

Waldemar Łysiak

Ruszaj w drogę z Rentis



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307